



KAROLINA  
WILCZYŃSKA

Lato pełne  
nadziei





Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

# Lato pełne nadziei







KAROLINA  
WILCZYŃSKA

Lato pełne  
nadziei





Copyright © Karolina Wilczyńska, 2023  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Joanna Jeziorna-Kramarz  
Marketing i promocja: Andżelika Stasiłowicz  
Redakcja: Barbara Kaszubowska  
Korekta: Magdalena Owczarzak, Damian Pawłowski  
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl  
Elementy graficzne layoutu: Magda Bloch  
Projekt okładki i stron tytułowych: Magda Bloch  
Fotografie na okładce: © Jeroen Linnenkamp / EyeEm | Getty Images  
Fotografia autorki na skrzydełku: Katarzyna Bezak  
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67727-11-2

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Wszystkie wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

#### CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
redakcja@czwartastrona.pl  
www.czwartastrona.pl







Mówią, że słońce wszędzie świeci tak samo, a jednak Diana czuła, że tu, w miejscu, które wybrała na swój nowy dom, jego promienie były jaśniejsze i cieplejsze. I nie chodziło tylko o to, że sierpień w tym roku był wyjątkowo upalny.

Mam wrażenie, jakbym szerzej otworzyła oczy — pomyślała, siadając przy kuchennym stole z kubkiem herbaty w dłoniach. Kubek był biały, duży, z wygodnym uszkiem. Zrobiła go sama, na własnym kole garncarskim. Żeby pokryć go szkliwem i wypalić, musiała pojechać do pracowni w Bazie Zbożowej, ale miała nadzieję, że już niedługo i w tym zakresie stanie się samowystarczalna. Najważniejsze jednak, że biały kubek stał się pierwszym naczyniem w nowym domu i stanowił teraz część codziennego porannego rytuału.

Nie była nim już kawa — Diana zamieniła ją na czarną herbatę z odrobiną syropu malinowego, który kupiła tutaj, w Świętej Katarzynie, na straganie z lokalnymi produktami. Przy okazji wdała się w pogawędkę ze sprzedającą, mieszkanką sąsiedniej wsi i zapaloną popularyzatorką naturalnej, zdrowej żywności. Wzięła od niej numer telefonu — uznała, że wiedza na temat miododajnych roślin może przydać jej się w pracy, przy projektowaniu ekologicznych ogrodów.

Popijała powoli gorący napar i w myślach układała plan dnia. Właściwie powinna zająć się kolejnym zleceniem, ale przez ostatnie dni dużo siedziała

przed ekranem komputera i należało jej się trochę odpoczynku.

Odpoczynku! — Uśmiechnęła się do siebie. — Pewnie większość ludzi tak by tego nie nazwała.

Otóż Diana każdą wolną chwilę przeznaczala na porządkowanie i upiększanie domu.

Kupiła go niespełna dwa miesiące wcześniej, a klucze odebrała dokładnie dwudziestego trzeciego czerwca. Od razu przewiozła tutaj walizkę z niezbędnymi rzeczami, dmuchany materac, podręczną pompkę i śpiwór, tak bardzo chciała spędzić pierwszą noc pod nowym adresem. To, że wypadnie ona akurat w najkrótszą w roku, uznała za dobrą wróżbę. Sądziła, że będzie jej trudno zasnąć, tymczasem spała dobrze. Obudziła się wypoczęta i pełna energii. I od tamtej chwili pozostała już w swoim nowym domu.

Wspominając wydarzenia ostatnich kilku miesięcy, musiała przyznać, że wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie. Nie miała problemu ze znalezieniem nabywcy na swoje mieszkanie. Spośród kilku chętnych wybrała tych, którzy płacili gotówką, dzięki temu szybko sfinalizowali transakcję. Młodemu małżeństwu z dwójką dzieci na pewno będzie tu dobrze — stwierdziła. — Duża przestrzeń, blisko centrum, szkoła, przedszkole. Lepiej wykorzystają ten potencjał niż ja.

Ponieważ nowi właściciele i tak musieli czekać na ekipę remontową, zgodzili się, żeby Diana zajmowała mieszkanie do czasu, aż sfinalizuje kupno nieruchomości w Świętej Katarzynie. I to jednak nie trwało długo, gdyż sprzedającemu zależało na czasie.

— Mieszkam daleko, ojciec zmarł. Nie mam tu nikogo znajomego, kto doglądałby domu — oznajmił Dianie, gdy spotkali się, żeby obejrzeć siedlisko. — Pewnie mógłbym poczekać i sprzedać drożej, bo miejsce jest atrakcyjne, ale nie mam czasu na przyjazdy tutaj. Będę w Kielcach przez tydzień i w tym czasie chciałbym wszystko zakończyć.

Dom okazał się niewielki. Położony z dala od głównej ulicy, na obrzeżach miejscowości, za to ze sporą działką, starą stodołą i murowanym budynkiem gospodarczym.

— Jest drewniany, ale ocieplony i otynkowany — wyjaśnił mężczyzna.  
— Dach wyremontowałem tacie jakieś osiem lat temu, przy okazji też ociepliłem. Drzwi i okna wymieniono dekadę temu.

Budynek nie wyglądał źle i Diana z zaciekawieniem weszła do środka. Najpierw zerknęła na niewielką drewnianą werandę, oszkloną i stanowiącą jednocześnie coś w rodzaju przedsionka. Drzwi wejściowe prowadziły wprost do kuchni, dość dużej, w której kobieta z radością dostrzegła starą kuchnię z białych kafli.

— Jest też kuchenka elektryczna — pospieszył z wyjaśnieniami właściciel, gdy podchwycił jej spojrzenie i najwyraźniej inaczej je zinterpretował. — Tę starą ojciec wykorzystywał tylko do ogrzewania. Niestety, tutaj nie ma centralnego, są piece.

Diana pokiwała głową.

— A łazienka?

— Jest, oczywiście, wyposażona — zapewnił mężczyzna. — Tutaj. — Wskazał jedne z dwojga drzwi na ścianie.

Łazienka, niewielka, lecz funkcjonalna, okazała się całkiem ładna. Diana zarejestrowała białe kafelki na ścianach i armaturę, całkiem sporą kabinę prysznicową i bojler wiszący pod sufitem.

Czyli będzie ciepła woda — ucieszyła się, bo najbardziej bała się właśnie tego problemu.

— Tu jest spizarka. — Sprzedający ruchem głowy wskazał na drzwi obok łazienki. — A tam jeszcze pokój, tak samo duży jak kuchnia. Tyle że odmalować będzie trzeba.

Pokój miał ponad dwadzieścia metrów kwadratowych. Pod ścianą naprzeciw drzwi stało szerokie łóżko, na bocznych ścianach znajdowały się okna. W pomieszczeniu stała też duża szafa, dwie komody, mała szafka, stolik i dwa drewniane krzesła.

— Ja to wszystko wywożę na śmietnik — zapewnił mężczyzna. — Oczywiście, jeśli się pani zdecyduje.

Diana podeszła do okna. Popatrzyła na drzewa owocowe w ogrodzie, na linię lasu widoczną w oddali i usłyszała skrzypienie drewnianej okiennicy

poruszanej wiatrem.

— Zdecyduję się — powiedziała stanowczo. — A co do mebli to proszę wywieźć łóżko. Reszta może zostać.

— Jak pani sobie życzy — zgodził się skwapliwie mężczyzna. — Rzeczy po ojcu uprzątnę, żeby tutaj pani niczego niepotrzebnego nie zostawiać.

Od tego momentu sprawy potoczyły się szybko. Podpisali umowę przedwstępną, a po dwóch tygodniach sfinalizowali transakcję. W tym czasie Diana sprzedała rzeczy i meble, których nie zamierzała zabierać, a całkiem sporą sumę ze sprzedaży wykorzystała na opłacenie transportu przeprowadzkowego i zakup koła garncarskiego.

Pomieszczenie, które mężczyzna nazwał spiżarką, okazało się spore i miało półki ustawione wzdłuż jednej ściany.

Idealne na pracownię — ucieszyła się Lisowska.

Tam właśnie stanęło koło garncarskie i tam powstał pierwszy kubek, z którego teraz piła poranną herbatę.

Właściwie od pierwszej chwili poczuła się dobrze w nowym domu. Posprzątała dokładnie wszystkie kąty, pomalowała ściany — może nie idealnie, ale była zadowolona z efektu. Wyszorowała drewniane podłogi, a okiennice oczyściła ze starej farby, odtłuściła i pokryła lakierem do drewna. To samo zrobiła z drzwiczkami kuchennych szafek, a półki wyłożyła białym papierem. Stół nakryła obrusem w kolorowe kwiaty, który kupiła w second handzie, podobnie jak firanki i zasłonki do pokoju.

Wiedziała, że czeka ją jeszcze dużo pracy. Miała zamiar pomalować stare meble i zrobić wazony na kwiaty. Chętnie zabrałaby się za to wszystko od razu, ale musiała przecież pracować. Co prawda, zostało jej jeszcze trochę pieniędzy ze sprzedaży mieszkania, miała też niewielkie oszczędności, wiedziała jednak, że zimą na pewno będzie miała mniej zleceń, więc musiała trzymać trochę grosza na czarną godzinę.

Na szczęście Monika Baranowska, gdy dowiedziała się o jej śmiałych decyzjach, wsparła ją — i to nie tylko mentalnie. Postarała się o kilka dobrze płatnych zleceń, w tym dwa dla dewelopera, który miał zamiar budować w mieście kolejne apartamentowce, a to oznaczało perspektywę

dłuższej współpracy. Jako właścicielka pracowni architektonicznej i firmy deweloperskiej czasami zlecała Diane prace, bywało również, że rekomendowała ją klientom, którzy szukali projektantki ogrodu.

Diana zamieściła też w sieci swoje ogłoszenia i w ten sposób wpadło jej kilka mniejszych prac. Nie odrzuciła ich, bo choć były mniej korzystne finansowo, to dotyczyły ogrodów, w których mogła zrealizować swoje wizje lepiej niż przy projektowaniu niewielkich pasków zieleni między blokami.

Cóż, nie mogę narzekać — stwierdziła. — Całkiem nieźle się to wszystko układa. Lepiej, niż się spodziewałam. No, ale dosyć tych wspomnień, pora działać. Przejdę się do lasu, a potem wrócę i popracuję.

Odstawiła kubek z niedopitą herbatą, sięgnęła po słomkowy kapelusz oraz torebkę, obrzuciła spojrzeniem kuchnię, którą rozświetlały wpadające przez okno słoneczne promienie, i uśmiechając się do siebie, wyszła z domu.







**M**artyna Wrońska nie zamierzała ukrywać swojej irytacji. W końcu była uznaną dziennikarką i nie musiała udawać, że coś jej się podoba, jeśli tak nie było.

— Chyba żartujesz! — Uniosła rękę, w której trzymała kartkę z wydrukowanym tekstem. — Mam robić coś takiego?!

— To nie jest „coś takiego”, tylko cykl reportaży — sprostował Paweł Kościński, dyrektor regionalnego oddziału telewizji, który siedział za biurkiem i ze spokojem patrzył na nerwową reakcję dziennikarki.

— Serio?! A mnie się wydaje, że to temat dla praktykanta albo jakiegoś nowicjusza! „Jak mieszkają znani ludzie w naszym regionie” — przeczytała z przekąsem. — Przecież to żenada! Może jeszcze mam kręcić materiały o tym, co jedzą? Albo co mają w szafie?

— Może... — Kościński wzruszył ramionami. — Jeżeli tego będą chcieli widzowie.

— Jacy widzowie?! — Martyna była coraz bardziej wściekła. — Skąd ty to wiesz?! Przyszli do ciebie?! Napisali?! Ja jestem poważną reportażystką i publicystką! Nie zapominaj o tym!

— Nie zapominam — zapewnił spokojnie dyrektor. — I dlatego powierzyłem ci ten cykl. Nikt tak dobrze jak ty nie zaprezentuje tematu. Jestem przekonany, że zrobisz to profesjonalnie i w sposób, który zainteresuje widza.

— Ale o co chodzi? — Martyna usiadła na krześle naprzeciw Kościńskiego i raz jeszcze pomachała kartką. — Przecież to temat zupełnie z dupy! — nie siliła się na delikatność. — Uważam, że szkoda czasu na takie rzeczy. Co to wniesie? Co zmieni?

— Choćby to, że widzowie zapamiętają bohaterów.

Wrońska zmrużyła oczy i popatrzyła uważnie na szefa.

— Aaaa... chyba zacznam rozumieć. — Pokiwała głową. — Czy za chwilę mi powiesz, kim mają być ci bohaterowie?

Dyrektor uśmiechnął się lekko.

— Cóż, jak powiedziałaś, jesteś poważną dziennikarką, więc nie śmiałybym ci niczego narzucać. — Powoli kręcił palcami. Zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym rzekł: — Jeśli jednak pytasz, to wydaje mi się, że dobrze byłoby uwzględnić ludzi różnych profesji. Mógłby być jakiś lekarz, może też biznesman, a dla równowagi... powiedzmy... polityk. Nie uważasz, że Mariusz Kownacki byłby niezły na początek? — podsunął.

— No to mamy jasność. — Martyna uderzyła dłonią w kolano. — Chcesz mi powiedzieć, że mam promować polityka? Zrobić o nim miły materiał i sprawić, żeby ludzie go polubili? Tego ode mnie oczekujesz?

— A czy ja ci coś każę? — Kościński zrobił niewinną minę. — Pytałaś, więc odpowiedziałem. Oczywiście wybierzesz, kogo zechcesz, ale...

— Ale co?!

— Pamiętaj, że musimy ostatecznie zdecydować o jesiennej ramówce. Jest w niej uwzględniony twój program, ten z rozmowami na bieżące tematy. — Podrapał się po głowie. — I chciałaś dobry czas antenowy, tak?

Wrońską aż zatkało na taką bezczelność.

— Próbujesz mnie szantażować?! — wybuchnęła po raz kolejny.

— Szantażować? Nigdy w życiu. Po prostu lepiej pracuje się z ludźmi, którzy nie są konfliktowi, prawda?

— A ja niby jestem?!

— Nie wiem, co odpowiedzieć. Stoisz nade mną, kwestionujesz moje decyzje, krzyczysz... Jak to można nazwać? — Dyrektor spojrzał na nią

i uśmiechnął się zimno.

Martyna czuła, że przegrała. Zależało jej na stałym programie, dzięki któremu stała się znana w regionie i który naprawdę lubiła prowadzić. Zapraszała do niego ciekawych ludzi, dyskusje zawsze były na poziomie, a często dzięki nim udawało się rozwiązać problemy mieszkańców miasta. Naprawdę nie chciała tego stracić.

— Dobra, niech ci będzie — zdecydowała. — Zrobię ten cykl. Ale bohaterów dobiorę sama. I od razu mówię, że będą także kobiety — zastrzegła.

— Mogą być nawet leśne skrzaty. — Kościński machnął ręką. — Obyś tylko nie zapomniała o różnorodności. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Jasne! — fuknęła, wstając. — Będzie i polityk.

— Cieszę się, że wzięłaś sobie do serca moje uwagi — rzucił z uśmiechem mężczyzna. — Nie ma to jak konstruktywna rozmowa, prawda?

Martyna nie odpowiedziała. Bez słowa opuściła gabinet szefa i zbiegła szybko po schodach. Z impetem wpadła do kawiarenki na parterze budynku, gdzie pracownicy zaglądali na szybką kawę pomiędzy wejściami na antenę albo wyjazdami w teren. Usiadła przy stoliku obok wysokiego mężczyzny w T-shircie z napisem „keep calm and rób swoje”.

— Muszę to zrobić, bo przesunie moje *Trudne rozmowy* na czas, kiedy nikt nie ogląda — wysyczała przez zaciśnięte zęby.

— Trudno, jak mus, to mus — stwierdził mężczyzna.

— Tobiasz, ale nie wiesz wszystkiego — zniżyła głos i rozejrzała się, czy nikt jej nie słyszy. — On mi zasugerował, że mam zrobić materiał o Kownackim i przedstawić go w takim świetle, żeby zyskał sympatię. Rozumiesz?

— Oho, czyli ma w tym jakiś biznes — domyślił się jej rozmówca.

— Na pewno ma, to jasne jak słońce. Tylko że ja mam tę laurkę firmować własnym nazwiskiem!

— I co? Zgodziłaś się?

— A miałam inne wyjście? — Zagryzła wargi.

— No to będę kręcił Kownackiego w dobrym świetle i z oddaniem, niczym reklamę telewizyjną — zażartował Tobiasz.

— Tak, ty się wygłupiasz, a ja jestem wściekła! — Martyna zmarszczyła brwi. — Ale tak całkiem się nie poddam. Wezmę dla równowagi jakiegoś miłego biznesmena. Może tego Wolińskiego? — zastanawiała się głośno. — On jest przystojny, to będzie dobry kontrast dla Kownackiego. A potem jakąś kobietę społeczniczkę, co?

— Rób, jak uważasz. Ja tu jestem od biegania z kamerą — odparł mężczyzna. — Zresztą biznesmena i społeczniczkę puszcza raz, a Kownackiego powtórzą co najmniej trzy.

— Dzięki za wsparcie — mruknęła zrezygnowana Martyna.





**D**iana bardzo chciała zająć się swoim ogrodem, ale rozsądek podpowiadał jej, że powinna przełożyć tę pracę na kolejny rok.

Tutaj będą astry, a pod płótem malwy i słoneczniki — planowała i rozglądała się za każdym razem, gdy dla odpoczynku wychodziła z domu i siadała na ławce pod białą ścianą. — Stworzę piękny ogród, taki w wiejskim stylu. I od wiosny do jesieni będą w nim kwitły jakieś kwiaty. A zimą ptaki będą przylatywać na owoce z krzewów.

W wyobraźni już to wszystko widziała, ale niestety, na efekty musiała poczekać. Tego roku zajęta była ciągłym ulepszaniem ogrodu Wolińskiego i ogrodem jego znajomych, którym polecił jej usługi. Tam co prawda nie musiała zbyt wiele zmieniać, za to miała sporo pracy przy naprawieniu wieloletnich zaniedbań poprzednich właścicieli posesji. Na szczęście praca z roślinami sprawiała jej mnóstwo frajdy i nie przeszkadzało jej nawet to, że czasami wracała naprawdę zmęczona.

W pozostałe dni projektowała, starając się, żeby jej wizje sprawiły przyjemność mieszkańcom, a stworzone przez nią oazy zieleni, nawet niewielkie, były niepowtarzalne i wyróżniały się na tle innych, sztampowych nasadzeń. Takie działanie wymagało więcej pracy, ale Diana postanowiła, że postawi na jakość i satysfakcję z pracy — nawet kosztem nieco niższych zarobków. Nie chciała już żyć byle jak i zadowalać się czymkolwiek.



Zacząłam lepić moje życie od nowa — pomyślała, z wdzięcznością wspominając babcię Różę z Borowej i jej mądre słowa.

Często myślała o mieszkańcach Jagodna. Gdyby nie spotkanie z nimi, zapewne nie zdobyłaby się na tak wielkie zmiany. Babcia Róża, historia pani Zofii i Tamary, widok efektów ich pracy i wytrwałe podążanie za marzeniami — to wszystko dodało jej odwagi, żeby sięgnąć po to, czego potrzebowała.

Koniecznienie muszę je odwiedzić — pomyślała. — I jeszcze raz podziękować za wszystko, co dla mnie zrobili.

Na razie jednak nie miała czasu na ten wyjazd. Umówiła się w najbliższych dniach na dwie wizje lokalne, jedno spotkanie z projektantem apartamentowców i miała do skończenia trzy projekty, które dostała w odpowiedzi na swoje ogłoszenie.

Podniosła się z ławki i z westchnieniem spojrzała na swoje podwórko.

Musisz poczekać, mój kawałku ziemi — pomyślała. — Ale zapewniam cię, że zadbam o ciebie, najlepiej jak potrafię.

Wróciła do pokoju, w którym urządziła sobie miejsce do pracy. Stary drewniany stolik zaadaptowała na biurko i ustawiła go pod oknem wychodzącym na sad i las. Dzięki temu mogła od czasu do czasu zerkać na piękny widok. Zieleń koila zmęczone oczy i wlewała spokój w serce.

To dużo lepsze, niż patrzeć w okna sąsiadów lub na dachy bloków obok — pomyślała Diana.

Przyniosła z kuchni dzbanek kawy i usiadła przed monitorem. Pracowała przez ponad godzinę i była zadowolona z postępów. Całkiem zgrabnie udało jej się połączyć obsadzone dzikim winem pergole z boczną ścianą przeszklonego budynku i stworzyć niewielkie, ale zaciszne miejsce odpoczynku tuż przy placu zabaw dla dzieci. Odsunęła się z krzesłem i z dalszej perspektywy spojrzała na projekt.

Jest bardzo OK — stwierdziła z satysfakcją, wyobrażając sobie matki z dziećmi odpoczywające w cieniu.

Była tak pochłonięta swoją wizją, że gdy zadzwonił telefon, ledwie spojrzała na wyświetlacz.

— Słucham, Lisowska.

— Dzień dobry, jak miło usłyszeć twój głos...

Diana zamarła.

Przez ostatnie tygodnie prawie udało jej się o nim zapomnieć. Czasami jeszcze przychodziła do głowy myśl, jak bardzo byłby zaskoczony, widząc, co udało jej się zrobić. I zastanawiała się, czy także w tym znalazłby powody do krytykowania. Szybko jednak odpychała te rozważania, bo obiecała sobie, że definitywnie zamknie za sobą tamten rozdział. Nie chciała pamiętać człowieka, który przez cały czas trwania ich związku oszukiwał ją i wykorzystywał. Mateo miał przestać istnieć. Przynajmniej dla niej.

Mateo, niespełniony artysta malarz, którego obdarzyła uczuciem i zaufaniem, okazał się wyrachowanym kłamcą. Diana wpadła w jego sidła, uległa manipulacji i długo dała się zwodzić obietnicom bez pokrycia. Jednak gdy odkryła, że mężczyzna ją zdradza, zdecydowała się zakończyć toksyczną relację. Nie było łatwo, ale dzięki wsparciu, które uzyskała w Jagodnie, znalazła w sobie siłę, żeby uwolnić się z tej relacji i lepić swoje życie od nowa.

A teraz, kiedy to już jej się udało, usłyszała nieoczekiwanie jego głos — niczym melodię z przeszłości, o której chciała zapomnieć.

— Diana, kochanie, jesteś tam?

Kochanie! On śmiał mówić tak do niej! Po tym wszystkim, co zrobił!

— Czego chcesz? — warknęła.

— Oj, widzę, że wstałaś dziś lewą nogą — zażartował Mateo jak gdyby nigdy nic.

Tak, zawsze tak robił — pomyślała. — Ranił mnie, a potem udawał, że nic się nie stało.

A ona zaczynała się zastanawiać, czy nie przesadza ze swoimi oskarżeniami, czy to nie ona jest tą złą...

O, nie! Nie tym razem!

— Po co do mnie dzwonisz? — zapytała twardo. — Chyba wszystko już sobie wyjaśniliśmy.

— Niby tak. Ale wiesz, często myślę o tobie... Jakoś nie potrafię zapomnieć... — Głos w słuchawce nabrał cieplej, czulej barwy. — Przypominam sobie nasz wspólny czas i... Ech, nieważne.

Nie daj się nabrać! — powtarzała sobie w myślach Diana, choć czuła, że serce zabiło jej mocniej. — Nie pozwól na to po raz kolejny!

— Tak, masz rację, nieważne. — Starła się, żeby jej głos nadal brzmiał nieprzyjaźnie. — Nie interesują mnie twoje wspomnienia.

— Dlaczego jesteś taka niemiła? — zapytał z wyrzutem mężczyzna. — Nie wierzę, że tak myślisz. Może przyjadę do ciebie, wypijemy kawę, pogadamy? Powiedz tylko słowo, a za kwadrans będę. No, co ty na to?

Diana przełknęła głośno ślinę. Dwa miesiące samotności zrobiły swoje i perspektywa pogadania z kimś była miła. A może nawet przytulenie się...

— Nie chcę cię widzieć! — krzyknęła do słuchawki i rozłączyła się.

Z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Tak mało brakowało! Jeszcze kilka zdań, jakieś czułe słowo i dałaby się po raz kolejny złapać w tę samą pułapkę. Poczuła, że wilgotnieją jej oczy.

Czy ja się kiedykolwiek na niego uodpornię? — Poczuła żal pomieszany z przerażeniem. — Czy czas i odległość coś zmieniają? Mam nadzieję, że mnie tu nie znajdzie...

Zauważyła, że trzęsą jej się ręce. W ogóle cała drżała, jakby lodowaty powiew wdarł się do jej słonecznego ciepłego domu i zmroził ciało.

Muszę wyjść — zdecydowała. — Muszę gdzieś iść, nie myśleć, zapomnieć.

W pośpiechu zamknęła drzwi i prawie biegiem ruszyła w kierunku lasu. Dopiero gdy wkroczyła między stare jodły i ciemnozielone mchy, zwolniła. Szum gałęzi i śpiew ptaków powoli kołły nerwy, wyciszały emocje, dawały dziwne, pierwotne poczucie schronienia i bezpieczeństwa. Diana wreszcie przystanęła. Przytuliła czoło do najbliższego drzewa i stała tak dłuższą chwilę.

Spokojnie, on przecież nie wie, gdzie jestem — wreszcie zaczęła myśleć logicznie. — Nie będzie mnie niepokoił. A po powrocie zablokuję jego

numer. Już dawno powinnam była to zrobić. Zbyt ważne jest dla mnie moje nowe życie, żebym pozwoliła je popsuć takiemu dupkowi!

Poczuła, że odzyskuje równowagę. Chwilowa słabość uświadomiła jej, że nadal musi być czujna, ale też dała radość z tego, że tym razem udało jej się ją pokonać.

Wracam do domu — zdecydowała.

Rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że nie bardzo wie, gdzie jest. Była tak roztrzęsiona i zdenerwowana, że nie zwracała uwagi na to, dokąd idzie. I co teraz?

Jakby w odpowiedzi na to zadane w myślach pytanie między drzewami pojawiła się starsza kobieta z siwym warkoczem.

Już ją kiedyś widziałam — przypomniała sobie Diana.

Chciała krzyknąć, ale zanim otworzyła usta, kobieta wskazała jej ręką kierunek i znikła wśród zarośli.

Drugi raz pomaga mi odnaleźć drogę? — Diana wspomniała poprzednie spotkanie, kiedy była tu po raz pierwszy. — Szukałam wtedy zbłąkanego kota i trafiłam na wrzosową polanę. To wtedy poczułam, że chciałabym tu mieszkać.

Nie wiedziała, kim jest staruszka, ale skoro poprzednio uratowała ją przed zagubieniem się w puszczy, postanowiła i teraz jej zaufać.





— To co? Do roboty?

Martyna Wrońska odstawiała filiżankę po kawie na kuchenny blat i spojrzała na Tobiasza, który nie wykazywał takiego entuzjazmu jak ona.

— Miałem nadzieję na jakieś śniadanie — powiedział szczerze, nie przejmując się ponagleniami kobiety.

— To trzeba było wcześniej wstać — burknęła twardym głosem.

— To trzeba było nie siedzieć w łazience prawie godzinę — odparł ze spokojem mężczyzna. — Teraz możesz poczekać, aż zjem. Mam ochotę na jajeczniczkę na maśle. — Popatrzył na Martynę rozmarzonym wzrokiem.

— Mogłeś ją zjeść, kiedy byłam w łazience. — Wrońska nie ustępowała. — A ja muszę dobrze wyglądać, przecież mnie ludzie potem oglądają. Ty jesteś po drugiej stronie kamery, więc wystarczy, że weźmiesz prysznic, i tyle. Teraz już nie ma czasu na jedzenie, bo nie zdążymy ze wszystkim.

— Bez jajeczniczy nie idę. — Tobiasz był głuchy na argumenty kobiety. — Ale mogę zrobić z czterech jajek i zjemy razem — zaproponował pojednawczo.

— Jajko to ja chyba zaraz zniosę, czekając na ciebie. — Zrezygnowana Martyna opadła na krzesło. — Gdyby nie to, że jesteś najlepszym operatorem, jakiego znam, już dawno przestałabym z tobą pracować.

— I nie zapominaj, że jedynym, który ze spokojem znosi twoje humory — dodał Tobiasz, wyjmując patelnię. — Każdy inny uciekłby w popłochu



po kilku dniach. Więc właściwie to ty powinnaś mi robić tę jajecznicę.

— Niedoczekanie twoje! — oburzyła się Wrońska.

Wiedziała jednak, że Tobiasz ma rację. Pracowali razem już prawie trzy lata i zrobili mnóstwo świetnych materiałów. Tobiasz zawsze doskonale wyczuwał jej zamysły i kierował kamerę tam, gdzie należało. W odpowiedniej chwili robił zbliżenia, potrafił uchwycić nastrój i klimat, robił cudowne przebitki. Właściwie nie mogła mu niczego zarzucić. No i rzeczywiście ze spokojem znosił jej nastroje i najdziwniejsze pomysły. Poczekala, aż zje tę swoją jajecznicę, i dopiero wtedy wyruszyli realizować założone plany.

— Najpierw jedź do biura Kownackiego — zdecydowała.

Tobiasz pełnił w ich teamie także rolę kierowcy. Postanowił, że Martyna nie wsiądzie więcej za kółko, gdy zobaczył, że w trakcie prowadzenia samochodu rozmawia przez telefon i sięga do torebki po notatki.

— Chciałbym jeszcze pożyczyć — powiedział wtedy i odtąd on prowadził srebrnego volkswagena, gdy jechali razem.

— To przy Warszawskiej? — upewnił się teraz, słysząc polecenie dziennikarki.

— Tak, w tym nowym budynku niedaleko galerii Korona.

O tej porze nie można było liczyć na miejsce parkingowe przed budynkiem, więc zatrzymali się na podziemnym parkingu galerii.

— To ja pójdę do Empiku — zdecydował Tobiasz. — Nie będę ci przecież potrzebny.

— OK, tylko nie marudź tam zbyt długo. Ja umówię spotkanie i wracam — przestrzegła Martyna.

Szybkim krokiem opuściła galerię i przeszła do nowoczesnego biurowca, w którym miał swoje biuro poselskie Mariusz Kownacki. Przed wejściem poprawiła zakiet i zerknęła w szklaną szybę, żeby sprawdzić, czy dobrze wygląda. Dbała o swój wizerunek, bo doskonale wiedziała, że ludzie najczęściej kierują się stereotypami, oceniając innych. A ponieważ chciała, żeby uznawali ją za reporterkę i specjalistkę od trudnych tematów, ubierała się zgodnie z wyobrażeniami większości. Zimą nosiła skórzaną kurtkę,

czarną czapkę i ciężkie buty, latem sportowe żakiety, trampki i duże okulary przeciwsłoneczne. Za to do programów w studiu wkładała eleganckie i dość obcisłe garsonki, szpilki i malowała usta na intensywnie czerwony kolor. Teraz miała na sobie oczywiście wersję letnią. Przesunęła okulary na czubek głowy i zapukała dla formalności do drzwi, po czym od razu nacisnęła klamkę.

— Dzień dobry paniom — przywitała dwie kobiety siedzące przy biurkach. — Martyna Wrońska, telewizja — przedstawiła się.

— Dzień dobry, oczywiście poznamy! — Jedna z kobiet natychmiast poderwała się z krzesła. — Pani jest tak znana, że nie musi się przedstawiać — szczebiotała, wychodząc zza biurka. — Proszę siadać, może zrobię kawę? Mamy bardzo dobrą, włoską — zachwalała.

Druga pracownica nawet nie ruszyła się ze swojego miejsca. Siedziała wpatrzona w ekran laptopa, nie zwracając uwagi na gościa.

— Dziękuję, ale nie mam zbyt wiele czasu — przerwała wreszcie nadgorliwej Wrońska. — Chciałabym się spotkać z panem Kownackim.

— Oj, bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. — Kobieta teatralnie załamała ręce. — Pana pośła dzisiaj nie ma. I niestety, nie będzie. — Zrobiła smutną minę.

Martyna pomyślała, że ta kobieta powinna zaangażować się w jakimś amatorskim teatrze. Mimo mocno ekspresyjnego zachowania przyjmującej ją sekretarki nie traciła czujności. Zawodowe przyzwyczajenie nauczyło ją, że trzeba być bystrą i spostrzegawczą. Nie uszło jej uwadze, że na dźwięk nazwiska polityka druga z pracownic drgnęła. Niby drobiazg, ale Wrońska go zapamiętała.

— W takim razie proszę mnie zapisać na rozmowę — zwróciła się do gadatliwej kobiety. — W najbliższym możliwym terminie.

— Dopiero za trzy tygodnie. — Sekretarka wykrzywiła usta.

Martyna miała dość jej infantylnych zachowań, więc przeszła do sedna.

— Nie mogę tyle czekać. Chcemy zrobić reportaż o panu pośle. Duży reportaż — dodała.

— Rozumiem...

— Proszę przekazać panu Kownackiemu, że jeśli nie jest zainteresowany, będę musiała zwrócić się do innego polityka. Zostawię paniom moje wizytówki i czekam na kontakt. — Położyła tekturowe kartoniki na obu biurkach.

— Oczywiście, postaram się jak najszybciej skontaktować z panem posłem i oddzwonię do pani — zapewniła pracownica biura. — Jak ja się cieszę, że mogłam panią spotkać!

— Dziękuję, do widzenia. — Wrońska uśmiechnęła się lekko.

Wiedziała, że warto zostawić po sobie dobre wspomnienie, to ułatwia współpracę. Wychodząc, zerknęła na biurko drugiej pracownicy. Wizytówka zniknęła.





— Oj, Kociu, widzę, że chyba za bardzo zajęłam się pracą — stwierdziła Diana.

Zajrzała do wnętrza lodówki. Nie znalazła tam zbyt wiele. Co prawda za każdym razem przywoziła z Kielc pełne torby zakupów, lecz przez kilka ostatnich dni nie wyjeżdżała i zapasy mocno się skurczyły.

— Chyba pora poznać miejscowy sklep — zdecydowała. — Ale ty oczywiście zostajesz w domu.

Kocio rósł szybko i w niczym nie przypominał już kociaka, którego dostała wiosną od babci Róży. Teraz był już dwa razy większy. Diana zadbała o jego sterylizację, ale i tak nie zamierzała pozwolić mu na samodzielne wycieczki po okolicy. Jednocześnie chciała dać kotu możliwość bycia bliżej przyrody, zakosztowania świeżego powietrza, poczucia wiatru i usłyszenia śpiewu ptaków. Dlatego jednym z pierwszych działań, jakie podjęła w nowym domu, było przygotowanie werandy tak, żeby mogła być również czymś w rodzaju woliery dla Kocia. Okazało się to wcale nie takie trudne, przede wszystkim dlatego, że weranda była drewniana. Wystarczyło kupić metalową siatkę w jednym z marketów budowlanych, a potem zabezpieczyć nią okna przybudówki. Najwięcej czasu zajęło Dianie pocięcie siatki na odpowiednie kawałki, bo nie miała narzędzi, ale znalezione w budynku gospodarczym duże nożyce rozwiązały problem. Wbijanie gwoździ miała opanowane, dalsza część pracy poszła

sprawnie. I kiedy wraz z ostatnimi rzeczami przywiozła do nowego domu Kocia, jego królestwo było już gotowe.

Kocurek na początku nieufnie poznawał nowe kąty, lecz po kilku dniach objął je w posiadanie z właściwą temu gatunkowi nonszalancją, a weranda stała się jego ulubionym miejscem. Uwielbiał wygrzewać się na drewnianych parapetach i obserwować wróble skaczące po podwórku oraz przelatujące nisko jaskółki. Z uwagą wsłuchiwał się w ćwierkanie pliszek i innych ptaków mieszkających w pobliskim lesie. Nigdy nie wykazywał ochoty do pokonania siatki czy wyjścia na zewnątrz. Diana uważała, że to dlatego, iż doskonale pamiętał początki swojego życia, kiedy wyrzucony przez kogoś jako kociak trafił ze swoim bratem na próg domu babci Róży. Gdyby nie pomoc staruszki i jej przyjaciółki, pani Zofii, kocięta nie wytrzymałyby mrozów.

Mimo wszystko Diana wolała zachować ostrożność i starała się nie zostawiać Kocia na werandzie bez opieki.

— Poczekasz w domu, a kiedy wrócę ze sklepu, wypuszczę cię na słońko — obiecała.

Rudas miauknął i wskoczył na blat kuchennej szafki.

— Prosiłam, żebyś tutaj nie wchodził. — Delikatnie zepchnęła kota na podłogę. — Później znajduję w jedzeniu twoją sierść.

Kocio, jak to kot, zupełnie nie przejął się jej niezadowoleniem. Odszedł powoli i zniknął w sypialni, gdzie — jak podejrzewała Diana — ułożył się na jej poduszce.

Dobrze, że jest — pomyślała. — Przynajmniej mam do kogo mówić.

Coraz bardziej doskwierała jej samotność. Miała tyle zajęć, wciąż kursowała między Kielcami a Świętą Katarzyną i nie miała czasu na towarzyskie spotkania. Trochę też z rozmysłem unikała spotkań z koleżankami, bo wszystkie znały Mateo. Nie chciała, żeby podczas jakiegoś przypadkowego spotkania powiedziały mu, co Diana robi i gdzie jest. Na razie wolała tego unikać, bo nie była pewna, czy jest wystarczająco silna, żeby oprzeć się manipulacjom byłego partnera, gdyby się u niej zjawiał.

Dni szybko jej mijały, ale wieczorami przed zaśnięciem albo w czasie samotnych posiłków często myślała, że przyjemnie byłoby mieć kogoś, z kim można porozmawiać, opowiedzieć o tym, co się zdarzyło, czy poradzić. Albo choćby zamienić kilka zdań o pogodzie.

Na razie jednak musiała się zająć bardziej przyziemnymi sprawami. Jeśli miała zamiar zjeść śniadanie i kolację, musiała iść do sklepu. Zabrała wiklinowy koszyk, portfel i wyszła z domu. Zmrużyła oczy, bo słońce świeciło mocno. Lekki wietrzyk delikatnie łagodził upalne powietrze i kołysał brzegiem sukienki. Lato w Świętej Katarzynie hojnie obdarzało ciepłem i czuć było w powietrzu wakacyjną atmosferę.

Jak tu pięknie! — pomyślała.

Miejscowy sklep mieścił się na parterze jednego z domów przy głównej ulicy. Nie był duży, ale Diana szybko się zorientowała, że dość dobrze zaopatrzonej. Oprócz niej i sprzedawczynie w różowym fartuchu była tam jeszcze jedna kobieta, więc projektantka ustawiła się za nią, czekając na swoją kolej.

— Poproszę piętnaście bułek, tyle samo plasterków szynki konserwowej i kilogram pomidorów.

O, to chyba śniadanie dla sporej rodziny — pomyślała Diana, z ciekawością przyglądając się stojącej przed nią kobiecie.

Wyglądała na niewiele starszą od niej, raczej nie przekroczyła jeszcze czterdziestki. Była zadbana, miała gładką cerę bez makijażu, a jej sukienka nie należała do zbyt gustownych.

Ja też nie wyglądam jak z żurnala — skarciła w myślach samą siebie za tę niezbyt miłą ocenę. — W końcu to zwyczajny dzień, a ona, sądząc po zakupach, ma pewnie kilkoro dzieci na głowie, więc trudno, żeby myślała o ciuchach.

— Co dla pani? — Głos sprzedawczynie wyrwał ją z zamyślenia.

— Poproszę chleb, masło i ser biały, ten z lokalnej mleczarni. — Wskazała opakowanie leżące w przeszklonej ladzie chłodniczej.

Dokupiła jeszcze trochę warzyw, olej i jajka, a na koniec poprosiła o truskawkowe lody w wafelku.

— Trochę przyjemności każdemu się należy. — Uśmiechnęła się do ekspedientki, ale ta nie wyrażała chęci do nawiązania bliższej znajomości.

Diana zapłaciła i wyszła. Przed drzwiami, przy plastikowym stoliku pod parasolem z reklamą piwa, zauważyła kobietę, która stała przed nią w kolejce. Ona również ją dostrzegła.

— To pani kupiła ten dom po starym Maciejaku? — zapytała.

Musiała na mnie czekać — pomyślała Diana.

— Dzień dobry. — Podeszła do stolika. — Chyba tak. Pan, który mi go sprzedał, nazywał się Maciejak, ale nie był stary. Pewnie ma pani na myśli jego ojca?

— Tak, właśnie jego. Bo to on tutaj mieszkał.

Diana uznała, że nadarza się okazja, żeby zawrzeć znajomość z kimś miejscowym i dowiedzieć się czegoś o okolicy. Przysiadła się i odpakowując lody z papierka, stwierdziła:

— Syn pewnie też musiał się tu wychować.

— Dawno wyjechał i nikt tu już o nim nie pamięta — odpowiedziała szorstko kobieta.

Chyba nie cieszył się sympatią wśród sąsiadów — uznała Diana, przypominając sobie, że przecież sam wspominał o tym, że nie ma tu nikogo znajomego.

— A pani mieszka w Świętej Katarzynie? — zagadnęła, żeby zmienić temat.

— Tak, od urodzenia. — Nowa znajoma skinęła głową. — Z przerwą na studia. Myślałam, że już tu nie wrócę, ale wróciłam... — westchnęła.

— Piękne miejsce, chyba dobrze się tu żyje.

— Jednym tak, a drugim nie — odparła krótko kobieta.

— No tak, jak się ma dużą rodzinę, to zawsze jest co robić. — Diana próbowała znaleźć jakiś temat, który bardziej zainteresuje nową znajomą.

— Pani ma dużą rodzinę? — Kobieta zerknęła na nią pytająco.

— Nie, jestem sama. Ale sądziłam, że pani... — wyjaśniała Lisowska. — Bo tyle tych bułek i wszystkiego...



— A, to! — Kobieta machnęła ręką. — To nie dla mnie. Widzi pani, ja pracuję w gminnej szkole. A że tutaj mieszkam, to wszystko znam od podszewki. Turysta tego nie zobaczy, ale są tu i takie rodziny, gdzie bieda aż piszczy. I dzieciaki często głodne chodzą. W czasie roku szkolnego to jeszcze dostaną obiad w szkole, ale w wakacje już nie. Więc organizuję im takie zajęcia, spacery, a przy okazji proponuję poczęstunek — tłumaczyła.

Diana słuchała z rosnącym podziwem. Zupełnie nie spodziewała się tego po tej kobiecie. W pierwszej chwili wydała jej się niezbyt miła, a tu takie wielkie serce!

— Zawsze to przynajmniej bułkę zjedzą. A przy okazji też się czegoś nauczą — kontynuowała nauczycielka. — Własnej rodziny nie mam, wydatków za wiele też nie, więc jeśli mogę pomóc, to pomagam.

— Jest pani dobrą osobą — rzuciła z uśmiechem Diana. — Cieszę się, że panią spotkałam. Jestem Diana Lisowska.

— Anna Błaszczuk. — Kobieta uścisnęła wyciągniętą dłoń.

— Skoro już się znamy, to zapraszam panią na kawę — zaproponowała projektantka. — Pokażę, jak się urządziłam i...

— Muszę już iść — przerwała jej nieoczekiwanie nauczycielka w pół zdania. — Dzieci pewnie czekają.

— Oczywiście, rozumiem. — Diana była trochę zaskoczona. — Ale moje zaproszenie jest zawsze aktualne. Proszę zajrzeć któregoś dnia.

Popatrzyła za odchodzącą kobietą i oblizała truskawkową kropelkę spływającą po miękącym wafelku.

Trochę dziwna jednak jest — uznała.





Właśnie skończyła jeść śniadanie, gdy przed bramą zatrzymał się dostawczy bus. Z szoferki wysiadł młody mężczyzna i popatrzył wyczekująco w stronę domu. Diana odsunęła pustą miskę po twarożku i czym prędzej wyszła na próg.

— Dzień dobry! Pan kogoś szuka?! — krzyknęła do kierowcy.

— Tak! — zawołał i zerknął na trzymaną w ręku kartkę. — Diany Lisowskiej.

Podeszła do bramy.

— To ja. O co chodzi?

— Przywieźliśmy piec — oznajmił mężczyzna. — Mam w zleceniu piec z montażem, adres się chyba zgadza, niech pani spojrzy.

Nie musiała sprawdzać.

— Tak, wszystko w porządku! — ucieszyła się. — Ale nie miałam pojęcia, że dzisiaj go panowie przywieziecie.

Użyła liczby mnogiej, bo do kierowcy właśnie dołączył kolega.

— Szef powiedział, że maila wysłali. — Kierowca wzruszył ramionami. — To co? Mamy rozładować czy nie?

— Oczywiście, że rozładować!

Na ten zakup Diana bardzo czekała. To właśnie na piec przeznaczyła sporą część pozostałych po sprzedaży mieszkania pieniędzy. Wiedziała, że lepiej byłoby mieć większe oszczędności na zimowe miesiące, ale czuła, że

po prostu musi spełnić to marzenie. Tak bardzo chciała być niezależna od innych pracowni, móc samej wypalać to, co ulepi!

Na wybór pieca do wypału poświęciła sporo czasu. Prawdę mówiąc, nie znała się na tym, nic jej nie mówiły techniczne parametry. Oczywiście od razu odrzuciła podejrzanie tanie oferty z portali sprzedażowych czy piece wysyłane z Chin. I to był najprostszy etap. Potem wyszukała kilka firm, wydrukowała katalogi z opisami i... poczuła się bezradna.

Nie potrzebowała ogromnego pieca, jaki mieli w dużych pracowniach, ale nie chciała też byle czego. Była gotowa wydać trochę więcej, lecz mieć pewność, że kupuje dobry sprzęt na miarę jej potrzeb. Tylko jak to poznać? Wreszcie postanowiła, że najprościej będzie zapytać. Zadzwoiła pod numer podany na stronie jednego z producentów, do przedstawiciela regionalnego, i już następnego dnia odwiedził ją bardzo sympatyczny pan Marek.

— Co pani chce wypalać? — zapytał bez zbędnych wstępów.

— Nic wielkiego, swoje prace.

— A gdzie by pani chciała ten piec wstawić?

Pokazała mu pracownię.

Pan Marek podciągnął spodnie, które nieco opadały z wydatnego brzucha, rozejrzał się, podszedł do niewielkiej skrzynki na ścianie i pokiwał głową.

— Dobrze pani wybrała, bo mamy tutaj wszystko, co trzeba. Widzę, że ktoś zadbał o odpowiednią instalację.

— A to akurat przypadek, bo ja niedawno kupiłam ten dom. Nawet nie miałabym pojęcia, co trzeba zrobić.

— No to ma pani szczęście. — Mężczyzna pogładził szczeciniaste wąsy.  
— Widać ten piec pani pisany.

Ucieszyła się w myślach, choć podejrzewała, że ta specjalna instalacja, o której nie miała pojęcia, musiała być potrzebna do jakichś narzędzi czy maszyn, z których korzystał stary Maciejak.

— Teraz już wszystkie dane mam, mogę pani przedstawić ofertę — uznał pan Marek. — Tylko może gdzieś usiądziemy, bo muszę wyjąć papiery...

— Oczywiście, zapraszam.

Zrobiła gościowi mocną kawę, o którą poprosił, i usiadła po przeciwnej stronie stołu.

— Tylko proszę mi powiedzieć to tak prosto, bez technicznych szczegółów, żebym zrozumiała — poprosiła.

— Ja już z artystami prawie trzydzieści lat pracuję — uspokoił ją mężczyzna, ocierając spocone czoło. — I wiem, że oni są od rzeczywistości mocno oderwani. I kasy za dużo też nie mają. — Mrugnął porozumiewawczo do Diany. — Niech się pani nie martwi, znajdziemy taki piecyk, że pani będzie zadowolona, a i ja zarobię.

Taka wizja spodobała się projektantce. W ogóle pan Marek swoją bezpośredniością zrobił na niej dobre wrażenie. Nie bawił się w marketingowe gadki, nie używał gładkich, okrągłych zdań jak niektórzy młodzi handlowcy, tylko po prostu załatwiał interes. I zależało mu na zadowoleniu obu stron.

Po kilkunastu minutach wszystko zostało ustalone i umowa podpisana.

— Teraz proszę czekać na informację o dostawie — poinstruował przedstawiciel regionalny.

— A czy mogę zamówić taką usługę, żeby ktoś piec podłączył i sprawdził? — poprosiła Diana. — Wolałabym mieć pewność, że wszystko w porządku i że nie zrobię czegoś źle.

— To nic skomplikowanego — zapewnił z uśmiechem pan Marek, upychając umowę do plastikowej koszulki. — Ale oczywiście chłopaki wniosą, podłączą, wszystko sprawdzą i powiedzą, jak obsługiwać. Chociaż instrukcja też będzie, bo u nas wszystko jest, jak należy — dodał z przekonaniem.

— Bardzo się cieszę!

Pożegnała mężczyznę i nie pozostało jej nic innego, jak zastosować się do jego słów, czyli czekać.

Jak to się stało, że przeoczyła maila z informacją o dostawie? Tego nie wiedziała. Może wpadł do spamu? — zastanawiała się. To jednak nie było już w tym momencie ważne, bo jej wymarzony i wyczekany piec stał przed bramą.

— Otworzy pani, żebyśmy bliżej drzwi podjechali? — zapytał kierowca.

— Jasne, już otwieram!

Rozchyliła drewniane skrzydła bramy, a potem pobiegła do domu, żeby zamknąć Kocia w pokoju.

— Będzie trochę zamieszania, lepiej, żebyś tu zaczekał — wyjaśniła szybko, ale Kocio, urażony bezceremonialnym przeniesieniem w inne miejsce, odwrócił się ostentacyjnie i nie zaszczycił Diany nawet spojrzeniem.

W tym czasie bus już zaparkował przy drzwiach werandy, a mężczyźni zajęli się wynoszeniem z niego ciężkiego ładunku. Widać było, że nie robią tego po raz pierwszy, bo poszło im sprawnie i szybko. Ustawili piec we wskazanym miejscu, podłączyli go i zgodnie z obietnicą pana Marka krótko wyjaśnili i pokazali, jak ustawić i włączyć urządzenie.

— Tylko ja bym pani radził włączać dopiero wtedy, jak będzie pani miała tyle do wypalenia, żeby był pełen — powiedział na koniec kierowca. — Bo jak pani zacznie włączać na każdy wazonik, to na rachunki pani nie zarobi. Ale to już jak tam pani uważa.

— Bardzo dziękuję za pomoc i wskazówki. — Diana wcisnęła kierowcy do ręki pięćdziesięciozłotowy banknot. — Będzie na pizzę w drodze powrotnej. Zjedzcie, panowie, za to, żeby ten piec się nie zepsuł i pięknie mi wszystko wypalał — zaśmiała się.

— Rozumie się. — Drugi z mężczyzn się uśmiechnął. — Niech służy!

Odprowadziła ich do samochodu, a gdy wyjechali, zamknęła bramę.

Nareszcie go miała! Własny piec. I koło!

Moja prawdziwa pracownia! — pomyślała z radością i niewiele myśląc, zaczęła tańczyć i skakać z radości.

Takich emocji nie czuła chyba nigdy. W końcu miała wrażenie, że dobrze pokierowała swoim życiem i że zaczyna spełniać własne marzenia, a nie

czyjeś oczekiwania. Było to tak niesamowite, że aż niewiarygodne!

Stanęła, bo straciła oddech i od kręcenia się w kółko zaczęło jej wirować w głowie. Oparła dłonie na udach i starała się uspokoić oddech. I wtedy ją zobaczyła: stała na palcach przy płocie, żeby móc zobaczyć, co dzieje się na podwórku. Mała dziewczynka, może dziewięcioletnia, w bluzce z kwiatkiem i grzywką spiętą spinką z motylkiem.

— Hej! — Diana uśmiechnęła się do niej i uniosła rękę w powitalnym geście.

Dziewczynka, widząc, że została zauważona, zrobiła zabawnie wystraszoną minę i uciekła. Lisowska roześmiała się głośno i wróciła do domu.







— Nie powiem, żebym była zachwycona — oznajmiła Martyna, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła z niej duży czarny notes.

Oczywiście nadążała za nowinkami technicznymi, doskonale potrafiła korzystać ze wszystkich możliwości swojego iPhone'a, ale nie wyobrażała sobie życia bez notesu. Miała go, odkąd zaczęła pracować, i choć skórzana okładka była już mocno powycierana, a większość kartek zapisana drobnym pismem, to dziennikarka traktowała go jak największy skarb.

Notes był podarunkiem od nieżyjącego już ojca, który bardzo kibicował marzeniom córki. Wspierał ją w decyzji zostania sławną dziennikarką tropiącą największe afery i przeciwstawiał się żonie, która wołała, żeby córka wybrała jakiś spokojniejszy zawód. Kiedy Martyna skończyła studia i dostała się na staż do telewizji, ojciec kupił jej notes w skórzanej oprawie i wręczył, mówiąc:

— Zapisuj w nim to, co najważniejsze. Pamiętaj, że rękopisy nie płoną.

Była wzruszona podarunkiem i cytatem z *Mistrza i Małgorzaty* — powieści, którą obydwójce uwielbiali. I chociaż ojciec zmarł kilka lat temu na nowotwór płuc, a matka wyjechała do swojej siostry na Śląsk, to Martyna za każdym razem, gdy dotykała czarnej okładki, czuła, jakby wracała do rodzinnego domu i czasów, gdy wierzyła, że wszystko jest możliwe.

Od jakiegoś czasu zapisywała na jego pożółkłych kartkach już tylko naprawdę ważne rzeczy, głównie numery telefonów, których wolałaby nie stracić w przypadku awarii telefonu.

— Dobrze, że ojciec nie widzi, na co mi przyszło — westchnęła.

— Na pewno nie oceniałby tego tak surowo — zauważył Tobiasz, który prowadził samochód. — Przecież popierał wszystko, co robiłaś.

— Owszem, ale wtedy miałam ambicję i niezłomną wolę. A teraz? Dałam się wmanewrować w idiotyczne reportaże, takie zapchajdziury w sezonie ogórkowym. — Martyna dała upust targającym nią emocjom.

— Czasami tak bywa — uspokajał mężczyzna. — Sama wiesz, że podczas wakacji kręci się mnóstwo takich materiałów, bo ludzie nie mają głowy do poważnych spraw. Siedzą nad wodą, grillują, a po powrocie chcą obejrzeć coś lekkiego...

— To niech takie materiały kręcą jacyś początkujący. Mówiłam to Kościńskiemu. Dałam mu tyle dobrych tematów, ale on się uparł.

— Doskonale wiesz dlaczego. I nie ma co się tym denerwować.

— Tobiasz, co ty pleciesz! Przecież ja lata całe pracowałam na swoją pozycję! Ludzie mnie kojarzą z dobrym dziennikarstwem, z prawdziwym reportażem i publicystyką na poziomie! — Wrońskiej puszczały nerwy.

— I będą kojarzyć nadal — zapewnił Tobiasz. — Zaręczam ci, że wielu nawet nie zauważy, że ty jesteś autorką tego cyklu. Nakręcimy to tak, żeby nie było cię widać, damy dużo wypowiedzi bohaterów, widoczki, wnętrza — przedstawiał swoją koncepcję. — W końcu ma być o tym, jak mieszkają znani, prawda? No to będzie. Tak to sobie wymyśliłem.

Martyna nieco złagodniała i spojrzała na swojego towarzysza łaskawszym okiem.

— A więc jednak się nad tym zastanawiałaś?

— Sądziłaś, że nie?

— Sama nie wiem... Miałam wrażenie, jakby niewiele cię to obeszło — odparła z lekką urazą.

— Chyba powinnaś wiedzieć, że jestem trochę inny niż ty. — Uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od drogi. — Zamiast tracić energię

na nerwy, zastanawiam się, jak rozwiązać problem.

— Chcesz powiedzieć, że ja nie umiem rozwiązywać problemów? — nadęła się Martyna, urażona jego słowami.

— No, tak się właśnie z tobą rozmawia. Ja mówię jedno, a ty rozumiesz, jak ci wygodnie. Oj, nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam. — Pokręcił głową.

— Dobra, już się nie gniewaj. — Dziennikarka szturchnęła go przyjacielsko w bok.

— Uważaj! Przecież ja prowadzę — przywołał ją do porządku, ale się uśmiechnął.

Jechali malowniczą drogą od Leszczyn do Ciekot. Asfaltowa szosa zakręcała, przecinając tereny przełomu Lubrzanki. Ta okolica o każdej porze roku zachwycała pięknem przyrody, wznoszących się po obu stronach wzgórz i rzeczki wijącej się między powalonymi drzewami.

— Zaraz będziemy widzieć Radostową — zauważył Tobiasz. — I szklany dom w Ciekotach.

— Rzeczywiście, szybko poszło — odparła Martyna. — Co za szczęście, że ten Woliński nie mieszka gdzieś na obrzeżach województwa, bo stracilibyśmy cały dzień.

— Ale musisz przyznać, że Święta Katarzyna to dobra miejscówka. Sam chciałbym tam zamieszkać. Puszcza Jodłowa za płotem, Łysica na wyciągnięcie ręki, a do miasta kwadrans autem. Można dojeżdżać nawet codziennie.

— To zakładaj biznes, zarób i kupisz sobie jakąś willę niedaleko klasztoru.

— Wiesz, że lubię to, co robię — odparł Tobiasz. — Ale pomarzyć zawsze można, prawda? Za to się nie płaci.

— Racja, pomarzyć można — zgodziła się Martyna. — I ja właśnie marzę o tym, żeby już zrobić materiał i mieć z głowy. A jak pomyślę, że jeszcze mnie czeka ten Kownacki, to naprawdę robi mi się niedobrze. — Znowu wróciła do tematu, który zaprzętała jej głowę.

— To może powinnaś rzucić pracę w regionalnej telewizji i wystartować do jakiejś ogólnopolskiej stacji? — zaproponował Tobiasz.

Spojrzała na niego spod oka.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej — zapewnił. — Masz doskonały dorobek, jesteś profesjonalistką, powinni cię brać z pocałowaniem ręki.

— Wiesz dobrze, że to nie takie proste.

Wrońska założyła za ucho niesforny czarny kosmyk.

— Takich jak ja mają do wyboru, do koloru. Musiałabym znaleźć jakiś naprawdę mocny temat, coś, co zainteresowałoby wszystkie media, poszło na cały kraj! — perorowała z entuzjazmem. — Wtedy tak, wtedy każda stacja wzięłaby mnie do siebie!

— Skoro tak, to pozostaje ci czekać na tę szansę. A na razie wygląda na to, że musisz robić cykl o domach.

— Żeby tylko o to chodziło! — Martyna uderzyła dłonią w deskę rozdzielczą. — Doskonale wiesz, że to wszystko jest tylko przykrywką do promowania Kownackiego! I to mnie wkurza najbardziej! Z tym właśnie nie mogę się pogodzić!

— Jakoś będziesz musiała — sprowadził ją na ziemię Tobiasz. — I to chyba szybko, bo właśnie wjeżdżamy do Świętej Katarzyny. Wpisz dokładny adres do nawigacji, dobrze?

Martyna prychnęła, ale posłusznie wykonała prośbę.





**D**iana pracowała w ogrodzie Wolińskiego. Podcięła kilka gałęzi, uformowała nieco niesforny krzew i mogła zająć się mniejszymi roślinami.

Każdy ogród na początku wymaga sporo pracy. Trzeba dbać o młode sadzonki, uważać, żeby nie zagłuszyły ich chwasty. Dopiero po jakimś czasie, gdy będą już wystarczająco silne, zapuszczą korzenie i rozrosną się, można trochę odpocząć ze świadomością, że sobie poradzą.

To trochę jak ze związkim — rozmyślała Diana, wyrywając chwasty spomiędzy kwiatów. — Też trzeba go pielęgnować, doglądać, starać się. Pozbywać się tego, co mu zagraża, dostrzegać to, co złe, i eliminować. A wszystko po to, żeby potem móc cieszyć się owocami swojej pracy i poczuć szczęście i spokój.

Była zadowolona z tego porównania, tak samo jak ze swojej pracy. Ogród Wolińskiego zyskał nowe życie, nie tracąc jednocześnie tego, co było jego niewątpliwą zaletą — odrobiny dzikości, związku z lasem i otaczającą go naturą. W tej wizji zgadzali się z właścicielem, więc praca u niego była dla Diany prawdziwą przyjemnością.

Była wdzięczna Baranowskiej, że skontaktowała ją ze swoim znajomym i poleciła mu jej usługi. Gdyby nie to, pewnie nie trafiłaby do Świętej Katarzyny, nie zachwyciła się nią i nie odnalazła tak szybko własnego miejsca na ziemi.

Woliński okazał się nie tylko dobrym zleceniodawcą, ale i bardzo miłym człowiekiem. Dużo pracował, a w wolnych chwilach jeździł rowerem, odwiedzał siłownię, a najchętniej przesiadywał na tarasie swojej willi. Widać było, że lubi kontakt z naturą i ona go relaksuje, więc Diana była zadowolona, że jej praca sprawi mu czystą radość, a ogród nie będzie tylko na pokaz, lecz stanie się potrzebnym i wykorzystywanym miejscem.

Czasami, gdy robiła sobie przerwę, mężczyzna częstował ją kawą i ucinali sobie pogawędkę. Woliński kibicował Dianie w jej życiowym wyzwaniu, z chęcią i zainteresowaniem słuchał o postępach w urządzaniu jej domu i planach na przyszłość.

— Silne kobiety potrafią zawalczyć o swoje szczęście — powiedział kiedyś. — I mężczyźni powinni o tym pamiętać.

Tego dnia nie pojechał do pracy, co poznała po samochodzie zaparkowanym na podjeździe. Nie wyszedł jednak do ogrodu, więc uznała, że pracuje w domu. Nie miała zamiaru mu przeszkadzać, nie czuła się upoważniona do tego. W końcu nigdy nie zaprosił jej do środka, a ona nie chciała w żaden sposób naruszać jego prywatności. Była przecież wynajętą przez niego projektantką ogrodów, dla której był zwyczajnie miły. Nic więcej.

Zajęła się swoimi obowiązkami i nawet nie zauważyła, że ktoś wszedł do ogrodu. Dopiero kobiecy głos za plecami sprawił, że podniosła wzrok znad klombu z astrami.

— Dzień dobry, czy to willa Krzysztofa Wolińskiego?

Poznała ją od razu. Co prawda nie była zwolenniczką telewizji i bardzo rzadko włączała odbiornik, ale widywała Martynę Wrońską na koncertach i wystawach, gdzie bywała z Mateo.

— Tak, to jego dom — odpowiedziała, nie przerywając zajęcia.

— Świetnie! — ucieszyła się dziennikarka. — Tobiasz, chodź!

Dołączył do niej mężczyzna z kamerą.

— Dobrze trafiliśmy. Bo wie pani, ta willa jest trochę oddalona od ulicy... — wyjaśniała reporterka.

— Tak, rzeczywiście. Ale takie położenie zapewnia spokój i ciszę — odparła Diana znad astrów.

— Cóż, właściwie nie dziwię się takiemu wyborowi.

Martyna na migi dała znać swojemu towarzyszowi, żeby zaczął nagrywać.

— Pan Woliński na pewno potrzebuje odpoczynku, takiego resetu, gdy wraca po całym dniu ciężkiej pracy — zarzuciła wędkę.

— Tak, bardzo lubi spędzać czas w ogrodzie. — Diana nie zauważyła, że jej odpowiedź została uwieczniona przez Tobiasza.

— A jakie kwiaty lubi najbardziej?

Projektantka nie zdążyła odpowiedzieć, bo na progu ukazał się gospodarz i z uśmiechem przywitał gości.

— Już miałem dzwonić — powiedział. — Wiem, że za pierwszym razem ciężko odnaleźć ten adres.

— Dobra dziennikarka zawsze trafi tam, gdzie chce. — Martyna posłała mu promienny uśmiech. — I dowiedziałam się już, że ceni pan spokój i ciszę. — Spojrzała wymownie na Dianę.

— To prawda — przyznał biznesmen. — Zapraszam państwa do środka, tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Bo, o ile dobrze zrozumiałem, chcecie państwo zrobić program o tym, jak mieszkam.

— Tak — potwierdziła Martyna, uważnie przyglądając się Wolińskiemu. — I już widzę, że to będzie ciekawy materiał.

— Jeszcze nie obejrzała pani wnętrza — odparł mężczyzna. — Proszę nie spodziewać się niczego spektakularnego, cenię sobie prostotę i naturalność — zastrzegł.

Puścił dziennikarkę i operatora przodem, a sam poszedł za nimi.

Diana mogła wrócić do swojego zajęcia, co przyjęła z ulgą. Przy ogrodowych pracach wolą być sama, wtedy mogła pozwolić myślom swobodnie płynąć, a czas przestawał mieć znaczenie. Lepszego sposobu na relaks nie znała. No, może poza lepieniem z gliny.

Proszę, proszę, telewizja robi program o jego domu — rozmyślała, porządkując kolejne klomby. — Mnie nikt raczej nie zaproponuje niczego



podobnego. A swoją drogą, nie wiem, czemu mają służyć takie materiały. Czy ludzi naprawdę to interesuje?

Rozumiała, że Woliński zgodził się na taką współpracę ze względów promocyjnych. Nie podejrzewała, żeby kierowały nim próżność i chęć zdobycia sławy u widzów regionalnej telewizji. A przynajmniej nigdy w czasie rozmowy i przelotnych kontaktów z nią nie wykazywał takich cech.

Chociaż nigdy nie wiadomo, co w kim naprawdę siedzi — westchnęła, wspominając Mateo, który też na początku wydawał jej się inteligentnym, poważnym i poukładanym człowiekiem. A co było potem? Wiadomo.

Woliński przynajmniej nie wyciągałby od kobiety pieniędzy — stwierdziła, zbierając chwasty do zielonego wiaderka. Podniosła się, żeby wynieść je na kompostownik, gdzie przez zimę przetworzą się na naturalny nawóz.

— Proszę nie uciekać — usłyszała głos Wrońskiej.

Diana przystanąła i odwróciła się w stronę domu. Dziennikarka właśnie zbiegała ze schodów.

— W środku już skończyliśmy — poinformowała. — Mamy piękne ujęcia, będzie naprawdę dobrze. Pan Krzysztof tak ciekawie opowiadał o swojej kolekcji, że aż żal było przerywać.

Projektantka nie miała pojęcia, o czym tamta mówi, więc w odpowiedzi po prostu się uśmiechnęła.

— Ale nie możemy pominąć tego pięknego ogrodu, w który wkłada pani tyle pracy. — Wrońska chwyciła Dianę za rękę. — Może stanie pani tutaj, a pana — skinęła głową na Wolińskiego, który zjawił się tuż za nią — poproszę obok. — Rozejrzała się w poszukiwaniu swojego towarzysza. — Tobiasz, pozwól tutaj! — dyrygowała. — Zrobimy piękne ujęcie małżonków na tle krzewu i tych różowych kwiatków.

— To są hortensje — poprawiła odruchowo Diana.

— A to nie jest moja żona — dodał Woliński.

— Jak to? — Wrońska nagle się zatrzymała. — To co w takim razie ta pani tu robi?

— To, co pani widzi. — Diana wskazała na wiaderko. — Pielęgnuję rośliny. Jestem architektką zieleni.

— Ach! — zdziwiła się Wrońska, ale od razu odzyskała rezon. — W takim razie zrobimy samego pana Krzysztofa. Na tle tych... hortensji.

Diana zrozumiała, że nic tu po niej. Bez żalu poszła w kierunku końca ogrodu, gdzie urządziła kompostownik.

— Pani Diana to profesjonalistka, to dzięki jej staraniom ogród tak pięknie wygląda — słyszała wyjaśnienia Wolińskiego. — Zresztą tak jej się spodobała okolica, że od niedawna także tutaj zamieszkała. Kupiła stary dom i...

— Proszę się przesunąć troszkę w lewo — przerwała mu Wrońska. — A ty, Tobiasz, zrób najazd i zbliżenie na twarz. To jakie kwiaty lubi pan najbardziej? — zwróciła się do Wolińskiego.

Diana parsknęła śmiechem.





Zbliżał się koniec wakacji i chociaż chyba każdy marzy o złotej polskiej jesieni, to wiadomo, że pogoda lubi zaskakiwać. Dlatego Diana uznała, że prace, które powinna wykonać na zewnątrz, najlepiej byłoby zakończyć jeszcze w czasie słonecznej letniej aury. Na szczęście lato jeszcze nie zamierzało się poddać i sierpniowe słońce sprzyjało zarówno wypoczynkowi, jak i wszystkim pracom wymagającym dobrej pogody.

Jeżeli potem zacznie padać, to nie zrobię niczego na podwórku, a i w domu będzie chłodniej — rozważała, starając się ułożyć plan dnia. — Powinnam jak najszybciej pomalować meble, żeby zdążyły dobrze wyschnąć przed chłodnymi i mokrymi dniami.

To postanowienie wydało jej się rozsądne i przyjemniejsze niż siedzenie przed monitorem.

Wieczorem popracuję nad projektem — rozgrzeszyła się w myślach.

Włożyła swój roboczy strój — dżinsowe ogrodniczki z second handu, za duże o kilka rozmiarów, ale nie krępujące ruchów, stare trampki i spraną bluzkę, kiedyś zieloną, a teraz raczej miętową. Ubrania nosiły ślady gliny, ale także farby, bo dotychczas Diana zdążyła pomalować już stół, szafę i półki w pracowni. Teraz przyszedł kolej na komodę.

Mebel okazał się cięższy, niż Lisowska sądziła, i w pewnej chwili wydało jej się nawet, że nie zdoła wyciągnąć go na podwórze. Wyprostowała się, otarła pot z czoła i gniewnie popatrzyła na komodę.

— I co? Uważasz, że zrezygnuję? — powiedziała głośno. — Naprawdę sądzisz, że dam się pokonać kilku deskom? Niedoczekanie!

Ponowiła wysiłki, wspomagając się ścierką podłożoną pod nóżki. Wyciągnęła mebel na zewnątrz, ale nie zdołała dopchnąć go w cień przy stodole, więc musiała zacząć malowanie w pełnym słońcu.

Diana wymarzyła sobie, że jej dom będzie jasny i optymistyczny. Chciała, żeby było w nim dużo światła. Uznała, że białe ściany w połączeniu z drewnianymi podłogami tworzyły doskonałą bazę do realizacji tej koncepcji.

W przypadku mebli nieco się wahała. Niestety, były dość mocno zniszczone, najwyraźniej poprzedni właściciel nie dbał o nie. Odpadało pozostawienie ich w naturalnym stanie nawet po odczyszczeniu. Musiała zdecydować się na amatorską renowację, czyli użycie kolorów.

Po namyśle wybrała delikatny beż, dochodząc do wniosku, że taka naturalna barwa będzie dobrze komponować się z polnymi kwiatami, glinianymi naczyniami i rustykalnym klimatem, jaki chciała uzyskać. Ale beż zawsze wydawał jej się nudny, nijaki.

Głowiła się przez kilka dni i wreszcie znalazła rozwiązanie. Przypomniała sobie meble w dworku Tamary. Podczas pobytu w Stacji Jagodno zachwyciły ją stare meble pomalowane w kolorowe kwiaty i nawet miała zapytać, kto jest autorem lub autorką tej przemiany, ale zapomniała. Co prawda takie duże wzory i intensywne kolory nie pasowałyby do jej projektu, lecz wspomnienie sprawiło, że wpadła na pewien pomysł.

Poszła na spacer i przy polnych drogach na obrzeżu lasu zebrała liście drzew, paproci i różnych roślin. Ułożyła je na kupionym kartonie i wycięła z niego ich kształty. W ten sposób stworzyła szablony.

Wypróbowała swój pomysł na stoliku, który najpierw pomalowała na biało, a gdy wysechł, ułożyła kartonowe roślinne kształty w różnych miejscach, lekko przyklejając je na brzegach kawałkami plasteliny. Ostatnim etapem było malowanie beżową farbą. Gdy po tej próbie Diana zdjęła szablony, stół stał się zupełnie innym meblem — ciekawym, odświeżonym, jasnym, ale z pewnością nie nudnym. Białe wzory liści nie

kontrastowały zbyt mocno z beżowym tłem, lecz nadawały meblowi oryginalności.

O to właśnie chodziło. Zadowolona z efektu Lisowska szybko zajęła się szafą, która także wyglądała zdecydowanie lepiej w nowej szacie. A teraz przysła kolej na komodę.

Oczywiście pierwszym etapem pracy było użycie bieli, co nie wymagało wiele uwagi ani precyzji. Diana ze spokojem otworzyła puszkę i wymieszała jej zawartość drewnianym patyczkiem. Założyła rękawiczki i sięgnęła po pędzel. Ledwie zdążyła kilka razy pociągnąć nim po boku komody, usłyszała dźwięk telefonu.

Cholera! — zdenerwowała się. — Że też zawsze ktoś musi dzwonić w najmniej odpowiednim momencie.

Żeby wyciągnąć smartfona z kieszeni spodni i odebrać połączenie, musiała zdjąć rękawiczki.

Na pewno przestanie dzwonić, zanim to zrobię — przewidywała rozwój wypadków.

Jednak dzwonek nie milkł. Wreszcie wydobyła telefon i zobaczyła na wyświetlaczu nieznany numer.

Może to ktoś z ogłoszenia — uznała. — Odbiorę, bo szkoda byłoby, gdyby uciekło mi jakieś zlecenie.

Z doświadczenia wiedziała, że ludzie zwykle dzwonią tylko raz. Jeśli nie nawiążą kontaktu, szukają kogoś innego. Sama przecież robiła podobnie.

— Lisowska, słucham? — Starła się nadać głosowi miły ton, żeby zrobić dobre wrażenie na potencjalnym zleceniodawcy.

— Tak się właśnie domyślałem, że mnie zablokowałeś — usłyszała głos, którego słyszeć nie chciała.

Zaskoczona odruchowo zrobiła krok w tył i poczuła, że potrąca stopą puszkę z farbą, a kątem oka dostrzegła, że jej zawartość wylewa się na trawę.

— No nie! — krzyknęła ze złością.

— To raczej ja powinienem się denerwować, nie sądzisz? — Mateo najwyraźniej wziął jej krzyk do siebie. — Nie mogę się do ciebie

dodzwonić. A co byłoby, gdybym potrzebował pomocy?

— Niech ci jej udzielią te panienki, z którymi piszesz — odpowiedziała bez zastanowienia.

— Ha, niepotrzebnie jesteś zazdrosna. Przecież wiesz, że zawsze najbardziej ceniłem ciebie. I tylko z tobą potrafiłem rozmawiać o wszystkim...

— Nie jestem zazdrosna i nie chcę z tobą rozmawiać! — Była zła, że znowu dała się nabrać na jego manipulacje. — Nie dzwoń do mnie więcej!

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. I od razu zablokowała numer, z którego dzwonił.

Rozgoryczona, wściekła, ze łzami w oczach zaczęła ratować resztki farby. Kiedy podniosła głowę, żeby odgarnąć opadające na twarz włosy, zobaczyła stojącą za płotem kobietę z siwym warkoczem. Szybкими ruchami pędzla zebrała większość farby z trawnika i przeniosła ją na folię, którą rozłożyła wokół komody. Sytuacja była z grubsza opanowana. Diana wyprostowała się i spojrzała tam, gdzie widziała nieznajomą. Jednak kobiety już tam nie było.

Ciekawe, czy słyszała, co mówiłam — pomyślała. — A swoją drogą, to mogłaby chociaż zamienić ze mną kilka słów, zamiast pojawiać się i znikać niczym duch. Kim ona w ogóle jest?

Straciła ochotę na malowanie. Wróciła do domu i zrobiła sobie kubek mocnej kawy, a z kuchennej szuflady wyciągnęła paczkę papierosów. Co prawda ostatnio bardzo mało paliła, ale nieoczekiwany telefon od Mateo zupełnie wyprowadził ją z równowagi.







**D**o końca dnia nie mogła się na niczym skupić. Wciąż powracała w myślach do rozmowy z Mateo.

Czego on jeszcze ode mnie chce? — zastanawiała się, przerywając pracę nad projektowaniem ogrodu dla pewnej pani, która po latach pracy za granicą wróciła do kraju i kupiła dom. — Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Ma przecież tyle koleżanek zainteresowanych znajomością z nim, a pewnie także związkiem. Dlaczego przyczepił się jak rzep psiego ogona i nie pozwala mi spokojnie żyć?

Nie bardzo wiedziała, jak uchronić się przed niepożądanym kontaktem. Blokowanie połączeń na dłuższą metę nie było sensowne. Jej były mógł przecież korzystać z kolejnych numerów, z telefonów znajomych, a ona musiała odbierać połączenia z numerów, których nie znała, bo w ten sposób zgłaszali się chętni do skorzystania z jej usług.

Teraz za każdym razem, gdy zadzwoni telefon, będę miała duszę na ramieniu — westchnęła zrezygnowana. — I będę musiała liczyć się z tym, że znowu usłyszę jego głos.

Trudno było odciąć się od dręczących myśli. Co prawda udało jej się wrócić do malowania i na szczęście wystarczyło farby, więc biała komoda schła już na podwórzu. Nawet widok własnoręcznie odnowionego mebla nie poprawiał Dianie samopoczucia.

Znowu udało mu się zniszczyć moją radość — złościła się w duchu, ale nic nie mogła na to poradzić.

Chodziła od okna do okna, a zdziwiony jej zachowaniem Kocio wodził za nią oczami.

— Co mam zrobić? — zapytała kocura. — Nie mogę usiedzieć na miejscu. Ten facet rozwalił mnie po raz kolejny i nie umiem nad tym zapanować.

Gdybym chociaż miała z kim porozmawiać. Wygadałabym się i byłoby nieco lżej. Ale jestem z tym wszystkim zupełnie sama, nie mam w zanadrzu kolegów, nie flirtowałam z nikim, głupia, lojalna frajerka — żaliła się w duchu na swój los. — Trzeba było się nie przejmować, nie starać, mieć wszystko w nosie i myśleć tylko o sobie. Jak widać to popłaca, w przeciwieństwie do dbania o związek.

Czuła w głębi duszy, że w to nie wierzy, że jednak nadal ceni pewne wartości, lecz gdy myślała o sobie i o tym, jak na nich wyszła, miała wrażenie, że spotkała ją niesprawiedliwość. Najchętniej położyłaby się do łóżka, nakryła kołdrą i spała tak długo, jak się da. Nie miała ochoty ani na jedzenie, ani na spacer, ani na pracę. Wiedziała jednak, że musi skończyć projekt, skoro obiecała, że pokaże wstępną koncepcję i kosztorys w ciągu trzech dni. A termin mijał jutro, więc nie mogła sobie pozwolić na ucieczkę od rzeczywistości. Niechętnie wróciła przed monitor. Starła się skupić na tym, co rysuje, ale ciągle się myliła i poprawiała.

Diana, musisz wziąć się w garść, to dobre zlecenie — motywowała się. — Nie możesz pozwolić, żeby ten dupek pozbawiał cię środków do życia. Ta kasa jest ci potrzebna choćby po to, żeby kupić drewno na zimę. Chcesz przez tego gnojka marznąć?

Niezbyt miłe określenia byłego partnera pomagały zamienić zdenerwowanie w złość na niego, a ta z kolei dodawała sił do działania.

Przecież z tego najbardziej by się cieszył — myślała, rozmieszczając na projekcie rośliny. — Z tego, że coś by mi się nie udało, coś by nie poszło, gdybym była nieszczęśliwa. Nie dam mu tej satysfakcji! Za nic! — postanowiła.

Po dwóch godzinach pracy wreszcie coś zaczęło jej wychodzić. Powoli wracały zadowolenie i poczucie, że praca posuwa się naprzód.

I wtedy zadzwonił telefon.

O, nie! Nie odbiorę! — Postanowiła udać, że nie słyszy, choć serce natychmiast podeszło jej do gardła, a żołądek ścisnął się w bolesną kulkę.

Dzwoniący jednak nie dawał za wygraną. Diana powoli, niechętnie wstała i poszła do kuchni, gdzie zostawiła smartfona. Niepewnie, z daleka, starała się dostrzec napis na wyświetlaczu. Gdy udało jej się go odczytać, natychmiast rzuciła się w kierunku drewnianego blatu.

— Halo!

— Diana? Dlaczego tak krzyczysz?

— Tak, to ja. Przepraszam, biegłam do telefonu, żeby zdążyć odebrać. — Trochę minęła się z prawdą, ale niełatwo przecież przyznać się do strachu przed telefonicznym dzwonkiem.

— Właśnie zaczęłam się już zastanawiać, czy coś się nie stało.

Projektantka usiadła na krześle i poczuła, że troska Tamary — bo to ona właśnie dzwoniła — sprawiła jej dużą przyjemność.

— Jak widzisz, żyję — odpowiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał radośnie i bez troski.

— Bardzo się cieszę, ale życie to dopiero początek. Ważniejsze jest to, jak żyjesz.

— Oj, filozoficznie się zrobiło — zazartowała.

Tamara się roześmiała.

— Jakoś tak od kilku dni myślę o tobie — powiedziała. — I zbieram się, żeby zadzwonić, i ciągle coś mi przeszkadza.

— Rozumiem, na pewno masz mnóstwo pracy. — Diana wykazała się zrozumieniem.

— Owszem, ale nie narzekam. Stacja Jagodno przez całe wakacje miała pełne obłożenie — pochwaliła się Tamara. — I jeśli tylko skończymy drugie skrzydło, to także tam nie będzie problemu z zapełnieniem pokoi.

— To świetnie! — Diana szczerze się ucieszyła.

Dworek w Jagodnie zajmował ważne miejsce w jej sercu i chociaż swój dom znalazła gdzie indziej, to często myślała o znajomych z Jagodna.

— Na szczęście panna Zuzanna już całkiem doszła do siebie, więc ma oko na wszystko i dyryguje kuchnią. A Marzenka, Łukasz i ja ogarniamy resztę.

— A co u pani Róży? — zapytała Diana.

— Właśnie dziś u niej byłam. Nieźle sobie radzi, oczywiście jeśli nie liczyć problemów z chodzeniem. Pytała o ciebie i zawstydziałam się, że nic nie wiem. Mów więc szybko, żebym miała jej co przekazać.

— Możesz powiedzieć, że powoli się urządzam. Dobrze mi tutaj, pokochałam mój nowy dom. Kocio też.

— Miło to słyszeć. Wierzyłam, że dasz radę. Na pewno wszystko pięknie urządziłaś.

— Najlepiej byłoby, gdybyś sama zobaczyła — odparła Diana. — Może mnie odwiedzisz? Najlepiej z towarzysztwem. Posiedzimy w ogrodzie, Różyczka pobawi się z Kociem...

— Dzięki za zaproszenie. Brzmi kusząco, bo powiem ci, że ostatnio rzadko mam okazję posiedzieć spokojnie. Postaram się jakoś to zorganizować, ale kiedy dokładnie, to nie wiem. Sama rozumiesz, jeszcze mamy gości... — tłumaczyła Tamara.

— Mam nadzieję, że nie będę czekała do zimy. Bo prawdę powiedziawszy, chwilami czuję się tu bardzo samotna — wyznała szczerze Lisowska.

— Wiem, domyślałam się. Na początku w Jagodnie też tak się czułam. Ale z czasem poznasz ludzi i będzie lepiej, uwierz — pocieszała ją Tamara.

— Mam nadzieję — westchnęła Diana.

— Uszy do góry! Niedługo cię odwiedzimy, a na razie muszę kończyć, bo jakaś stęskniona mała dziewczynka ciągnie mnie do łóżka — roześmiała się Tamara. — Obiecałam, że poczytam jej bajkę o jednoroźcu.

— Skoro obiecałaś, to nie ma wyjścia. Ucałuj Różyczkę ode mnie i pozdrów wszystkich. Zwłaszcza panią Różę.

— Jasne! Do zobaczenia!

Jak różne potrafią być telefony — pomyślała Diana, odkładając smartfona. — Jeden potrafi cię totalnie zdołować, a inny podnosi na duchu i przypomina, że są na świecie wspaniali ludzie. Jak dobrze, że Tamara zadzwoniła! Tego właśnie mi było trzeba!





**N**a widok wchodzącej do salonu Martyny Tobiasz odłożył hantle i sięgnął po ręcznik.

— To co? Kiedy montujesz ten materiał o Wolińskim? — zagadnął.

Dziennikarka pogardliwie wydeła usta.

— Wcale nie chce mi się za to zabierać.

— Nie przesadzaj, facet był kontaktowy, fajnie opowiadał, ma pasję. Ciekawa rozmowa była, chyba nie zaprzeczysz?

— Nie mówię, że nie była ciekawa. — Kobieta usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę. — Właściwie biznesmeni są zwykle nudni, bo nie zajmują ich nic poza pracą, ale tu rzeczywiście trafił nam się wyjątek.

— I dom też fajny. Aż trudno uwierzyć, że urządził go sam, bez pomocy dekoratora.

— Tak, akurat — roześmiała się Wrońska. — Pewnie tylko tak mówi, żeby się pochwalić. Sam widziałeś, że do pielęgnacji ogrodu zatrudnił dziewczynę.

— Tego akurat się nie wypierał — zauważył Tobiasz. — Nawet bardzo ją chwalił.

— A co miał robić, skoro tam była? No i my ją widzieliśmy. A dekoratora nie widział nikt. Wiesz, bogaci mają różne pomysły. Wystarczył jeden zapis w umowie i wyższa stawka, a taki specjalista nigdy nie zdradzi, że

w czymkolwiek pomagał. A pan Woliński będzie mógł opowiadać o swoich talentach wnętrzarskich.

— Nie wyglądał na takiego — upierał się przy swoim Tobiasz. — Zrobił na mnie wrażenie całkiem normalnego faceta.

— A czemu ty go tak bronisz? — zdenerwowała się Martyna.

— Nie bronię, tylko trzymam się swojego zdania. — Tobiasz zawiesił ręcznik na szyi i pociągnął znacząco nosem. — Idę pod prysznic — oświadczył. — Mam się spieszyć czy dziś jest trochę czasu?

— Ty masz wolne przedpołudnie — poinformowała kobieta. — Dopiero o szesnastej pojedziemy nakręcić kilka wstawek do mojego programu.

— Czyli masz już potwierdzenie, że wchodzisz do ramówki?

— Że wchodzę, to chyba jasne. — Wzruszyła ramionami. — Nadal otwarta jest kwestia godziny. Ale o tym właśnie jadę za chwilę rozmawiać.

— Masz spotkanie z Kościńskim? — zainteresował się Tobiasz.

— Owszem, chociaż on jeszcze o tym nie wie. Zrobiłam spis gości i tematów, które mu przedstawię. Same petardy! Dwie noce nad tym siedziałam!

— To dlatego światło z salonu budziło mnie w środku nocy. — Tobiasz pokiwał głową. — A ja sądziłem, że podjadasz nocami.

— Chyba ty! — oburzyła się Martyna. — Jak widzisz, wciąż utrzymuję wagę i nie muszę każdego dnia w pocie czoła podnosić tych ciężarków. — Wskazała wzrokiem hantle.

— Nie robię tego, żeby schudnąć, tylko dla rzeźby. To się podoba kobietom, prawda?

— Apollo się znalazł! — rzuciła kpiąco Martyna. — Dobra, dosyć tego gadania, muszę jechać. Trzymaj za mnie kciuki!

— Oczywiście. — Uśmiechnął się. — Wracaj z tarczą!

Wrońska jechała do redakcji z przekonaniem, że wszystko pójdzie po jej myśli. Naprawdę włożyła w zaplanowanie programu dużo pracy. Przemyślała wszystko dokładnie, dobrała niezłe tematy i interesujących gości. Oczywiście, niektóre sprawy były kontrowersyjne, ale przecież o to właśnie chodziło. Dyskusje w sieci, które toczyły się często jeszcze długo



po programie, dodatkowo napędzały oglądalność i promowały stację. Oraz oczywiście ją, Martynę Wrońską.

Jaki szef odrzuciłby coś takiego? — myślała, parkując przed siedzibą telewizji. — Przecież to byłoby strzeleniem sobie w kolano. Chyba Kościński nie jest aż tak głupi!

Wkroczyła do sekretariatu dyrektora pewnym krokiem.

— Cześć, Jolka! — przywitała sekretarkę. — Szef u siebie?

— Tak, ale chyba w niezbyt dobrym humorze — odpowiedziała dziewczyna. — Pytał nawet o ciebie, ale powiedziałam, że dzisiaj jesteś w terenie. Chociaż w sumie to nie wiedziałam...

— Dzięki, kochana! Masz u mnie ciacho z naszej kawiarenki. — Wrońska posłała sekretarce buziaka. — Ale skoro już jestem, to zaryzykuję i wejść. — Wskazała drzwi gabinetu.

— Jak chcesz, ja bym się zastanowiła...

— Jest ryzyko, jest zabawa. — Dziennikarka uśmiechnęła się i zastukała do drzwi. Nie czekając na pozwolenie, weszła do środka i oznajmiła: — Podobno pytał szef o mnie.

— A, jest i nasza reporterka — rzucił ironicznie Kościński.

— Owszem, jestem, a na dodatek mam dla ciebie coś naprawdę dobrego.

— Tak? A cóż to takiego?

Położyła na biurku plik kartek.

— I co to ma być? — Kościński nawet na nie nie spojrział.

— To spis tematów i gości do mojego programu — wyjaśniła. — Jestem pewna, że ludzie będą o tym mówić. — Oparła się rękami na blacie biurka i pochyliła nad dyrektorem. — Na pierwszy ogień wezmę tę aktywistkę od tęczyowych marszów — powiedziała pewnym siebie tonem. — I jeszcze jakiegoś psychologa, ale tu się zastanawiam kogo. Pewnie z ośrodka dla młodzieży, żeby był w temacie. — Czekała na reakcję, ale mężczyzna milczał. — Nie rozumiesz? — zdziwiła się. — Porozmawiam z nimi o hejcie, o samobójstwach wśród młodzieży i o tolerancji. To teraz bardzo nośny temat i...

— Nośny to on był pół roku temu — przerwał jej Kościński. — I wszyscy robili o tym audycje, pisali artykuły. Każdy się wypowiedział. A aktywistki z kolczykami w nosie i tęczową flagą w dłoniach już nie robią na nikim wrażenia.

— Słucham?

Wrońska była zaskoczona, ale też nie mogła uwierzyć w to, jak szef wypowiedział się o dziewczynie, z którą chciała rozmawiać. Nie mówiąc już o temacie, który przecież każdy rozsądnie myślący człowiek powinien uznać za ważny.

Owszem, Martynie zależało, żeby jej rozmowy rozbudzały emocje, ale też duże znaczenie miały podejmowane tematy. Niejeden raz udawało jej się coś naprawić, zwrócić uwagę na problemy zamiatane pod dywan w ich mieście i regionie. To dawało jej wiele satysfakcji i poczucie, że realizuje najważniejszą dziennikarską misję.

Tymczasem Kościński jakby w ogóle nie zauważył emocji Martyny. Spokojnie, jednostajnie postukiwał końcem długopisu w biurko.

— A tak w ogóle to dlaczego mi to przyniosłaś? O ile pamiętam, podczas naszej ostatniej rozmowy ustaliliśmy, że jeszcze nie ma decyzji co do ramówki.

— Owszem, ale chodziło o godzinę emisji — przypomniała dziennikarka.

— Wtedy tak, ale teraz zaczynam się zastanawiać, jak w ogóle ma wyglądać nasza współpraca...

Martyna zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem...

— A co tu jest niejasne? Chyba powiedziałem, że masz się zająć cyklem reportaży. I jakoś nie widzę efektów.

— Byliśmy już u tego Wolińskiego, w ciągu dwóch dni mogę wszystko zmontować.

— Mnie nie interesuje, co możesz, ale to, co robisz — odparł oschle. — Niestety, niczego nie widzę. A co z dalszymi reportażami? Na jakim etapie jest praca?

Od razu zrozumiała, o co pyta. Oczywiście zależało mu tylko na jednym bohaterze.

— Byłam w biurze Kownackiego, powiedziałam, w czym rzecz, i czekam, aż oddzwonią z informacją, kiedy będzie miał czas.

— I to mówi osoba, która ma się za gwiazdę reportażu? — zakpił bez skrępowania. — Ja mam cię uczyć, co trzeba zrobić w takiej sytuacji? Czekasz, zamiast wykazać się aktywnością? To jakiś żart?!

Wrońska czuła się jak strofowana uczennica. Zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli teraz zacznie się z nim kłócić, może stracić wszystko. Musiała powściągnąć emocje.

— Dobra. — Cofnęła się, zabierając kartki z biurka. — Idę przyśpieszyć sprawę. Spod ziemi wykopię tego Kownackiego i zrobię ten reportaż. A Woliński będzie gotowy pojutrze.

— Widzę, że zrozumiałaś, co jest naprawdę ważne. — Dyrektor pokiwał głową. — Lepiej późno niż wcale.

— W takim razie kiedy mam wrócić z moją propozycją? — podchwyciła Wrońska.

— Porozmawiamy, gdy będzie wiadomo, jak się spodobał ten cykl.

— Ale jesienna ramówka...

— Wchodzi dopiero w połowie września — przerwał jej. — Mamy jeszcze trochę czasu. Jeśli się postarasz, to może zdążysz.

— Rozumiem. — Kiwnęła głową i zacisnęła zęby.

Wyszła z gabinetu wściekła i z poczuciem, że została poniżona.

— Mówiłam, że lepiej dzisiaj do niego nie wchodzić — skwitowała Jolka, widząc jej minę.

Odprowadziła dziennikarkę spojrzeniem, a potem pomyślała, że chyba gwiazda ich stacji wkrótce nieco przygaśnie.





**P**rzez cały sezon wakacyjny Święta Katarzyna była oblegana przez turystów, a w letnie weekendy było ich jeszcze więcej. Trudno było o miejsce parkingowe, do lodziarni ustawiały się długie kolejki, w restauracjach trzeba było czekać na wolny stolik, a droga na Łysicę przypominała zatłoczone ulice wielkich miast.

Diana, widząc, co się dzieje, była zadowolona, że jej dom stoi na uboczu. Co prawda dojście do centrum miejscowości zajmowało jej trochę czasu, ale przynajmniej w ogrodzie było cicho i spokojnie. Ci, którzy mieszkali przy głównej ulicy, w okolicach klasztoru, musieli znosić jeżdżące wciąż samochody, gwar ludzkich głosów i krzyki dzieci.

Diana weekend spędzała w domu, w ogóle nie wychodząc na leśne szlaki. Dopiero w poniedziałek, kiedy poczuła, że zatęskniła za lasem, postanowiła wybrać się na spacer.

Wstała wcześnie, szybko zjadła śniadanie i skróciła celebrowanie porannej herbaty, bo wiedziała, że o poranku może jeszcze liczyć na chwilę samotności nawet na głównym szlaku. Nie planowała wejścia na Łysicę, jedynie przechadzkę do kapliczki i źródelka Świętego Franciszka. Lubiła to miejsce i cieszyła się, że w ostatnich latach lepiej o nie zadbano.

Na szczęście ktoś pomyślał, projektując otoczenie kapliczki — oceniła z uznaniem efekt prac, gdy poszła tam po raz pierwszy. — Całkiem niezłe

udało się połączyć funkcjonalność z zachowaniem jak największej naturalności.

Przysiadła na drewnianej ławce i wsłuchiwała się w szum starych drzew i płynącej wody. W takich miejscach najlepiej odzyskuje się równowagę i uspokaja myśli.

Choć dzień był ciepły, zabrała ze sobą lekką bluzę. W puszczy nawet w upalne dni bywało chłodno. Korony drzew broniły słońcu dostępu w niższe partie lasu i chociaż promieniom udawało się docierać do mchów i paproci, to nie miały tu takiej władzy jak na otwartej przestrzeni i w górze.

Diana szła różnym krokiem. Cieszyła się, że może wreszcie żyć tak, jak zawsze pragnęła — blisko natury, swobodnie i bez stresów. Dopiero teraz, gdy odzyskała swobodę, zdała sobie sprawę z tego, jak wiele czasu i nerwów kosztowało ją zadowalanie Mateo. Uzmysłowała sobie, że ten związek ją ograniczał, była wciąż spięta z obawy o to, czy jakieś jej słowo lub zachowanie nie zezłości partnera.

Co za szczęście, że już niczego nie muszę! — Odetchnęła głęboko i popatrzyła na bezchmurne niebo. — I że mogę robić to, na co mam ochotę. Mogę być sobą. — Uśmiechnęła się do tej myśli.

Minęła Muzeum Mineralów i Skamieniałości, obiecując sobie w duchu, że kiedy skończy się sezon, na pewno je odwiedzi. Wiedziała, że można tu obejrzeć nie tylko piękne okazy krzemienia pasiastego, ale i zobaczyć cudowne przedmioty i biżuterię wykonaną z tego występującego tylko w Górach Świętokrzyskich kamienia.

Idąc dalej, zerknęła do przedsionka klasztoru, którego kamienny budynek stanowił główny punkt miejscowości. Jego charakterystyczna bryła na tle lasu była chyba najczęściej fotografowanym miejscem w Świętej Katarzynie. Zaraz za klasztorem skręciła w lewo, na leśny parking. Z ulgą stwierdziła, że nie ma na nim jeszcze żadnego samochodu.

To znaczy, że na szlaku pusto — pomyślała. — I jest szansa na udany, spokojny spacer.

Tuż przy ogrodzeniu parkingu, przy drodze prowadzącej do bramy Świętokrzyskiego Parku Narodowego, zauważyła starszego mężczyznę,

który ustawił przy drewnianych żerdziach niewielkie krzesło i turystyczny stolik. Diana wiedziała, że za chwilę zacznie wyjmować z dużej torby rzeźby i zabawki wystrugane z drewna. Widywała go już wcześniej, jak ze spokojem, niewiele mówiąc, czekał na klientów zainteresowanych jego towarem. Pomyślała, że powinna się przywitać.

— Dzień dobry! — zawołała.

Odwrócił się i uśmiechnął serdecznie. Miał ogorzałą twarz, zmarszczki w kącikach oczu i siwą brodę.

— Witam panią! — odpowiedział wesoło.

Była zaskoczona, bo mimo wieku głos mężczyzny brzmiał młodo i energicznie.

— To bus z Kielc już przyjechał? — zapytał. — Zwykle jest dopiero przed ósmą.

Diana podeszła bliżej.

— Nie przyjechałam z Kielc — wyjaśniła. — Mieszkam tu od kilku miesięcy.

— A to niespodzianka! Sądziłem, że wszystkich tu znam. Cóż, świat się zmienia. — Pokiwał głową. — Starzy odchodzą, nowi przychodzą. Taka już kolej rzeczy. — Pochylił się i zaczął wyjmować z torby drewniane światełki. — A to gdzie pani mieszka, jeśli wolno zapytać? — Zerknął na Dianę spod oka.

— Tam dalej, kawałek za skrzyżowaniem, prawie pod lasem. — Wskazała ręką kierunek. — Kupiłam domek, podobno jego właściciel zmarł. Maciejak się nazywał. — Miała nadzieję, że te wyjaśnienia wystarczą mężczyźnie.

— Po Maciejaku... — Starszy pan przez chwilę się zastanawiał, podrzucając w dłoni figurkę diabła z widłami. — Tak...

— Na pewno pan go znał — domyśliła się Diana.

— Tak, znałem — potwierdził. — Chociaż nie można powiedzieć, żebyśmy byli blisko. Ale znałem.

Diana poczuła, że mężczyzna nie chce o tym mówić. Zdziwiło ją to, bo był kolejną po nauczycielce osobą, która uciniała temat poprzedniego

właściciela jej domu.

Chyba nie był zbyt sympatyczny — uznała.

— A pan sam robi te figurki? — zapytała, żeby zmienić temat.

— Sam — potwierdził. — Zimą, kiedy mróz, śnieg albo wilgoć. To najlepszy czas na siedzenie przy ogniu i wydobywanie z kawałków drewna tego, co mają w środku.

— Jak pan to ładnie powiedział! — zachwyciła się Diana. — Jakby to nie pan decydował, co wyrzeźbi.

— Bo tak jest. — Usiadł na swoim krzeselku i wyciągnął przed siebie nogi. — Biorę drewno do ręki i czekam, co mi powie. A jak już usłyszę, to dłutami odrzucam niepotrzebne kawałki i zostawiam tylko to, co zostać powinno. W jednym jest Chrystus Frasobliwy, w innym diabeł, w kolejnym konik albo ptaszek, a w jeszcze innym czarownica.

Diana oparła się o ogrodzenie i popatrzyła w dal.

— Chyba trochę to rozumiem... Ja zajmuję się ogrodami — wyjaśniła. — I też często jest tak, że patrzę na kawałek ziemi i czuję, co powinnam tam posadzić, jakie kwiaty będą się w tym miejscu dobrze czuły.

Mężczyzna pokiwał głową na znak, że się z nią zgadza. Sięgnął do kieszeni koszuli w czarno-czerwonej kratce, wyjął z niej fajkę i zajął się zapalaniem.

— I udaje się z tego wyżyć? — zainteresowała się Diana. — Ludzie kupują?

— Wie pani, to zależy, ile komu potrzeba — odparł po chwili. — Ja dużych wymagań nie mam, w ogrodzie sporo rzeczy uprawiam, kilka kur hoduję i jak pani widzi, żyję. — Uśmiechnął się. — A co? Pani też rzeźbiarka? Bo może konkurencję będę miał. — Mrugnął z uśmiechem.

— Nie, nie — zaprzeczyła. — Tak z ciekawości pytałam. Bo ja czasami lepiej z gliny. Wie pan, kubki, wazoniki, miseczki, ale tak zupełnie amatorsko, tylko dla siebie.

— No tak, jak człowiek ma jakieś zajęcie i coś tworzy, to i lepiej się czuje — przyznał mężczyzna. — Jak pani na imię?

— Diana. Diana Lisowska — przedstawiła się.



— A ja jestem Stanisław Walczak, ale wszyscy mówią do mnie Stach.

— Bardzo mi miło.

— Widzi pani, ja to już ze trzydzieści lat siedzę. Od wiosny do późnej jesieni. Wiele widzę, wiele słyszę, ale niewiele mówię. Za to mam sporo czasu na myślenie. Wiem, że niektórzy tu myślą o mnie różnie, ale mnie to wcale nie obchodzi. Żyję po swojemu i krzywdy nikomu nie robię. Dużo wiem, ale plotkować nie lubię. — Pociągnął fajkę i wypuścił z ust kłęb białego, pachnącego dymu. — A Święta Katarzyna to dobre miejsce dla tych, co mają niepokorne dusze — dodał po chwili. — Wielu tu takich było i kolejni przyjeżdżają. Coś tu przyciąga tych, którzy nie chcą żyć według schematu.

— Zauważyłam — odparła Diana. — Każdy, kogo spotykam, jest... nietypowy. — Pomyślała o nauczycielce i o starszej kobiecie.

Może o nią zapytam? — wpadła na pomysł.

— O, chociażby taka pani z siwym warkoczem. — Zerknęła na pana Stacha. — Pojawia się nieoczekiwanie, nic nie mówi i znika, jakby rozplywała się w powietrzu.

— A, to pani o Grecie mówi. — Stach lekko się uśmiechnął. — To nasza miejscowa czarownica. Tak o niej mówią ci, co jej nie lubią albo się boją — wyjaśnił. — Ale to mądra kobieta, zna się na ziołach i na ludziach.

Czarownica! Diana nie wiedziała, jak ma zareagować. Nie wierzyła w magię ani w złe moce, ale kiedy pomyślała o czarnym kocie, o przenikliwym spojrzeniu kobiety, poczuła dziwny niepokój. I nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

Na szczęście od strony przystanku właśnie nadchodzili pierwsi turyści.

— Nie będę panu przeszkadzać w pracy — powiedziała szybko Diana. — Dziękuję za miłą rozmowę i do zobaczenia.

— Do widzenia! — Stach uniósł sękatą dłoń w geście pożegnania.





**P**odczas spaceru dużo rozmyślała o rozmowie z panem Stachem. Poczowała sympatię do tego mężczyzny, który miał odwagę żyć po swojemu i nie przejmował się opinią innych na swój temat.

To podobnie jak ja — stwierdziła po namyśle. — Chociaż on może powiedzieć, że mu się udało, a ja stawiam dopiero pierwsze kroki na tej drodze. Ale wygląda na to, że może mi się udać. Bo skoro on daje radę...

Było coś trochę dzikiego i zarazem romantycznego w tej postaci. Mężczyzna, który postawił na niezależność, starał się być samowystarczalny, ograniczył potrzeby, wyrzekł się tego, co zbędne.

Nie wiem, czy potrafiłabym aż tak — zastanawiała się Diana. — Mimo wszystko chciałabym jeszcze zobaczyć kawałek świata, gdzieś pojechać. No i na razie nie wyobrażam sobie uprawiania wszystkiego czy hodowania zwierząt. Niewątpliwie jednak ma to swój urok i jest imponujące.

A jednak Stachowi nie udało się całkowicie odciąć od konsumpcyjnej strony życia. Siedział przecież przy drodze i sprzedawał turystom prace. Był w pewien sposób od nich zależny, podobnie jak Diana od zleceń. Musiał rozmawiać z ludźmi, przynajmniej trochę, pewnie też zżymał się w duchu na ich komentarze czy niektóre uwagi, ale znosił to, bo potrzebował środków do życia.

Cóż, nie da się już zupełnie uciec od innych. Całkowita wolność i niezależność nie są możliwe — westchnęła. — Trzeba iść na pewne

ustępstwa, żeby przetrwać, ale nie znam osoby, która ograniczyłaby je bardziej niż pan Stach — doszła do wniosku.

Chociaż... Przypomniała sobie o Grecie, czarownicy, jak nazwał ją rzeźbiarz.

Ona chyba jeszcze bardziej odeszła od ludzi — zastanawiała się Diana. — Bo wygląda na to, że nie tylko mnie unika. Ze słów Stacha wynikało, że mieszkańcy raczej nie pałają do niej sympatią. Ciekawe, czy to tylko przez pozę, którą przybrała, czy może...

Szybko jednak odrzuciła myśl, która przyszła jej do głowy. Przecież czarownice nie istnieją. Wiadomo, ludzie nie lubią inności, drażni ich, gdy ktoś żyje po swojemu, i wymyślają wiele, żeby to zdyskredytować. A kiedy czegoś nie rozumieją, to najłatwiejszym sposobem jest i zawsze było odrzucenie, oczernienie i posądzenie o złe intencje.

Ile niewinnych kobiet spalono na stosach tylko za to, że były mądre, niezależne i próbowały walczyć o swoje — rozważała, wracając do domu. — Na szczęście nie żyjemy w średniowieczu.

Nadal jednak, gdy rozmyślała o nieznanym z siwym warkoczem, czuła niepokój, odrobinę lęku. Zawładnęło ją jakieś przeczucie, którego nie potrafiła sprecyzować, jakby coś miało się wydarzyć, jakby pojawianie się tej kobiety było zapowiedzią wydarzeń, o których Diana jeszcze nie miała pojęcia.

Bzdura! Uderzyła dłonią w mijane ogrodzenie.

Zaraz wrócę do domu, zrobię sobie kawę, a potem dokończę komodę, która już dawno wyschła — postanowiła. — Na pewno Stach każdemu opowiada tę historię, żeby stworzyć klimat tajemnicy. W końcu jesteśmy tu, gdzie sabaty należą do najbardziej znanych legend, nic więc dziwnego, że miejscowa czarownica jest niezbędną, zwłaszcza dla turystów.

Diana wyszła zza zakrętu, skąd miała już tylko kilka kroków do swojej furtki.

— A, czyli jednak nie było cię w domu!

Na widok Mateo stanęła jak wryta. Mężczyzna opierał się niedbale o płot i uśmiechał.

— Już myślałem, że się ukrywasz i udajesz nieobecność, żeby mnie nie wpuścić. — Pogroził żartobliwie palcem. — To byłoby bardzo nieładnie z twojej strony trzymać starego przyjaciela za bramą.

Diana nerwowo potarła czoło.

— Co ty tutaj robisz? — wydukała.

— Jak to co? Przyjechałem cię odwiedzić — odparł jak gdyby nigdy nic. — Martwiłem się o ciebie, chciałem wiedzieć, jak sobie radzisz, zaproponować wsparcie...

— Nie potrzebuję twojego wsparcia! — zaproponowała zdenerwowana.

Minęła mężczyznę i chciała wejść na podwórze, ale Mateo złapał ją za rękaw bluzy i zatrzymał.

— Spokojnie! Co ty taka nerwowa jesteś?

— Nie jestem.

— A jednak. — Odgarnął pasmo włosów z jej twarzy i spojrzał na nią tak jak kiedyś, kiedy...

Zrobiła krok w tył.

— Nie dotykaj mnie — powiedziała stanowczo.

— Przecież nic ci nie zrobię — odparł miękko. — Wiesz, że jesteś dla mnie zbyt ważna, żebym chciał cię skrzywdzić...

Nie wierz w to! Nie daj się nabrać! — przemknęło Dianie przez głowę.

— Jak mnie znalazłeś? — zmieniła temat, żeby przerwać trudną dla niej chwilę.

— Och, właściwie powinienem być obrażony. Nie poinformowałaś mnie, że się przeprowadzasz.

— Nie muszę cię o niczym informować. Przypominam, że nie mamy już ze sobą nic wspólnego.

Udał, że nie słyszy.

— Przyjechałem, żeby cię odwiedzić, a tu drzwi otwiera jakiś facet. Wkurzyłem się. Rozumiesz, zawsze byłem zazdrosny o ciebie. — Znowu ten uśmiech, pod którego wpływem wszystko mu wybaczała. — Mało brakowało, a dałbym gościowi w mordę. Na szczęście zdążył mi wyjaśnić,

że już tam nie mieszkaś. Nie żal ci było? Takie piękne mieszkanie i tyle miłych wspomnień...

— Dla mnie nie były miłe, dlatego właśnie sprzedałam mieszkanie — ucięła jego wywód.

— A, właśnie. Zmartwiło mnie to, bo wydawało mi się, że podjęłaś tę decyzję pod wpływem emocji, że nie do końca byłaś sobą. — Zrobił zatroskaną minę. — Powiedziałem temu facetowi, że martwię się o twój stan psychiczny, bo uciekłaś, nie mówiąc nic najbliższym osobom. Przejął się i bardzo chciał pomóc. Nie znał twojego dokładnego adresu, ale mnie wystarczyła nazwa miejscowości. O resztę dopytałem na miejscu. — Rozejrzał się dookoła i pokiwał z uznaniem głową. — Teraz widzę, że nie jest aż tak źle. Całkiem fajna chałupka. Miło byłoby posiedzieć na tej drewnianej werandzie...

— Ty na niej na pewno nie posiedzisz — stwierdziła stanowczo Diana. — Powiedziałam ci przecież, że nie chcę cię widzieć.

— Jeszcze się gniewasz? Skarbie, szkoda życia na gniew i chowanie urazy. — Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kobietę po policzku, ale szybko się uchyliła.

— Co prawda daleko do miasta i paliwo będzie trochę kosztować, ale na wsi nie płaci się czynszu, więc na jedno wyjdzie. — Mateo uśmiechnął się z zadowoleniem. — No i powietrze świeże, dużo miejsca. W stodole można zrobić galerię.

Diana nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

Co on gada?! Czy naprawdę uważa, że za chwilę otworzę mu drzwi i przyjmę go z powrotem?! Nie, to się nie dzieje naprawdę!

Zrozumiała, że jeszcze chwila, a wszystko, co budowała przez ostatnie miesiące, pójdzie na marne. Szarpnęła klamkę, weszła na podwórze i zatrzasnęła metalową furtkę za sobą.

Mateo ściągnął brwi.

— Nie patrz tak! — zażądała Diana. — I natychmiast wracaj tam, skąd przyjechałeś. Przyjmij wreszcie do wiadomości, że z nami koniec. Nie zmienię zdania.

— Zastanów się...

— Miałam dość czasu, żeby się zastanowić — przerwała mu. — Wynoś się! Bo zadzwonię na policję!

Mateo zacisnął szczęki i spojrział na Dianę ze złością.

— Myślisz, że możesz mnie tak traktować?! — rzucił przez zęby. — Uważaj, żebyś potem nie żałowała.

— To groźba?

— Nie, ostrzeżenie. A na policję dzwoń, proszę bardzo. To publiczna droga i mogę na niej stać tak długo, jak mi się zachce.

Diana postanowiła nie dyskutować z nim dłużej. Odwróciła się i poszła do domu, zostawiając wściekłego Mateo za płotem.

Kiedy weszła do środka, poczuła, że cała się trzęsie. Zerknęła przez okno. Nadal tam stał. Rozglądał się, pogwizdywał, wyraźnie chciał ją jeszcze bardziej wyprowadzić z równowagi.

Za bramę nie wejdzie — tłumaczyła sobie Diana. — Wtedy naprawdę mogłabym zawiadomić policję. Muszę zachować spokój, w końcu sobie pójdzie.

Rzeczywiście, gdy wyjrzała znów przez okno po kilkunastu minutach, Mateo już nie było.

Powinnam była zastrzec, żeby nowi właściciele mieszkania nikomu nie mówili nic o mnie — westchnęła. — Cóż, teraz już za późno. Trzeba mieć nadzieję, że on już się więcej nie pojawi.

Nie była jednak tego pewna, przeciwnie: czuła, że tak łatwo się od niego nie uwolni. Żeby się uspokoić, poszła do pracowni. Położyła na kole kawałek gliny i uruchomiła koło garncarskie. To zawsze ją uspokajało, jakby glina przejmowała cały stres.







— A mówi się, że praca reporterska wymaga ciągłej gotowości i pośpiechu... — Martyna postawiła filiżankę na metalowej podstawce i nacisnęła guzik ekspresu. Ciemny, aromatyczny napój zaczął płynąć cienką strużką do naczynia. — A tymczasem ktoś tu sobie śpi do dziewiątej, a potem spokojnie idzie pod prysznic — kontynuowała monolog.

Tobiasz przystanął, zabrał filiżankę i opróżnił ją jednym haustem.

— Bardzo dobra kawa — pochwalił.

— A prztyczka w nos byś nie chciał?

— Dziękuję, już się obudziłem. — Mężczyzna się uśmiechnął, a Martyna fuknęła ze zniecierpliwieniem w odpowiedzi. — Oj, chyba się nie będziesz gniewać? Zrobisz sobie drugą, bo ja, jak sama wspomniałaś, powinienem się pospieszyć. Chociaż naprawdę nie wiem po co.

— Jak to: po co? Żeby iść do pracy.

— Jakiej to niby? Nagrywać plenery do czołówki? Przecież ani rzeka, ani las nam nie uciekną. — Tobiasz wzruszył ramionami. — Poza tym moglibyśmy wykorzystać coś starego, mamy tego mnóstwo.

— W życiu! — zaprotestowała Wrońska. — Przecież wiesz, że mam zasadę: nigdy tych samych materiałów, żadnych odgrzewanych kotletów.

— Ale i tak nikt nie zauważy. W końcu Święty Krzyż się nie zmienia, dąb Bartek także.

— Wiesz co? Idź już lepiej do tej łazienki. — Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. — I pamiętaj, że twoja wypłata też zależy od przepracowanych godzin. To chyba lepiej, żebyś coś nakręcił, niż wziął coś, za co już zapłacili, prawda?

— I tak by nie poznali.

— A jeśli? Wiesz, teraz jesteśmy obserwowani, nie możemy pozwolić sobie na żadną wpadkę.

— Ty jesteś obserwowana — poprawił Tobiasz. — Na mnie, skromnego operatora, nikt nie zwraca uwagi. — Udał zmartwionego.

— Żebyś się nie zdziwił — ostrzegła Martyna. — Przecież wszyscy wiedzą, jak jest. I jeśli szef będzie chciał zrobić mi na złość, może uderzyć także w ciebie. Dlatego zbieraj się i jedziemy na łono natury.

— Co za szczęście, że nie jesteśmy ekipą od newsów — uznał z uśmiechem mężczyzna. — Wtedy musiałbym naprawdę się spieszyć.

— Tobiasz! — zdenerwowała się Wrońska. — Masz kwadrans. Potem wychodzimy — zakomenderowała.

— Beze mnie i tak nie pojedziesz — przypomniał jej. — OK, OK, już lecę — dodał szybko, widząc jej minę.

Martyna wyjęła z szafki kolejną filiżankę i ponownie włączyła ekspres. Postukiwała palcami w blat szafki, czekając, aż kofeinowy napój spłynie do naczynia. Prawdę mówiąc, jej również nie spieszyło się do wyjazdu. Takie zadania uważała za najbardziej nudną część swojej pracy i nawet piękne widoki tego nie rekompensowały. Woląла działać, rozmawiać, mieć poczucie, że coś się dzieje, coś od niej zależy. Na dodatek to polecenie w dalszym ciągu uważała za poniżające i nie mogła się pogodzić z faktem, że nie ma wyjścia i musi je zrealizować. Nie chciała takich kompromisów, nigdy nie godziła się na żadne układy i była z tego dumna. A teraz położyła uszy po sobie i dała się wciągnąć w gierkę swojego szefa.

Nawet jeśli to szantaż z jego strony, to nie powinnam była ustępować — rozmyślała, popijając kawę małymi łykami. — Co się ze mną stało? Gdzie dawna Martyna, gotowa na każde ryzyko?

Cóż, kiedyś mogła liczyć na rodziców, była młodsza, miała czas i nie bała się nawet, że przyjdzie jej zaczynać wszystko od nowa. Teraz nie uśmiechała jej się utrata pracy, rachunki same się zapłaca.

Była zła na siebie za ten konformizm, ale też czuła, że powinna słuchać głosu rozsądku. I pamiętać o tym, że nie będzie przecież wychwalać polityka czy jego poglądów. Ma po prostu pokazać jego dom.

Oby był brzydki, urządzony bez gustu i prostacko — pomyślała ze złością. — Albo z przesadnym blichтром, który rozdrażni widzów.

Dzwonek telefonu przerwał jej rozważania. Nie odstawiając filiżanki, Martyna sięgnęła po iPhone'a.

— Wrońska, słucham.

— Dzień dobry, zostawiła pani swoją wizytówkę, więc pomyślałam, że zadzwonię — usłyszała nieznany kobiecy głos.

Ludzie są niesamowici — westchnęła reporterka. — Przecież ja zostawiam dziesiątki wizytówek. Skąd mam wiedzieć, kim ona jest?

— Miło mi, że pani dzwoni, ale może mi pani przypomnieć, o co chodzi? — Usiadła przy stole, czując, że zanoszą się na dłuższą rozmowę.

— Właściwie to o nic nie chodzi — powiedziała kobieta. — To znaczy w tym sensie, że nie o jakąś konkretną sprawę. — Słyszałać było, że jest zdenerwowana. — W sensie, że o konkretną, moją, ale pani o niej jeszcze nie wie — plątała się coraz mocniej.

Za chwilę się rozłączy — domyśliła się Wrońska i żal jej się zrobiło nieznajomej.

— Proszę pani, może zaczniemy od początku — zaproponowała spokojnie. — Czy może mi pani podać swoje nazwisko?

— Agnieszka Kulecka.

— Dobrze. Pani Agnieszko, niech pani powie, gdzie się poznałyśmy.

Ciężko idzie — pomyślała. Podparła głowę ręką i czekała na odpowiedź z nadzieją, że ona jej coś rozjaśni.

— Była pani u nas w biurze. Wtedy, gdy nie było... pana posła. Nie rozmawiała pani ze mną, tylko z moją koleżanką, więc pewnie mnie pani nie pamięta... — zaczęła wyjaśniać Kulecka.

Wrońskiej od razu stanęła przed oczami milcząca kobieta siedząca przy biurku i wróciło to przeczucie, którego wtedy doświadczyła.

— Oczywiście, że panią pamiętam — zapewniła. — Czy ma pani dla mnie informację od posła? Próbuję się z nim skontaktować od kilku dni, bo czas nagli, ale ciągle nie mam szczęścia. Czy zdecydował się już na konkretny termin?

— Tą sprawą zajmuje się koleżanka — odparła jej rozmówczyni. — Ona odpowiada za kalendarz spotkań, więc niestety, nie mogę w tej sprawie nic zrobić.

— W takim razie z czym pani do mnie dzwoni?

— Prawdę mówiąc, chodzi o mnie.

Drżenie głosu rozmówczyni podpowiedziało Martynie, że to wyznanie wiele kobietę kosztuje.

— Ach, czyli to sprawa prywatna, nie ma związku z posłem, tak?

— Prywatna. Ale właśnie ma związek...

Wrońska się wyprostowała. Takie słowa od razu wzbudziły jej czujność i zainteresowanie.

— Dobrze rozumiem, że chodzi o coś związanego z panią i Kownackim?  
— zapytała.

— Tak, ale wolałabym nie używać nazwisk...

— Oczywiście, rozumiem. Ale może być pani pewna mojej dyskrecji — zadeklarowała. — Proszę bez obawy powiedzieć, o co chodzi.

— To raczej nie jest rozmowa na telefon.

To zdanie jeszcze bardziej zachęciło Martynę, która od razu zaproponowała:

— W takim razie chętnie się z panią spotkam.

— Po to właśnie zadzwoniłam. — Rozmówczyni odetchnęła, chyba z ulgą, że nareszcie doszła do sedna.

— Kiedy i gdzie? — Wrońska przeszła do konkretów.

— Gdyby pani mogła, to najlepiej zaraz. Mam dziś wolny dzień, robiłam badania. Ale zaraz będę musiała wracać do domu, bo...

— Czy za pół godziny w kawiarni Ale Babeczka! może być? — weszła jej w słowo reporterka.

— Tak, oczywiście.

— W takim razie do zobaczenia.

Martyna wrzuciła telefon do torebki i rozejrzała się w poszukiwaniu kluczyków do samochodu.

— Tobiasz! — krzyknęła w stronę łazienki. — Możesz się moczyć, ja mam pilne spotkanie i zabieram auto!

— A czołówka?!

— Pojedziemy po południu!

Wsunęła stopy w trampki i ruszyła na spotkanie. Dziennikarskie przeczucie podpowiadało jej, że chyba trafiła na dobry temat.





**D**iana właśnie skończyła to, co zaplanowała na dzisiejsze przedpołudnie, i miała zamiar po obiedzie odpocząć w ogrodzie.

Na kuchence powoli podgrzewał się obiad, bo Lisowska zaczęła gotować raz na kilka dni. Wcześniej, w Kielcach, przygotowywała codziennie coś innego, żeby Mateo był zadowolony. Miał spore wymagania, jeśli chodzi o jedzenie — dużo warzyw, surówki, niezbyt tłusto, ale i nie za skromnie. Czekala na niego z tymi obiadami, próbując trafić w porę, gdy wróci, żeby mógł zjeść świeżo ugotowane ziemniaki czy makaron. Przyjmował jej starania jako coś naturalnego.

Właściwie chętnie przygotowywała wspólne posiłki, bo uważała, że to ich łączy, i cieszyła się, widząc, jak on je ze smakiem. Ale robiło jej się przykro, gdy kończył i nie patrząc na to, że ona jeszcze je, wstawał od stołu i szedł się położyć. Wtedy reszta obiadu smakowała jakoś gorzko.

Nawyk codziennego gotowania pozostał, jednak pewnego dnia projektantka uświadomiła sobie, że stanie przy kuchni zabiera jej czas, który mogłaby przeznaczyć na pracę czy spacer. Jedzenie tej samej zupy przez dwa dni albo podgrzanie makaronu z tuńczykiem nie stanowiło ujemy.

Okazuje się, że nawet mój czas był mniej ważny niż jego — stwierdziła z żalem. — Moja praca też nie zasługiwała na tyle uwagi, co jego zajęcia, o których opowiadał godzinami.

I Diana powiedziała sobie: dość! Skoro ma żyć tak, jak jej wygodnie, będzie gotowała co drugi dzień.

Teraz czekała, aż kotlet mielony się zagrzeje, a na stole postawiła już miskę z sałatą, pomidorami i oliwą.

Nieoczekiwane połączenie zamierzała zakończyć szybko, była już bardzo głodna.

— Gdzie ty się właściwie podziewasz? — To jedna z koleżanek przypomniała sobie o niej po kilku miesiącach.

— Siedzę sobie na wsi — odparła zgodnie z prawdą.

— Tyle to ja wiem. Widziałam się wczoraj wieczorem z Mateo. Wpadł do klubu i pił przy barze.

Nie skomentowała słów koleżanki.

— Pytałam go, co u ciebie, i powiedział, że nagle i bez powodu rzuciłaś wszystko i wyjechałaś do jakiejś starej chaty. To prawda?

— Częściowo — wyjaśniła spokojnie. — Rzuciłam tylko jego. A z całą resztą idzie mi teraz dużo lepiej. A nawet bardzo dobrze.

— Co ty mówisz! — zdziwiła się koleżanka. — Serio rzuciłaś Mateo? Przecież to taki fajny facet! Wiesz, ile dziewczyn ci go zazdrościło? Przystojny, miły i jeszcze artysta!

— To go sobie weź — oznajmiła lekko Diana, chociaż żadnej kobiecie nie życzyła takiego partnera.

— Brałabym, ale on chyba bardzo przeżywa rozstanie z tobą. Wczoraj sporo wypił, widać było, że cierpi.

— Sporo wypić to on akurat lubi zawsze — zauważyła Diana. — Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ale jeśli masz zamiar go pocieszać, to szczerze radzę się nad tym zastanowić. — Postanowiła być lojalna, choć właściwie nowy związek Mateo byłby jej na rękę. — Osobiście nie polecam.

— Ale nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym się z nim spotykała?

Ach, więc po to dzwonisz — domyśliła się Diana. — Błogosławieństwo byłej ci potrzebne.



— Ja nie, ale zapytaj tych wszystkich, z którymi się widuje — poradziła.  
— A teraz przepraszam cię, muszę kończyć.

— Spoko, dzięki. Przyjedź kiedyś do miasta, wybierzemy się do klubu.

— Ciężko będzie, ostatni bus mam przed dwudziestą drugą.

— To kup sobie samochód — roześmiała się koleżanka. — Nie wypijesz, ale do domu wrócisz. Pa!

Diana starała się szybko zapomnieć o tej rozmowie. Z radością zauważyła, że wcale nie brakowało jej wielkomiejskiego życia: klubów, tańców, drinków. Wolała popołudnie w ogrodzie.

Zjadła, uprzątnęła naczynia i wyszła przed dom. Kocio rezydował na ulubionym parapecie za siatką i odprowadził ją obojętnym spojrzeniem. Poprzedniego dnia długo bawiła się z nim wędką zakończoną zielonym piórkim i chyba uznał, że ma dosyć ruchu na kolejne dni.

— Rozleniwiłeś się, kocurze. Utyjesz i będę musiała zmniejszyć ci porcje. — Pogroziła mu palcem, ale kot odwrócił głowę, mając za nic jej groźby.

Usiadła na drewnianej ławce i popatrzyła na gotową komodę.

Wieczorem, gdy trochę się ochłodzi, wciągnę ją do domu — obiecała sobie.

Wstała i podeszła do mebla. Pogładziła dłonią blat, na którym widoczny był jasny liść łopianu.

— Ostrożnie, bo się pani przyklei! — usłyszała.

Spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos, i zobaczyła stojącą przy płocie dziewczynkę.

— Już wyszła — odpowiedziała z uśmiechem.

— To dobrze. — Mała pokiwała głową. — Bo ja kiedyś dotknęłam takiej niewyschniętej ściany i został ślad moich palców. Mama się zdenerwowała, bo musiała malować od nowa.

Diana ponownie się uśmiechnęła.

— Ale to była taka zwyczajna ściana — dodała dziewczynka. — Nie taka ładna jak ta szafka.

— To komoda — poprawiła Diana. — Podoba ci się? Jeśli chcesz, to możesz wejść i obejrzeć z bliska.

Dziecko przez chwilę się zawahało, ale ciekawość zwyciężyła. Głowa z kucykiem znikła za płotem, potem skrzypnęła furka i dziewczynka nieśmiało zbliżyła się do Diany.

— Nie bój się — uspokoiła ją kobieta. — Nic ci nie zrobię. Mam na imię Diana. A ty?

— Ja jestem Julia.

— Bardzo ładne imię.

— Mamie też się podoba. Dlatego mnie tak nazwała. A ciebie kto nazwał?

— Właściwie nie wiem — zastanowiła się. — Chyba obydwój rodzice.

— A ja mam tylko mamę — wyznała Julka. — I ona nie pozwala mi tutaj przychodzić.

— Dlaczego? — Diana dostrzegła szansę na dowiedzenie się czegoś więcej o małej.

Dziewczynka jednak zamilkła i zacisnęła usta.

— Jeśli nie chcesz, nie musisz mówić. Obejrzyj sobie komodę, a ja pójde i przyniosę sobie wody. Przynieść też tobie? Gorąco dzisiaj...

— Wolałabym kompot z gruszek.

— Niestety, nie mam.

— Można ugotować. Z tego drzewa za domem, tam są najlepsze. — Dziewczynka wskazała palcem na sad.

— Tak? A skąd o tym wiesz? — zdziwiła się Diana.

— Tutaj mieszkał mój dziadek. On zawsze gotował mi kompot z gruszek. — Julka powiedziała to tak, jakby mówiła o czymś zwyczajnym i naturalnym.

— Cóż, ja mam tylko wodę. Zaraz przyniosę.

Diana ruszyła do domu, ale kiedy wróciła z dwiema szklankami, Julki już nie było.

Co za dziwne zwyczaje tutaj panują — westchnęła. — Wszyscy pojawiają się bez zapowiedzi i znikają bez słowa.







— Gdzie ty tak rano wyleciałaś jak z procy? — Tobiasz wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła, szukając najlepszego widoku do nakręcenia.

Martyna nie odpowiedziała, więc mężczyzna skierował na nią spojrzenie. Znał kobietę doskonale, więc od razu zgadł, o co chodzi.

— Jesteś pogrążona w myślach i zupełnie nieobecna — powiedział. — Przez całą drogę nie odezwałaś się ani słowem, a kiedy wróciłaś do domu, nawet nie zauważyłaś mojego mokrego ręcznika na oparciu fotela — wyliczał. — A to oznacza, że zwęszyłaś jakiś nowy temat i pochłonał cię całkowicie.

— Coś mówiłeś? — Wrońska spojrzała na towarzysza nieprzytomnym wzrokiem.

— Pytałem, czy mam kręcić z krowami, czy wolisz widoczek bez zwierząt.

— Wszystko jedno. — Machnęła ręką.

Tobiasz odłożył kamerę na dach samochodu. Wyjął z bagażnika koc, rozłożył go na trawie i rozsiadł się na nim.

— Co ty robisz? — zapytała zdumiona reporterka.

— Czekam.

— Na co?

— Aż przyjdą jakieś krowy. Bo zdecydowałem, że lepiej będzie z krowami — odparł z kamienną twarzą.

— Jakie krowy? O czym ty mówisz? Miałeś zrobić widoczek i jedziemy dalej.

— O, nareszcie wróciłaś do rzeczywistości. — Uśmiechnął się lekko. — Bo mówię do ciebie od kilku minut i w ogóle nie reagujesz.

— Zastanawiam się, jak to rozegrać. — Martyna usiadła obok mężczyzny i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. — Bo to bardzo, ale to bardzo wielka bomba.

— Tak podejrzewam. A zdradzisz mi może, czego dotyczy?

— Nie czego, ale kogo — poprawiła. — Chodzi o Kownackiego.

— Pan poseł wreszcie się odezwał? I to do niego tak pobiegłaś? Niesamowite. — Pokręcił z niedowierzaniem głową. — Nigdy bym się nie spodziewał. I co? Okazało się, że ma pałac? A może pawie w ogrodzie?

— Nie żartuj! — Martyna popukała się w głowę. — Naprawdę sądzisz, że w podskokach biegłabym do tego... posła? — Ostatnie słowo wypowiedziała z przekąsem.

— Nie. Ale chcę cię rozdrażnić, bo liczę na to, że jak się wkurzysz, to wreszcie powiesz mi, o co chodzi.

— Dobra, już ci mówię. — Dziennikarka wyjęła z torebki butelkę z wodą mineralną i wypiła kilka łyków. — Rano zadzwoniła do mnie pracownica Kownackiego. Widziałam ją, gdy poszłam umawiać spotkanie. Wyglądała niepozornie, taka szara myszka w kącie pokoju. Ta druga za to nie przestawała mówić, ledwie udawało mi się cokolwiek wtrącić.

— O, to rzeczywiście... — mruknął ironicznie Tobiasz.

— Dobra, nie w tym rzecz. Wiesz, ja czasami mam takie przeczucia, intuicja mi coś podpowiada. Wtedy właśnie tak było, bo kiedy padło nazwisko ich szefa, to ta szara myszka drgnęła. Rozumiesz? Taka niekontrolowana reakcja. — Spojrzała na Tobiasza. — Nie mogłam jej zagadnąć przy koleżance, bo i tak nic by nie powiedziała.

— Wiadomo.

— Właśnie. Dlatego zostawiłam dwie wizytówki. Żeby nie budzić podejrzeń, na każdym biurku jedną. I wyobraź sobie, że ona do mnie dzisiaj zadzwoniła! — oświadczyła triumfalnie.

— Jak się domyślam, powiedziała coś ciekawego o swoim szefie?

— Dokładnie tak! Sprawa jest naprawdę poważna. W grę wchodzi mobbing i molestowanie seksualne. A nawet gwałt.

Tobiasz popatrzył na Martynę badawczo, mrużąc oczy.

— Wiesz, że to jest bardzo duży kaliber?

— Jasne, że wiem. Właśnie takiego czegoś potrzebowałam.

— A nie obawiasz się, że to może być prowokacja? Coś za dużo tego Kownackiego ostatnio, nie uważasz? Może ktoś chce cię podpuścić i w ten sposób wykończyć?

Martyna zastanowiła się, wróciła myślami do porannego spotkania.

Kiedy weszła do kawiarni, Kulecka już siedziała przy najdalszym stoliku, ukryta za dużą palmą. Dziennikarka zamówiła dwie kawy i podeszła do kobiety.

— Dzień dobry. Jestem. Może mi pani spokojnie wszystko opowiedzieć.

— Zajęła miejsce naprzeciw rozmówczyni.

— Ale nie będzie pani niczego nagrywała? — Kobieta rozejrzała się nerwowo.

— Nie. To prywatna rozmowa, gwarantuję dyskrecję. Nie zrobię niczego bez pani zgody.

Pracownica Kownackiego posłała Martynie spłoszone spojrzenie.

— Nikomu wcześniej tego nie powiedziałam. Zresztą nie mam komu. Dopiero kiedy pani przyszła, to pomyślałam, że to może jakiś znak. Bo ja już dłużej tego nie wytrzymam... — Głos jej zadrzał.

Na szczęście kelnerka właśnie przyniosła kawę i Kulecka miała chwilę, żeby się uspokoić.

— Może pani już mówić? — Martyna wyjęła z torebki paczkę chusteczek higienicznych i podała je kobiecie.

— Nie trzeba, już dobrze. Pani Martyno, to nie tak łatwo powiedzieć, a jeszcze trudniej znosić. Ale oczywiście opowiem, przynajmniej to z siebie wyrzucę.

I zaczęła mówić.

Wrońska patrzyła na jej twarz, w oczy, w których widziała rozpacz i cierpienie, na drżące dłonie, pobladłe wargi. Patrzyła, słuchała i nie mogła uwierzyć, że takie rzeczy nadal się dzieją.

Teraz spojrzała na Tobiasza.

— Ona nie kłamie — powiedziała z przekonaniem. — Jest samotną matką, ma dziesięcioletnią córkę. Długo nie mogła znaleźć pracy, trafiła do Kownackiego jako stażystka z biura pracy. Mówi, że od pierwszego dnia jej się przyglądał. Na początku był miły, wypytywał o sytuację, a kiedy opowiedziała o sobie, zaproponował stałą posadę.

— To akurat dobrze o nim świadczy — zauważył Tobiasz.

— Świadczyłoby, gdyby nie to, że propozycja nie była bezinteresowna. Wiadomo, czego chciał w zamian.

— I co? Nie zgodziła się?

— Zgodziła. Uznała, że musi za coś utrzymać dziecko.

— No to żadna afera, jeśli oboje wyrazili na to zgodę. Co najwyżej zdrada żony, ale to nie bomba.

— Poczekaj. Później już zgody nie było. Za to był szantaż. Jeśli nie, to koniec pracy. I tak od prawie dwóch lat. Ona nie chce, a on ją zmusza.

— A jeśli go oskarża, bo chce się na nim odegrać? Może ją rzucił i była kochanka postanowiła się zemścić? — podsunął Tobiasz.

— Och, teraz mówisz jak jakiś wstrętny mizogin! Tobiasz, ja ją widziałam, rozmawiałam z nią!

— Próbuje ci tylko uświadomić, co będą mówić ludzie. — Mężczyzna wziął od niej butelkę z wodą i wypił wszystko, co w niej zostało. — To trudna sprawa, naprawdę. Można wiele wygrać, ale można się utopić w tym gównie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Pokiwała głową.



— Ale to moja szansa. Ta, na którą czekałam. A ta kobieta powiedziała, że zgodzi się mówić, nawet zeznawać w sądzie. Nie mogę tego zostawić. Muszę jej pomóc, czuję to.

— Pomóc jej czy sobie?

— Jej, ale sobie przy okazji. Takich rzeczy nie wolno zmiatać pod dywan.

— Jesteś gotowa podjąć ryzyko?

— Tak. Przemyślałam to. Dosyć konformizmu! Zbyt długo się bałam.

— W takim razie działaj. — Tobiasz poklepał Martynę po ramieniu. — Ja oczywiście będę cię wspierał.

— Dziękuję. — Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Taki właśnie był: solidny, spokojny, wyważony, ale kiedy trzeba było, stał za nią murem. I za to go kochała.

— To ja idę nakręcić widoczek. — Mężczyzna podniósł się z koca.

— OK. A, poczekaj. O jakich krowach ty mówiłeś? — przypomniała sobie.

— Żartowałem. Zrobię bez krów.





**D**iana wytarła ręce w szmatkę i wyszła z pracowni. Właśnie kończyła dzbanek, który chciała postawić na komodzie, żeby i w sypialni mieć dużo kwiatów. Planowała też zrobienie osłonek na doniczki pasujące do wazonika i misę na owoce, dla której stolik byłby idealnym miejscem.

Zajęła się lepieniem i co prawda słyszała, że drogą przejechał samochód, ale ani na chwilę nie oderwała wzroku od garncarskiego koła. Nie spodziewała się gości, przecież prawie nikt nie znał jej nowego adresu. Miała też nadzieję, że koleżanka skutecznie zajęła się pocieszaniem Mateo i ten przestanie ją nękać.

Nie zadzwonił od czasu swojej wizyty, więc Diana z każdym dniem nabierała nadziei, że uda się wreszcie definitywnie zakończyć tę znajomość i zamknąć przeszłość, o której chciała zapomnieć.

Dopiero kiedy usłyszała klakson, zrozumiała, że chyba ktoś stoi przed jej bramą i stara się ją przywołać. Poprawiła włosy, ale i tak miała na sobie robocze ubranie, a dłonie były ubrudzone resztkami gliny.

Trudno. Skoro ktoś przyjeżdża bez zapowiedzi, nie może wymagać, żebym wyglądała odświętnie i nienagannie — uznała.

Wyszła przed dom i przyłożyła dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed słońcem i dojrzeć, kto ją odwiedził.

— Diana!

Za płotem stała kobieta i machała do niej wesoło.

— Hej! To my! Możemy wjechać na podwórko?

Diana ruszyła biegiem do ogrodzenia.

— Przyjechaliście!

Tamara przywitała ją szerokim uśmiechem.

— Delegacja z Jagodna melduje się — powiedziała. — Trochę błędziliśmy, ale udało się dotrzeć.

— Trzeba było dzwonić.

— Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę — wyjaśniła. — To co? Można wjechać czy lepiej zostawić samochód przy drodze?

— Wjeżdżajcie, już otwieram. Ależ się cieszę!

Diana otworzyła drewniane skrzydła i samochód wjechał na podwórze. Zatrzymał się i z wnętrza pojazdu wysiadł Łukasz, a za nim Różyczka i Marzenka.

— No, kochana! — Graficzka podbiegła do Diany i uściskała ją serdecznie. — Ja myślałam, że ty tu masz jakiś megaogród, ale widzę, że chyba się lenisz!

— Nie zawstydzaj mnie — roześmiała się gospodyni. — Wiesz, że szewc bez butów chodzi — zażartowała. — A tak poważnie, to w tym roku postawiłam na przygotowanie domu. No i mam sporo pracy, bo pieniądze, niestety, nie rosną w moim sadzie na drzewach.

— Jak ja to rozumiem — włączyła się do rozmowy Tamara. — W Stacji Jagodno też ciągle jest co robić. Wszystkiego muszę doglądać, po prostu niekończąca się praca.

— Mnie też doglądasz? — Łukasz podszedł i objął ją ramieniem. — Bo chyba nieźle wywiązuje się z obowiązków.

— Gdyby nie ty, to już dawno padłabym na twarz. — Tamara pocałowała go w policzek.

— Bardzo się cieszę, że znaleźliście czas, żeby mnie odwiedzić. — Diana była naprawdę szczęśliwa. — Chcecie najpierw się czegoś napić czy od razu wam pokazać, jak się urządziłam?

— Ja chcę zobaczyć dom — oświadczyła zdecydowanie Marzena. — Tamara, ty pewnie też?

— Nie mogę się doczekać.

— A ja, jeśli pozwolicie, rozejrzę się po podwórku. — Łukasz wyraźnie wolał własne klimaty i niekoniecznie interesowało go urządzenie wnętrza.

— Tato, ja chcę z tobą — powiedziała milcząca dotąd Różyczka. — Pokażesz mi drzewa?

— Do lasu pójdziemy później — odparł ojciec.

— Za domem są drzewa owocowe, tam możecie pójść, jeśli mała jest ciekawa.

— Tak, jestem ciekawa — przytaknęła uśmiechnięta dziewczynka. — Lubię wszystkie drzewa i roślinki.

— Córeczka tatusia. — Tamara mrugnęła żartobliwie. — Idźcie, a my tu sobie spokojnie porozmawiamy.

We trzy weszły do domu i Diana z dumą oprowadziła je po wszystkich pomieszczeniach. Marzena była zachwycona pracownią.

— Dziewczyno, ja nie wiedziałam, że ty masz taki talent! — Z zaciekawieniem oglądała kubki i wazoniki czekające na szkliwienie. — Przecież to cudenka!

— Bez przesady! Jestem amatorką, to tylko hobby.

— Ej, nie mów tak! Trzeba znać swoją wartość — upomniała ją Marzenka. — Jak sama się nie docenisz, to nikt cię cenił nie będzie. Musisz się nauczyć przyjmować komplementy, zwłaszcza że ci się należą.

Diana pomyślała, że bardzo potrzebowała takich słów i że musi je sobie wziąć do serca. Przez ostatnie lata wciąż miała poczucie, że nie jest dość dobra, że powinna bardziej się starać, a miłe słowa są tak cenne, że należy za nie dziękować, bo są wyrazem łaskawego docenienia jej wysiłków.

— Diano, a kto ci robił te meble? — zainteresowała się Tamara, widząc pomalowane wyposażenie sypialni.

— To moje dzieło. Ale nie bądźcie zbyt krytyczne, bo to debiut. — Uśmiechnęła się nieśmiało. — Taki sposób wymyśliłam, żeby ukryć, że meble swoje przeszły. Zresztą zainspirował mnie dworek w Jagodnie.

— Koniecznie muszę zrobić zdjęcia. — Tamara wyjęła telefon. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wyślę je do Sylwii, która zdobyła meble

w Jagodnie. Ona po prostu musi to zobaczyć!

— Jak chcesz, ale to naprawdę tylko spontaniczny pomysł. Wykorzystałam rośliny do zrobienia szablonu, to wszystko.

— Świetna idea! I wyszło tak delikatnie, a jednocześnie ciekawie.

Diana czuła, że pochwały koleżanek dają jej mnóstwo nowej energii. Miło było wiedzieć, że to, co osiągnęła, spotkało się z uznaniem.

— Teraz chyba pora na odpoczynek. Zapraszam na werandę, zaraz zrobię coś do picia. Nie bardzo mam was czym poczęstować, bo nie spodziewałam się, że przyjedziecie...

— O, dobrze, że mi przypomniałaś! — przerwała jej Tamara. — Mamy wałówkę od panny Zuzanny i ciasto od babci Róży i pani Zofii. — Otworzyła drzwi na podwórze i krzyknęła do Łukasza: — Przyniesiesz koszyk z bagażnika?!

Po chwili Diana miała lodówkę pełną smakowitości. Kobiety zakrzętnęły się w kuchni i szybko przygotowały herbatę i pokroiły ciasto. Gospodyni uśmiechała się, widząc, jak dom nabiera życia. Lubiła ciszę, ale znajome głosy drogich osób cieszyły i wcale nie przeszkadzały.

— Musicie mnie częściej odwiedzać.

— Teraz twoja kolej — zawołała Tamara.

W piątkę usiedli na werandzie i zaczęli zwyczajną, przyjacielską rozmowę. Diana wypytywała o hrabianki, babcię Różę i wszystkich, których zdążyła poznać w Jagodnie. Opowiedziała o swoich początkach, o planach i pracy.

— Musisz pomyśleć o lepszym ogrzewaniu — wtrącił w pewnej chwili Łukasz. — Codzienne palenie w piecu to naprawdę ciężka robota. No i czy ty w ogóle umiesz rąbać drewno?

— Nie umiem, ale się nauczę — powiedziała z przekonaniem.

— Tak właśnie myślałem. — Spojrzał na nią z politowaniem. — Może jedną zimę wytrzymasz, ale naprawdę pomyśl o piecu na ekogroszek albo czymś podobnym.

Kiedy ciasto już znikło z talerza, Różyczka przypomniała ojcu o obietnicy.

— No tak, rzeczywiście, mieliśmy iść — potwierdził. — W takim razie ruszamy. Wy z nami? — Popatrzył pytająco na kobiety.

Wymieniły spojrzenia i Tamara odpowiedziała za wszystkie:

— Chyba zostaniemy. Pogadamy sobie.

— Jak chcecie.

— Kiedy wrócić, zapraszam na lody — powiedziała Diana. — Mamy tutaj wspaniałą lodziarnię, ludzie z daleka specjalnie do niej przyjeżdżają.

Goście zabawili prawie do wieczora. Poszli na lody, Diana po południu odgrzała bigos, który przywieźli, a Łukasz rozpałił ognisko z boku domu i upiekli kielbaski na patykach.

— Aż mi głupio, że wszystko przywieźliście, a ja nie mam właściwie nic...

— Nie przejmuj się, naprawdę. — Marzena poklepała ją po ramieniu.

— Kiedy przyjadę do was, przywiozę dla każdego kubek — obiecała gospodyni. — Pewnie nie będą idealne, ale na pewno zrobione z sercem.







**S**ekretarka szefa nawet nie próbowała jej zatrzymać. Po minie Martyny najwyraźniej poznała, że dziennikarka jest zdeterminowana i nie uda się odwieść jej od podjętego zamiaru.

Wrońska weszła do gabinetu i od razu usiadła na krześle naprzeciw Kościńskiego. Założyła nogę na nogę i czekała, aż mężczyzna podniesie wzrok znad papierów. Wreszcie dyrektor spojrział na nią i zapytał:

— Mam nadzieję, że przyszedł mi powiedzieć, że reportaż, na którym nam obojgu zależy, jest gotowy?

— Nie jest.

— To bardzo niedobrze. Bo właśnie domykam jesienną ramówkę i widzę, że mam tutaj kilka dobrych propozycji na czas najlepszej oglądalności. — Przerzucił ostentacyjnie kilka kartek. — O, choćby tutaj. Program o problemach psychologicznych ludzi starszych. Albo rozmowy z mieszkańcami mniejszych miejscowości o ich bolączkach i interwencje w tych sprawach u lokalnych władz. Twój kolega ma już nawet zapewnioną współpracę członków zarządu województwa i wsparcie wojewody. Brzmi nieźle, prawda?

Doskonale — pomyślała Wrońska. — I wszystko w zgodzie z jedną linią polityczną. Nie ma to jak media pomagające zyskać względy elektoratu.

— No, a co ty masz mi do powiedzenia? — Dyrektor spojrział na Martynę. — Pytam z grzeczności, bo jesteś mądrą osobą i sama doskonale

rozumiesz sytuację.

— Oczywiście, że rozumiem. — Skinęła głową. — Wiem też, na czym ci zależy, i myślę, że mam dużo lepszy pomysł niż ckliwy reportaż z domu pośła.

W oczach Kościńskiego pojawił się cień zainteresowania.

— A co takiego masz do zaproponowania?

— Zastanawiałam się, czy dobrze będzie pokazywać, jak mieszka Kownacki. Bo wiesz, biednie na pewno tam nie jest. A ludzie teraz są wyczuleni na takie rzeczy. — Starą się wyglądać na naprawdę przejętą i zainteresowaną tematem. Od tego zależało powodzenie jej planu. — Zaraz się zacznie gadanie, że ma dużo kasy, i pytania skąd, jak, dlaczego. A wiesz doskonale, jak jest. I kto się będzie z tego tłumaczył? A ludzie jak raz coś pomyślą, to już zdania nie zmienią.

Dyrektor podrapał się po policzku.

— Jak się tak zastanowić, to możesz mieć rację...

— Na pewno mam — powiedziała z przekonaniem Wrońska. — Doskonale wiesz, że mnie intuicja nigdy nie myli. Mam nosa najlepszego w tej redakcji i w tym mieście. Przecież dlatego chciałeś, żebym zrobiła ten reportaż, prawda?

Dyrektor powoli, z namysłem pokiwał głową.

— Dobra, przyjmijmy, że ten pomysł z mieszkaniem nie jest najlepszy. Co w takim razie?

Na te słowa Martyna czekała. Musiała się skoncentrować, żeby powstrzymać triumfalny uśmiech.

— Myślałam nad tym długo. I mam doskonały pomysł. Ale... — zawahała się.

— Ale co?

— Wiesz, do tego potrzebuję swojego programu. I to w dobrej godzinie, bo przecież Kościński nie będzie chciał przyjść byle gdzie. No i odpowiedni odbiór musi być zagwarantowany.

— Martyna, wiem, że walczysz o swoje, ale w ciemno o niczym nie zdecyduję.

Kościński zaczął się asekurować, więc przyszła pora na odsłonięcie kart.

— A czy ja ci każę decydować w ciemno? — Dziennikarka wzruszyła ramionami. — Za chwilę sam zrozumiesz, że mam rację.

— Słucham zatem. — Rozłożył ręce. — Przekonaj mnie.

— Mamy koniec wakacji, dzieci wracają zaraz do szkoły. To wydatki dla rodzin, często bardzo duże. Do tego wciąż docierają do ludzi informacje, że w edukacji źle się dzieje. Nauczyciele chcą strajkować, narzekają na zarobki. Jest tak?

— Jest. I co z tego? Co ma z tym wspólnego Kownacki?

— Otóż trzeba go zaprosić do studia na rozmowę o edukacji właśnie. Porozmawiamy o wszystkich problemach, on opowie, jak władza je rozwiązuje, wyjaśni, jaka jest prawda. — Jego prawda — dodała w myślach, a na głos dopowiedziała: — Doda coś o pomocy rodzicom, o stypendiach i innych takich. Możemy też zahaczyć o patriotyzm.

Kościński zastanowił się przez chwilę.

— Pomysł nie jest zły. Godzina w dobrym czasie to okazja, żeby się wypowiedzieć...

I oszczędność setek tysięcy na reklamę — pomyślała Martyna.

— Tylko wiesz, to idzie na żywo — przypomniał dyrektor. — Co będzie, jeśli Kownacki sobie nie poradzi? Albo powie coś niezręcznego? Nie da się przecież wyciąć, poprawić...

— Na wszystko są sposoby.

Szef popatrzył pytająco.

— Przecież ja pytania do rozmowy muszę przygotować wcześniej — rzuciła Wrońska.

Kościński zrozumiał.

— Jako dyrektor chciałbym wiedzieć, o czym moja pracownica będzie rozmawiać ze znanym politykiem. Muszę dbać o odpowiedni poziom debaty.

— Oczywiście. I ja to rozumiem — przystała z uśmiechem Martyna. — Prześlę listę do zatwierdzenia tydzień przed emisją programu.

— I uwzględniysz ewentualne zmiany i uwagi?

— Jak najbardziej. Wszystkim nam przecież zależy, żeby wyszło bezbłędnie.

Kościński wyglądał na zadowolonego.

— I co, szefie? Jak będzie z tą ramówką?

Mężczyzna postukał palcem w kartki leżące na biurku.

— Po namyśle stwierdzam, że te propozycje nie są aż tak dobre, jak mi się wcześniej wydawało. Uważam, że lepiej pozostać przy sprawdzonych programach, a nowym pomysłem dać szansę, ale też bez ryzyka. W końcu rano widzowie też oglądają naszą stację.

— Cieszę się, że szef podjął taką decyzję.

Martyna wstała i poprawiła zakiet.

— Rozumiem, że mogę przedstawić Kownackiemu nową propozycję?

— Sam się z nim skontaktuję — szybko odpowiedział Kościński. — Rozumiesz, żeby wyglądało, że to prestiżowa sprawa.

— Jak szef uważa — zgodziła się bez protestu Wrońska. — Ja zrobię swoje, najlepiej jak potrafię. — Ostatnie zdanie wypowiedziała z głębokim przekonaniem. Tak właśnie zamierzała działać.

A kiedy Tobiasz, któremu zdradziła swój plan, zapytał, czy się nie boi, odparła krótko:

— Nie po to wybrałam ten zawód, żeby się bać.

Tak, Martyna Wrońska była prawdziwą dziennikarką.





**D**iana postanowiła, że jak najszybciej rozpocznie robienie obiecanych kubków dla mieszkańców Jagodna.

Im szybciej skończę, tym szybciej tam pojadę — stwierdziła. — No i będę miała dobry pretekst do odwiedzin.

Wiedziała doskonale, że aby odwiedzić Stację Jagodno i panią Różę, nie są potrzebne żadne preteksty, ale mimo wszystko nie chciała jechać z pustymi rękami — tym bardziej że jej goście przywieźli ze sobą tyle smakowitości!

Panna Zuzanna najwyraźniej była już całkiem zdrowa, bo wszystko, czego Diana spróbowała, smakowało przepysznie. Ręka hrabianki i jej czujne oko nie dopuszczały żadnej fuszerki. Z sympatią pomyślała o złośliwej z pozoru staruszce, która jednak miała bardzo dobre serce.

Szkoda, że tutaj nie ma takich sympatycznych ludzi — westchnęła. — Byłoby mi trochę łatwiej, gdybym mogła z kimś czasami porozmawiać, jak z Tamarą i Marzeną.

Jakby ściągnięta myślami, zadzwoniła Marzenka.

— Wiesz, właśnie wspominałam nasze spotkanie — wyznała Diana. — I żałowałam, że jesteście tak daleko.

— Daleko? Czy ty troszkę nie przesadzasz? Przecież to kilkanaście kilometrów — obruszyła się graficzka. — Pomyśl, co czułam, kiedy wiele miesięcy siedziałam z Janeczkiem w Londynie. To dopiero była odległość!

Faktycznie, ma rację — zgodziła się z nią Diana. — Czy ja nie zaczynam dramatyzować? Wymyślam problemy, zamiast je rozwiązywać.

— Wiesz, muszę się nad tym zastanowić — odparła. — Trochę mnie dołuje samotność. Tamara twierdzi, że z czasem kogoś tu poznam, jednak jakoś nie mam szczęścia.

— Cierpliwości, przecież w Świętej Katarzynie na pewno mieszkają jakieś sympatyczne osoby. — Marzenka nie traciła entuzjazmu. — Sama wspominałaś o jakimś facecie, któremu urządzasz ogród.

— A, Woliński. Rzeczywiście, jest miły, ale wiesz, to relacja służbowa.

— Znam wiele relacji, które zmieniły się z służbowych na prywatne...

— Coś ty! Nie w tym wypadku! — Diana była zdziwiona takim pomysłem.

Nigdy nie myślała o Wolińskim jako o mężczyźnie. Był po prostu zleceniodawcą i nawet wspólne pogaduszki przy kawie traktowała jako przerwę w pracy.

— Diano, życie pisze czasami najbardziej nieprawdopodobne scenariusze — roześmiała się Marzena.

— Tak, i jeszcze mi powiedz, że będzie jak w bajce o Kopciuszku. Księżę z willi i biedna dziewczyna z wiejskiej chatki — odpowiedziała równie żartobliwie.

— A wiesz, że to całkiem fajny scenariusz?

— Ale tak samo prawdziwy jak bajki. Marzenko, naprawdę to zupełnie nierealne.

— Ja się nie upieram, chciałam ci tylko wskazać pewne możliwości. Poza tym nie tylko Woliński tam przecież żyje. Kogoś musisz spotykać.

— Owszem, ale tutaj jedna osoba dziwniejsza od drugiej: mała dziewczynka, zielarka czarownica, rzeźbiarz z siwą brodą i nauczycielka, która ma bardzo zmienne nastroje — wyliczyła. — To właśnie moje dotychczasowe znajomości.

— Bosko! — ucieszyła się Marzena. — Same ciekawe postaci. Ja bym od razu chciała ich bliżej poznać. A najbardziej tę czarownicę.

— Ona akurat w ogóle nie jest rozmowna. Tylko się przygląda. Przyznam, że trochę mnie to stresuje.

— Dlaczego? Przecież nie rzuci na ciebie uroku. Chyba nie wierzysz w takie rzeczy?

— Niby nie wierzę, ale kto tam może być pewien — mruknęła Diana. — Na wszelki wypadek wolałabym się jej nie narażać.

— Czym ty się możesz komuś narazić? Taka miła i dobra dziewczyna...

— Dziękuję. — Diana się uśmiechnęła, choć oczywiście jej koleżanka nie mogła tego widzieć. — Oby wszyscy tak myśleli.

— Kiedy cię poznają, na pewno to zobaczą — zapewniła Marzena.

— W każdym razie dziękuję ci, że zadzwoniłaś. Wybrałaś idealny moment. Właśnie siedziałam w pracowni, robiłam kubeczki i zaczynałam się nad sobą użalać.

— Ach, właśnie, bo ja zupełnie zapomniałam, po co zadzwoniłam! — Marzenka chyba uderzyła się w czoło, bo Diana usłyszała stłumione plaśnięcie. — Widzisz, tak sobie rozmyślałam o naszym spotkaniu, o twojej pasji i o pracowni — dodała zaraz. — I przyszło mi do głowy, że może mogłabyś to jakoś wykorzystać.

— Co masz na myśli?

— Masz na podwórku starą stodołę, mogłabyś ją doprowadzić do porządku, wstawić tam jakieś stoły czy coś podobnego i może organizować warsztaty lepienia z gliny.

— Ale wymyśliłaś! — roześmiała się Diana. — Jak ja mogę robić warsztaty, skoro sama jeszcze wiele muszę się nauczyć? Porządne wazony w ogóle mi nie wychodzą.

— Od razu wazony! — prychnęła Marzenka. — Pomyśl o możliwościach, a nie o przeszkodach. Przecież nie musisz uczyć robienia chińskich waz. Niech to będą jakieś miseczki czy coś podobnego, jakieś drobiazgi.

— Sama nie wiem... — Diana była sceptycznie nastawiona do tego pomysłu. — I kto by chciał tu do mnie przyjechać?



— Chociażby dzieci. Mówiłaś, że mnóstwo wycieczek odwiedza Świętą Katarzynę. Wiadomo: klasztor, kapliczka. Ale to tylko kilka godzin zwiedzania, a co dalej? A gdyby dodatkowo dzieciaki mogły sobie ulepić drzewko, czarownicę czy coś innego, a potem, po kilku dniach, przesyłałabym do nich wypalone, to byłaby na pewno fajna zabawa.

Diana poczuła, że Marzenka może mieć rację, więc powiedziała ostrożnie:

— Zastanowię się nad tym.

— Obiecujesz?

— Tak.

— Dobra, tylko nie rezygnuj za szybko. Pomyśl: miałybyś kontakt z ludźmi i mogłybyś dodatkowo zarobić. Może nie za wiele, ale zawsze.

Pożegnały się serdecznie i Diana wróciła do pracowni. Zrobiła jeszcze jeden kubek, a potem oparła ręce na kole i zamyśliła się.

Pomysł Marzeny w jednej chwili wydawał jej się doskonały, lecz zaraz potem widziała w nim więcej wad niż zalet. Nie uważała się za specjalistkę od garncarstwa, chociaż do takich zajęć z dziećmi nie trzeba przecież wielkich umiejętności — raczej chodziłoby o zachęcenie do zabawy i wsparcie w lepieniu.

Czy ja mam na to czas? — zastanawiała się. — I jak przygotować stodołę? To ogrom pracy, zwłaszcza dla jednej osoby. Jak dam radę?

Kiedy wieczorem leżała w swoim ogromnym łóżku, znowu poczuła się bardzo samotna. Kocio co prawda ułożył się na drugiej poduszce i pomrukiwał przez sen, ale to nie wystarczało — Dianie brakowało rozmów, kontaktów z drugim człowiekiem.

Nie chodzi o pieniądze — pomyślała. — W czasie takich warsztatów przynajmniej coś by się działo.

Przypomniała sobie, jak bardzo dom odżył, gdy wypełniały go ludzkie głosy. I jak ona wtedy poczuła się lepiej.

Potrzebuję energii z zewnątrz, spotkań z ludźmi — przyznała. — Lubię być sama, ale nie przez cały czas.

Zanim zasnęła, obiecała sobie, że następnego dnia przemyśli raz jeszcze pomysł Marzeny.





**P**orannek zaczęła od zrobienia sobie obfitego śniadania. Nagle miała taki wybór pyszności, że nie wiedziała, co nałożyć na talerz: sałatki, domowe pieczone mięsa, jakieś roladki, faszerowane jajka...

Jeśli tak karmią gości w Stacji Jagodno, to nie dziwię się, że mają pełne obłożenie — pomyślała, pochłaniając smakołyki. — Tylko czy na tym zarabiają? Bo to wszystko wygląda jak w najlepszej restauracji, na pewno nie jest tanie.

Przełknęła ostatni kęs domowego pasztetu i pomyślała, że właściwie nie ma po co iść do sklepu. No chyba że po świeże pieczywo.

Ale chętnie się przejdę — stwierdziła. — Przynajmniej spalę trochę kalorii, które przed chwilą przyjąłem.

Nigdy nie narzekała na figurę, ale przy Mateo bardzo pilnowała, żeby nie przytyć. On nie raz podkreślał, że lubi szczupłe kobiety, a dodatkowe kilogramy czy fałdki uważał za objaw braku dbałości o siebie. Oczywiście, dotyczyło to wyłącznie innych, zwłaszcza płci przeciwnej, jego już nie. Rysujący się pod koszulką brzuch był dla niego zupełnie niewidoczny i nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby podobną miarą jak innych mierzyć także siebie.

Diana przyzwyczała się do myśli, że musi uważać na to, ile je, a jeśli już trochę zaszalała ze słodyczami czy bardziej wystawnym obiadem, od razu wchodziła na wagę i wieczorem dokładnie oglądała się w lustrze. Teraz już

nie musiała tego robić, więc jej myśli o spalaniu kalorii wynikały raczej z nawyku niż z przymusu.

A na spacer naprawdę miała ochotę.

Wieczorna rozmowa z Marzeną i późniejsze rozmyślenia doprowadziły ją do wniosku, że naprawdę powinna lepiej poznać mieszkańców Świętej Katarzyny. I nie poprzestawać na tych, których poznała dotychczas.

Na pewno w końcu znajdę kogoś, kogo polubię. — Bardzo chciała w to wierzyć. — A może ci dotychczasowi też zyskają przy bliższym poznaniu.

Założyła ulubioną sukienkę — zieloną w drobne białe kwiatki — wzięła wiklinowy koszyk, portfel i okulary i wyruszyła w stronę sklepu z nadzieją na jakieś miłe spotkanie. Niestety, o tej porze chyba miejscowi zajęci byli swoimi sprawami albo po prostu pojechali do pracy, bo po drodze nie spotkała nikogo. Diana była tym nieco rozczarowana. Cóż, jej oczekiwania znowu boleśnie zderzyły się z rzeczywistością.

Za to w sklepie dopadło ją wrażenie *déjà vu*. Kiedy weszła, przy ladzie stała nauczycielka i kupowała dokładnie to samo, co poprzednim razem.

A może to jest moja szansa? — pomyślała Diana. — Może to jakiś znak, że powinnam z nią zacieśnić znajomość?

— Niech pani na mnie poczeka, dobrze? — poprosiła odważnie, gdy nauczycielka zapłaciła za zakupy.

Kobieta zmierzyła ją spojrzeniem, ale skinęła głową. Diana szybko kupiła chleb i wyszła na zewnątrz. Anna siedziała tam, gdzie poprzednio.

— Ma pani do mnie jakąś sprawę? — zapytała bez zbędnych wstępów.

Diana szybko usiłowała coś wymyślić.

— Właściwie... — zaczęła powoli — chciałam z panią coś skonsultować. — Nagle przyszedł jej do głowy pomysł na rozpoczęcie dłuższej rozmowy. — To dotyczy edukacji, a pani jest nauczycielką, więc pomyślałam, że pani zdanie może mi pomóc — dodała.

Kobieta spojrzała z zainteresowaniem.

— Słucham. Jeżeli będę potrafiła, to chętnie pomogę — zachęciła.

— Świetnie! To chyba zacznę od tego, że moim hobby jest garncarstwo.

Chciała usiąść obok nauczycielki, ale ta powstrzymała ją gestem.

— Jeśli to pani nie przeszkadza, wolałabym porozmawiać w drodze — powiedziała. — Idziemy w tę samą stronę, a ja powinnam już przygotować kanapki.

— Oczywiście, nie ma problemu. Podziwiam pani zaangażowanie. Ale po weekendzie zaczyna się już rok szkolny, więc chyba wrócą też posiłki?

— Tak, na szczęście — potwierdziła Anna. — Chociaż i tak zawsze przynoszę kilka bułek do szkoły. Dla tych dzieci, które nie mają drugiego śniadania. Mówię, że przygotowałam za dużo, zostawiam na biurku i wychodzę — opowiadała. — A kiedy wracam, już ich nie ma.

— To smutne, że wciąż są głodne dzieci... Nie można tego gdzieś zgłosić?

Anna pokręciła głową i wyjaśniła:

— Nie zna pani realiów. Bywa tak, że dochody rodziny przekraczają kryterium o kilka złotych i z darmowych obiadów nici. Takie przepisy. A bywa, że te i tak marne dochody ojciec przepija. Ale na papierze są i mamy związane ręce — westchnęła.

Dianie zrobiło się smutno. Z jeszcze większym szacunkiem popatrzyła na nauczycielkę, której tak drogi był los jej uczniów i uczennic.

— A o co chciała mnie pani zapytać? — Anna przypomniała jej o właściwym temacie rozmowy.

— Ach, rzeczywiście! — Projektantka się uśmiechnęła. — Jak mówiłam, lubię garncarstwo. To bardzo rozwijające i uspokajające jednocześnie zajęcie. Jedna z moich koleżanek podsunęła mi myśl, że mogłabym zorganizować tutaj warsztaty lepienia z gliny dla dzieci. I zastanawiam się, czy to dobry pomysł. Co pani o tym sądzi?

Nauczycielka spojrzała na Dianę z uznaniem.

— Niezła myśl. Takie zajęcia poprawiają sprawność manualną, mogą też pomóc w koncentracji. No i oczywiście rozwijają kreatywność. Widzę same plusy i gratuluję pomysłu — podsumowała. — Z mojego punktu widzenia powinna pani zaczynać.

— Oj, to na razie taki luźny pomysł — roześmiała się Diana. — Zastanawiam się jeszcze.

— A nad czym się tu zastanawiać? Skoro można coś dobrego zrobić, to trzeba robić i już.

— Tylko wszystko należałoby najpierw przygotować — zauważyła Diana, chociaż zaimponował jej sposób myślenia Anny.

Ona działa skutecznie — stwierdziła. — Może dlatego, że nie zastanawia się tak długo jak ja. Gdyby mnie wsparła swoją determinacją, to kto wie...

— Pani Anno, a czy może pani uczniowie albo uczennice wzięliby udział w takich zajęciach? — podsunęła.

— Widzi pani, to nie są bogate dzieci, wielu nie stać na opłaty za dodatkowe zajęcia.

— A gdyby to było coś w rodzaju pilotażu? — wymyśliła rozwiązanie Diana. — Taka próba dla mnie i darmowe zajęcia dla dzieci? Pani popatrzyłaby, jak z nimi pracuję, i potem podzieliła się swoimi uwagami. Coś w rodzaju wymiany...

— Skoro tak, to możemy spróbować — zgodziła się Anna z uśmiechem.

Właśnie doszły do domu Diany, więc ta pomyślała, że warto skorzystać z okazji, i zaproponowała:

— Może zajdzie pani do mnie na chwilę? Wypijemy szybką kawę, pokażę pani miejsce, gdzie chciałabym organizować zajęcia. A potem pójdę z panią i pomogę robić kanapki. Będzie okazja poznać pani uczniów, a i my dłużej porozmawiamy.

Kobieta przystanęła i spojrzała na domek, w którym mieszkała Diana.

— Tu pani chce to robić? — zapytała powoli, jakby ostrzegawczo.

— Tak. Wiem, że może na razie nie wygląda to najlepiej, ale postaram się zaadaptować stodołę tak, żeby warunki były odpowiednie — wyjaśniała szybko, żeby nie zniechęcić Anny.

— W takim razie nic z tego. — W jednej chwili nauczycielka zupełnie zmieniła ton.

— Ale dlaczego? — Diana nie potrafiła zrozumieć, co się stało, że kobieta tak zareagowała.

Powiedziałam coś nieodpowiedniego? — myślała w panice. — Uraziłam ją? Ale czym?

— Moja noga nigdy nie postanie w tym domu ani na tym podwórku — oświadczyła Anna lodowatym tonem. — I nigdy też nie przyprowadzę tutaj swoich uczniów. Do widzenia pani, spieszę się.

I zanim Diana zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, odeszła, nie oglądając się za siebie.







**M**artyna spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

— Wyglądasz świetnie — zapewnił ją Tobiasz.

— Świetnie-seksownie czy świetnie-profesjonalnie? — zapytała.

— I to, i to.

Ta wymiana zdań była ich rytuałem przed każdym kolejnym programem na żywo. Dzisiaj jednak oboje wiedzieli, że jest szczególnie ważny.

— Martyna, siadaj już — zawołał Roman, techniczny odpowiedzialny za to, żeby wszystko szło zgodnie z planem. — Twój gość jest gotowy, zaraz wyjdzie od charakteryzatorki.

Wrońska po raz ostatni poprawiła włosy.

— Życz mi powodzenia. — Popatrzyła na Tobiasza i delikatnie oblizała wargi, żeby nie zetrzeć z nich krwistoczerwonej szminki.

— Jesteś pewna? Jeszcze możesz zrezygnować.

— Jestem pewna.

— W takim razie powodzenia. — Operator delikatnie ścisnął jej dłoń. — Będę tutaj cały czas.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się lekko.

Nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo jest zdenerwowana, ale zdawała sobie sprawę, że na pewno to czuje. Znali się jak łyse konie, wiedziała, że nie zwiedzie go uśmiechem.

— Martyna! — niecierpliwił się Roman.

— Już idę!

Pewnym krokiem weszła do studia, gdzie na okrągłym podeście ustawiono szklany stolik i dwa krzesła. Była zadowolona, że musi przejść tylko kilka kroków, gdyż niebotycznie wysokie szpilki wyglądały wspaniale, ale na pewno nie zostały stworzone do chodzenia.

Z ulgą zajęła miejsce. Poprawiła marynarkę, sprawdziła, czy nogawki szerokich garniturowych spodni dobrze się ułożyły, wyprostowała plecy, żeby wyeksponować biust opięty bluzką. Jej biel kontrastowała z czernią kostiumu i czerwienią pomadki. Wiedziała, że może lekko przesadziła ze strojem i makijażem, ale zależało jej na właśnie takim efekcie. Liczyła, że Kownacki, tak łasy na kobiece wdzięki, dzięki temu będzie nieco rozkojarzony, co ułatwi jej zadanie.

Zobaczyła go, gdy wyszedł z charakteryzatorni. Obserwowała, jak idzie w jej stronę pewnym, lekko rozkołysanym krokiem, niczym szeryf ze starych westernów. Wyglądał jak większość polityków: granatowy garnitur, biała koszula, bordowy krawat, wydatny brzuch i zadowolona z siebie mina.

Czy ich odbijają od jednej sztancy? — pomyślała z niesmakiem. — Dlaczego nikt ich nie uczy, jak dobrze wyglądać?

Podejrzewała, że to wynik niezachwianej pewności siebie i przekonania o tym, że są najmądrzejsi i nieomylni. Wiadomo, tacy ludzie nie przyjmą żadnej krytycznej uwagi.

— Witam panią redaktor — powiedział i zmierzył ją przy tym takim spojrzeniem, jakby chciał przeświecić ubranie i zobaczyć bieliznę.

— Dobry wieczór — odpowiedziała.

Techniczny przypiął im mikrofony.

— Jest pan gotowy?

— Oczywiście — odparł z pewną siebie miną. — Znam odpowiedzi na wszystkie pani pytania.

I tu się mylisz — pomyślała. — Za chwilę dowiesz się jak bardzo.

— Wchodzimy za piętnaście sekund.

Martyna skupiła się. W takich chwilach świat poza studiem przestawał dla niej istnieć. Byli tylko ona i rozmówca. A dziś wiedziała, że gra idzie o coś więcej — o jej przyszłość.

— Zaczynaj!

— Dobry wieczór państwu! — Wrońska uśmiechnęła się szeroko do kamery. — Spotykamy się po wakacyjnej przerwie i mam z tej okazji specjalnego gościa. Poseł Mariusz Kownacki zgodził się porozmawiać ze mną o kondycji polskiej edukacji. Witam pana. — Popatrzyła na mężczyznę po drugiej stronie stolika.

— Witam panią i witam państwa. — Kownacki poprawił się na fotelu i poszukał wzrokiem odpowiedniej kamery.

— Myślę, że temat szkół i edukacji w ogóle jest teraz szczególnie ważny. Zaczyna się nowy rok szkolny, wprowadzono sporo zmian w systemie, a opinie o sytuacji uczniów i nauczycieli są mocno podzielone. — Martyna mówiła spokojnie, pewnie i bez zająknięcia.

Profesjonalistka — pomyślał Tobiasz stojący za szklaną szybą. — Nikt się nawet nie domyśla, co za chwilę się wydarzy.

Tymczasem program toczył się według podanego Kościńskiemu planu. Padały kolejne pytania, Kownacki recytował przygotowane wcześniej odpowiedzi i wszystko wyglądało bardzo naturalnie.

Musiał sporo ćwiczyć — stwierdziła Martyna, słuchając mężczyzny. Właściwie było jej wszystko jedno, co mówi, w końcu i tak za moment nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Doszli do pytania o pomoc rodzicom i poseł gładko opowiedział o programach pomocowych, zakupie podręczników, dofinansowaniach zajęć dodatkowych.

— A co z równymi szansami? — Martyna popatrzyła Kownackiemu w oczy. — Czy samotne matki są inaczej traktowane?

Mężczyzna posłał jej zdumione spojrzenie. Tego pytania nie miał na swojej liście.

— Czy dla pana posła ma znaczenie to, że samotna matka musi zadbać o wszystko sama i dzięki temu łatwiej ją mobbingować i molestować? —

parła dalej Wrońska. — Nie sprzeciwi się, bo nie ma wyboru. A nawet jeśli, to łatwo można ten protest zlekceważyć.

— Nie wiem, o czym pani redaktor mówi — zdenerwował się Kownacki.  
— O co pani chodzi?

— Naprawdę? — Martyna udała zdziwienie. — To ja panu posłowi zaraz powiem. Chodzi mi o pańską pracownicę, którą od dwóch lat zmusza pan do świadczenia usług seksualnych, bo chyba inaczej nie można tego nazwać. Choć właściwie są jeszcze takie określenia jak wykorzystywanie, molestowanie...

Kownacki wstał gwałtownie, potrącając krzesło.

— Wypraszam sobie! — podniósł głos, zapominając, że są na wizji. — Nie będę tolerował takiego zachowania!

Wrońska zachowała absolutny spokój.

— Proszę na mnie nie krzyczeć. Nie jest pan u siebie w biurze, a ja nie jestem zależną od pana kobietą. Czy kiedykolwiek w ogóle zastanowił się pan, co ona czuje?

Poseł gwałtownie się zaczerwienił, jakby miał dostać ataku serca. Jednym szarpnięciem zdjął mikrofon i zszedł z podestu.

— Dlaczego pan wychodzi? — Dziennikarka nawet nie drgnęła. Kontynuowała realizację swojego planu. — Dlaczego nie chce pan ze mną o tym porozmawiać? Czyżby miał pan coś do ukrycia?

Trzasnęły drzwi studia, Kownacki wyszedł.

— Cóż, wygląda na to, że musimy zakończyć dzisiejszy program. — Martyna popatrzyła wprost w obiektyw kamery. — Poseł Kownacki uciekł. Jak widać, nie zawsze jest tak odważny jak wobec zależnej od niego kobiety, którą łatwo zmusić do uległości. I z tym państwa zostawiam. Martyna Wrońska życzy państwu spokojnej nocy. Do zobaczenia!

Poczekwała na znak, że nie jest już na wizji, odpięła mikrofon, zdjęła szpilki i boso wyszła ze studia.

— Będą jaja — mruknął Roman i pokręcił głową.

— Idziemy do domu. — Martyna skinęła na Tobiasza.





**S**tukanie wyraźnie drażniło Kocia. Patrzył z dezaprobatą na Dianę, która z młotkiem w ręku stała na krześle i zastanawiała się, gdzie umieścić kolejny gwóźdź. Właśnie wpadła na pomysł, że ozdobi pomieszczenie glinianymi talerzami, na których będzie malowała daty ważnych wydarzeń. Stworzy w ten sposób coś w rodzaju własnego kalendarza wspomnień.

Za każdym razem, gdy będę tu odpoczywała, przypomnę sobie, co dobrego i ważnego udało mi się osiągnąć — myślała z radością o tym widoku. — To pomoże mi zmotywować się w trudnych chwilach.

Od razu przystąpiła do realizacji i poprzedniego wieczora zrobiła dwa talerze. Teraz jeszcze zostało szklwienie i wypalenie, ale przy kole najlepiej pracowało jej się wieczorem, kiedy nic nie rozpraszało uwagi i chciała wyciszyć się przed snem.

Gwoździe mogę wbić już teraz — uznała. — Popatrzę, jak najlepiej je rozmieścić. Od razu przygotuję więcej, żeby zaczarować los.

Kocio nie podzielał jej entuzjazmu. Był lekko obrażony, że ktoś ośmiela się naruszać jego spokój i bez pardonu przegania go z ulubionych miejsc.

— Nie bądź taki niemily — przywołała go do porządku Diana. — To także mój dom, pamiętaj o tym.

Jak jednak wiadomo, koty traktują ludzi jak swoją służbę i pod ogonem mają ich uwagi. Kocio oczywiście wcale nie zamierzał słuchać tłumaczeń. Był niezadowolony, i już.

— Kociu, znowu musisz się przesunąć — oznajmiła projektantka.

Przestawiła krzesło w kolejne miejsce, a gwóźdź miała wbić akurat nad oknem, przy którym usadowił się kocur.

— Rób, co chcesz. — Wzruszyła ramionami wobec jego obojętności. — Ale żebyś potem nie marudził, że nie ostrzegałam.

Wiedziała, że niektórzy ludzie uważają mówienie do zwierząt za dziwactwo, sama zresztą kiedyś też sądziła, że to przesada. Od kiedy jednak w jej życiu pojawił się Kocio, zmieniła zdanie. Rozmowy z nim przyszły jej zupełnie naturalnie, mimo że przecież kot nie odpowiadał — chociaż i z tym mogłaby dyskutować. Bursztynowe oczy patrzyły niekiedy tak wymownie, że jedno kocie spojrzenie wyrażało więcej niż tysiąc słów.

Diana wzięła młotek do ręki. Drugą musiała przytrzymać się oparcia krzesła, żeby zachować równowagę podczas wchodzenia na nie. W tej sytuacji gwóźdź włożyła do ust.

— Uważaj, będę stukała — ostrzegła kota.

Zwierzę już po pierwszym uderzeniu zeskoczyło z parapetu.

— Mówiłam — rzuciła Diana przez ramię.

Kilka stuknięć młotkiem i wieszak na talerz był gotowy. Kobieta zeskoczyła z krzesła i cofnęła się, żeby z odległości ocenić efekt.

— Jest dobrze — stwierdziła z zadowoleniem. — I oby wszystkie miejsca na ścianie zapełniły się jak najszybciej. To będzie znak, że moje życie się zmienia i jest w nim wiele dobrych chwil.

Ktoś mógłby pomyśleć, że takie próby czarowania rzeczywistości nie mają sensu, jednak Diana wierzyła, że dobre nastawienie to połowa sukcesu. Jeżeli pragniesz zmiany na lepsze, to podświadomie podejmiesz działania, które do niej doprowadzą. A jeśli nastawiasz się na porażki i nieszczęścia, to nie znajdziesz w sobie siły i naprawdę nic ci nie wyjdzie.

— Poczekaj, Kocio, zobaczysz, jacy będziemy tutaj szczęśliwi — zapewniła kota.

Rozejrzała się, żeby zlokalizować kocura, i zobaczyła, że ten stoi obok drzwi wyjściowych z uniesionym ogonem i mruczy dokładnie tak jak wtedy, gdy ma ochotę na głaskanie.



— Co ty wyprawiasz? — zdziwiła się. — Czyżbyś chciał wyjść? — Podeszła do kota i pogłaskała go po grzbiecie. — Przecież wiesz, że to niemożliwe. Boję się o twoje bezpieczeństwo.

Była zaskoczona, bo Kocio nigdy nie przejawiał ochoty do wyjścia. Teraz jednak uparcie krążył przy drzwiach. Dopiero gdy usłyszała miauczenie po drugiej stronie, zrozumiała, w czym rzecz.

— Chyba mamy gościa. Ale nie wiem, czy powinnam otwierać — odezwała się zdziwiona.

Wyrzała przez okno i zobaczyła, że przy zewnętrznej stronie drzwi siedzi duży czarny kocur. Pomyślała, że to trochę ryzykowne dopuścić do siebie obce zwierzęta. Nie wiedziała, jak Kocio zareaguje przy bliższym spotkaniu z nieznanym kocurem i jak zachowa się tamten. Co prawda, wyglądał na spokojnego, ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

Cofnęła się, zdecydowana nie wpuścić nieproszonego gościa, ale czarny kot miał inne plany. Wykorzystał chwilę i jednym skokiem znalazł się na parapecie werandy. Diana odruchowo zrobiła krok w tył, wystraszona nieprzewidzianym rozwojem wypadków, lecz zanim jakkolwiek zdążyła zareagować, kocur zeskoczył na podłogę. Oba zwierzęta zmierzyły się spojrzeniami, a Diana zamarła.

A jeśli zaczną walczyć? — pomyślała z przerażeniem.

Nic takiego się jednak nie stało. Po kilku sekundach kocury powoli zbliżyły się do siebie i powąchały. A potem, jakby znały się od dawna, zaczęły wzajemnie wylizywać sobie sierść.

Na widok tej komitywy kobieta odetchnęła głośno.

— Witamy w naszym domu — powiedziała do kociego gościa. — Skąd ty się tutaj wziąłeś? Może jesteś głodny? Pewnie chce ci się pić?

Poszła do kuchni i wyłożyła na plastikowy talerzyk trochę karmy. Nalała też wody do miseczki i przyniosła wszystko na werandę. Postawiła w rogu pomieszczenia.

— Proszę, częstuj się — zachęciła kota. — Czym chata bogata.

Kocur podszedł do miski i powąchał jej zawartość, a potem zjadł kilka kęsów.

— Dobra gospodyni każdego gościa uszanuje.

Diana aż podskoczyła, słysząc głos za plecami. Odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi nie kto inny jak Greta, tajemnicza kobieta z siwym warkoczem.

— Niespodziewanego gościa dobrze przyjął — pokiwała głową. — A on to potrafi docenić.

— Dzień dobry — odpowiedziała Diana nieco drżącym głosem. — To pani kotek?

— Tak, mój. Chociaż w ten sposób o kotach trudno mówić. One nie mają właścicieli, są niezależne.

— Tak, wiem, ktoś powiedział mi to samo, kiedy Kocio pierwszy raz wskoczył mi na kolana. — Diana przypomniła sobie słowa pani Róży. — Że koty same wybierają, z kim chcą być.

— Mądra ta osoba — pochwaliła Greta.

— Ale ja tak z panią w progu rozmawiam — zmitygowała się gospodyni. — Proszę, niech pani wejdzie, usiądzie. — Wskazała krzesło. — Przyniosę coś do picia.

— Dziękuję za propozycję, ale nie będę się rozsiadać. Tylko tego powsinogę chciałam znaleźć, bo od wczoraj do domu nie wraca. — Zielarka spojrzała na kocura. — I tu chciałeś przyjść? Widzę, że przyjaciela znalazłeś. To do ciebie niepodobne.

Dianie zrobiło się przyjemnie, gdy usłyszała, że kobieta też rozmawia ze swoim kotem. Przyjrzała jej się uważniej, bo po raz pierwszy miała okazję zobaczyć ją z bliska. Greta była młodsza, niż się Dianie wcześniej wydawało. Mogła mieć około sześćdziesięciu lat, a twarz niepooraną nadmiernie zmarszczkami. Zdrowa opalenizna nie dodawała jej lat, już bardziej siwy warkocz wywoływał wrażenie, że jest staruszką.

Gdyby ufarbowała włosy... — pomyślała Diana, ale zaraz odrzuciła tę myśl. — Nie, to nie pasowałoby do niej — uznała.

— Może jednak pani odpocznie? — zaproponowała po raz drugi. — Chętnie porozmawiam z kimś, kto tu mieszka. Może opowie mi pani

o poprzednim właścicielu, o tym domu? Nie znam jego historii, a chciałabym poznać.

Greta popatrzyła młodszej kobiecie prosto w oczy. Jej spojrzenie było przenikliwe i hipnotyzujące.

— Powinnaś kupić białą szafnię i okadzić dom — powiedziała cicho, ale stanowczo. — Biała szafnia oczyszcza, wygania złą energię.

— Białą szafnię? — zdziwiła się projektantka.

— Tak. I spraw sobie czarny turmalin. Powieś na szyi albo noś zawsze przy sobie. Ten kamień chroni przed złem.

Lisowska nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— No, pora na nas. — Greta nie wydawała się urażona jej milczeniem. — Idziemy — powiedziała do kota. — Mamy jeszcze sporo do zrobienia, a już prawie południe. — Popatrzyła na Dianę. — Biała szafnia i czarny turmalin — powtórzyła. — I niech ci się tu dobrze żyje. Do widzenia.

— Do widzenia. Zapraszam kiedy indziej, jeśli będzie pani miała ochotę.

Siwowłosa kobieta nie odpowiedziała. Diana patrzyła przez okno, jak odchodzi w stronę lasu. Tuż za nią wybiegł czarny kocur. Kocio wskoczył na parapet i także obserwował odchodzących.

— Może kolega znowu cię odwiedzi — powiedziała Diana. — Bo co do czarownicy nie mam pewności. Chyba nie jest zbyt towarzyska.

Biała szafnia i czarny turmalin — powtórzyła w myślach, choć dotąd nie słyszała ani o jednym, ani o drugim.

— Ech, szkoda czasu na takie bzdury — powiedziała do Kocia. — My mamy własne czary. Na przykład zaraz wyczaruję sobie coś na obiad. To na pewno doda mi dobrej energii.





Mieszkanie w Świętej Katarzynie miało jedną bolączkę, z którą trudno się było Dianie pogodzić. Bus do Kielc przyjeżdżał na przystanek we wsi niepunktualnie. Rozkład jazdy wisiał na słupku obok przystanku, ale niewiele z tego wynikało. Czasami Lisowska czekała pół godziny na przyjazd busa, zdarzyło się, że nie przyjechał w ogóle, a raz po prostu nie zatrzymał się na przystanku. Diana nie miała pewności, czy uda się jej dotrzeć na czas do miasta, a miała przecież umówione spotkania i nie chciała się spóźnić. To podważało jej profesjonalizm na samym wstępie.

Tak, naprawdę przydałby mi się samochód — doszła do wniosku któregoś dnia, podczas porannych przemyśleń przy herbacie. — Byłabym niezależna od publicznego i prywatnego transportu. Idzie zima i pewnie będzie jeszcze gorzej z wydostaniem się stąd, a nie uśmiecha mi się marznięcie na przystanku w nieskończoność.

Decyzja została podjęta, ale przed zakupem Diana musiała pokonać jeszcze pewną przeszkodę: mianowicie musiała nauczyć się jeździć. Nie, nie chodziło o zrobienie prawa jazdy. To miała za sobą już dawno, zdała egzamin jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej.

Pracowała wtedy całe wakacje przy zbiorze truskawek, żeby zarobić na kurs. Była dumna z pierwszej samodzielnie zarobionej kwoty i z tego, że wydała ją tak rozsądnie. Ukończyła kurs, odbyła jazdy, a potem zdała egzaminy. I właściwie na tym jej przygoda z prowadzeniem samochodu się

skończyła. Nie stać jej było na auto, podczas studiów były pilniejsze wydatki i rok za rokiem mijał, a ona ani razu nie siadła za kółkiem.

Radziła sobie doskonale w mieście, gdzie miała do dyspozycji sporo linii autobusowych, czasami wzywała taksówkę, a do wielu miejsc chodziła pieszo. Kielce nie są metropolią, więc odległości naprawdę nie stanowią tu wielkiego problemu. A potem pojawił się Mateo, który bez samochodu nie wyobrażał sobie życia. Jeździł nim wszędzie, nawet do sklepu na sąsiedniej ulicy. I woził także Dianę.

Teraz sytuacja się zmieniła. Projektantka mieszkała kilkanaście kilometrów od miasta, busy kursowały co godzinę, a bywało że i rzadziej. To utrudniało życie, więc Diana była zmuszona stawić czoła sytuacji, odkurzyć swoje uprawnienia, ale przede wszystkim nauczyć się prowadzenia samochodu właściwie od początku.

Na szczęście nie będę musiała zdawać egzaminów — pocieszała się. — Wykupię jazdy z instruktorem i nauczy mnie wszystkiego. A potem pomyślę o aucie.

I to właśnie była jedna ze spraw, które miała załatwić tego popołudnia w Kielcach. Na szczęście formalności w szkole jazdy nie nastęrczyły żadnych problemów.

— Czyli chce pani wykupić jazdy doszkalające? — zapytała dziewczyna obsługująca klientów, gdy Diana wyłuszczyła jej swój problem.

— Jeżeli tak to się fachowo nazywa... Tylko proszę mi przydzielić jakiegoś miłego instruktora, bo ja naprawdę nigdy nie jeździłam i mocno się stresuję — poprosiła.

— U nas wszyscy są mili — odparła dziewczyna. — Niech się pani nie martwi, będzie dobrze.

— Mam nadzieję — mruknęła, choć nie była tego do końca pewna.

Zapłaciła na początek za dziesięć godzin.

Jeśli będzie trzeba, dokupię więcej — stwierdziła. — Ale będę myślała pozytywnie. Skoro tyle osób jeździ, to dlaczego ja mam z tym sobie nie poradzić?

Umówiła termin pierwszego spotkania z instruktorem i pożegnała dziewczynę uśmiechem.

Teraz pozostała jej do załatwienia jeszcze druga sprawa. Ona zresztą także dotyczyła transportu. Otóż Diana miała odebrać rower.

Pomysł kupienia jednoślada przyszedł jej do głowy wcześniej niż myśl o samochodzie. Chciała lepiej poznać okolicę, w której zamieszkała, a rowerem mogłaby wszędzie dojechać szybciej. Poza tym taki ekologiczny środek transportu mogłaby wykorzystać choćby na dojazd nad zalew w Cedzynie czy rekreacyjnie, jako formę aktywności, zwłaszcza że w okolicy były ścieżki rowerowe.

Ponieważ kobieta wiedziała, że jej zapal raczej szybko się kończy, na wszelki wypadek postanowiła nie naruszać oszczędności, i tak już nadwątlonych, na nowy sprzęt, ale rozejrzeć się za używanym. Nie potrzebowała popisywać się przed znajomymi znaną marką i drogim osprzętem, chciała dysponować środkiem transportu, o który nie będzie się musiała martwić. A jeśli miałby jeszcze koszyk na kierownicy, to już będzie wspaniale — uznała.

Przejrzała ogłoszenia na portalu sprzedażowym i szybko znalazła odpowiedni rower. Wyglądał dobrze, był zielony, damski i sprzedawca zapewniał, że mało używany. Cena wydała się Dianie niewygórowana, więc zadzwoniła i umówiła się na sfinalizowanie zakupu.

— Kupiłem ten rower żonie, bo marudziła, że musi schudnąć — wyjaśnił sprzedawca, miły mężczyzna po pięćdziesiątce. — Wyjechała nim może z dziesięć razy i znudziło jej się.

Oby ze mną tak nie było — pomyślała Diana.

— Stał kilka lat w piwnicy, ale obejrzałem go i wszystko wydaje się w porządku — dodał mężczyzna. — Proszę się przejechać kawałek i sprawdzić.

Nieco niepewnie, bo dawno nie jeździła, kobieta objechała blok. Z każdym ruchem pedałów czuła się pewniej, a rower słuchał jej ruchów, nie skrzypiał i wydawało się, że do siebie pasują.

— Biorę — oświadczyła, gdy dojechała z powrotem. — Rozumiem, że nie uda mi się już nic utargować?

— Wie pani, to i tak niska cena. Ale jeśli pani kupuje, to coś jeszcze dołożę. Proszę poczekać. — Zszedł do piwnicy i wrócił z czarnym metalowym koszykiem. — Zanim zdążyłem go dokręcić, żona zrezygnowała z jazdy.

To już na pewno znak, że powinnam go wziąć — uznała Diana. — Skoro ma ten wymarzony koszyk...

— W porządku, kupuję. Tylko gdzie ja zapakuję ten koszyk? — zastanawiała się — Może na razie jakoś przypnę go do bagażnika...

— Żaden problem, ja pani od razu przykręcę, to pięć minut roboty — zaoferował miły mężczyzna.

I w ten oto sposób Diana weszła w posiadanie zielonego roweru z koszykiem. Co prawda nie mogła skorzystać z busa do Świętej Katarzyny, ale miejski autobus dowiózł ją do Ciekot, a stamtąd miała okazję sprawdzić nowy pojazd i pokonała na nim ostatnie kilometry.

Trochę zmęczona, ale zadowolona dotarła do domu. Wysilek sprawił, że nabrała apetytu, poprawił jej się też humor.

To była dobra decyzja — stwierdziła przed zaśnięciem. — Mam nadzieję, że nauka jazdy samochodem też się taką okaże.







**M**artyna czekała na ten telefon, jednak kiedy zobaczyła numer stacji na wyświetlaczu, nie odebrała od razu.

— To on? — domyślił się Tobiasz.

— Chyba tak. W każdym razie numer telewizji.

— Nie odbierzesz?

— Odbiorę. Ale niech nie myślą, że siedzę przy iPhone i czekam, aż zadzwonią.

Wreszcie zdecydowała, że może już przyjąć połączenie.

— Wrońska — powiedziała krótko.

— Cześć, Martyna — usłyszała głos sekretarki dyrektora. — Szef chce cię natychmiast widzieć.

— Powiedz, że przyjadę za godzinę.

— Ale on jest wściekły — ściszyła głos dziewczyna. — Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam. Może lepiej przyjedź od razu...

— Za godzinę — powtórzyła Martyna.

— To co ja mam mu powiedzieć? — Słysząc było, że sekretarka boi się gniewu przełożonego. — Że coś nagrywacie? Masz spotkanie?

— Po prostu powiedz, że będę za godzinę. To wszystko.

— Dobra, coś wymyślę — westchnęła dziewczyna.

Wrońska z dezaprobatą pokręciła głową.

— Słyszałeś? — Spojrzała na Tobiasza.

— Co się dziwisz. Nie każdy jest taki bezkompromisowy jak ty. Zresztą może babka boi się stracić robotę. Powinnaś wiedzieć, co ludzie są zdolni zrobić w trudnej sytuacji — nawiązał do sprawy pracownicy Kownackiego.

— Masz rację — zgodziła się z nim Martyna. — A teraz muszę się zbierać.

Siedziała jeszcze w pizamie, chociaż obudziła się bardzo wcześnie. Właściwie to niewiele spała, bo kłębiące się w głowie myśli nie pozwalały jej zasnąć. Postawiła wszystko na jedną kartę, zrobiła coś, na co nikt przed nią się nie odważył, i wywołała skandal. Ale jak to się wszystko skończy — nie wiedziała. Było wiele możliwych scenariuszy. Miała jednak nadzieję, że sprawy potoczą się po jej myśli. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to molestowana kobieta bez trudu wygra sprawę, a ona, Martyna, zyska taką popularność, że bez wahania przyjmą ją w którejś ogólnopolskiej stacji i wreszcie spełni się jej największe marzenie.

Wiedziała, że po drodze będzie musiała pokonać jeszcze wiele przeciwności i odbyć mnóstwo trudnych rozmów. Pierwszą z nich miała być właśnie ta z dyrektorem.

Przygotowywała się w myślach do tego starcia i rozważała, jak powinna się zachować. W końcu doszła do wniosku, że nie wie, jaką strategię przyjmie Kościński, i postanowiła pójść na żywioł. To zresztą zawsze dobrze jej wychodziło. Musiała liczyć na swój refleks i inteligencję, ale te nigdy dotychczas jej nie zawiodły.

W każdym razie nie zamierzała już być potulną myszką. Z tym skończyłam — stwierdziła stanowczo.

Włożyła swoją ulubioną skózaną kurtkę, oversize'owy T-shirt z nadrukiem kwiatów na przodzie i džinsy, a stopy wsunęła w ciężkie skórzane buty na grubej podeszwie.

— Wyglądasz, jakbyś szła na koncert rockowy, a nie na dywanik do szefa — ocenił Tobiasz.

— Nie idę na żaden dywanik, nie jestem uczennicą — odparła ostro.

— Zawieźć cię?

— Dziękuję, doceniam twoją propozycję, ale pojedę sama. Muszę mieć chwilę na koncentrację i opanowanie emocji.

Zrozumiał. Zawsze rozumiał.

Dojechała na miejsce godzinę po rozmowie z sekretarką dyrektora. Dla zasady odczekała jeszcze pięć minut w samochodzie i poszła na górę. Po drodze mijala kolegów i koleżanki, wymieniała z nimi pozdrowienia. Czowała, że patrzą na nią z ciekawością. Wszyscy już wiedzieli o tym, co zrobiła, i wielu się zastanawiało, czy to jej ostania wizyta w tym budynku.

Przywitała uniesieniem dłoni sekretarkę i poszła wprost do gabinetu Kościńskiego. Ten nie bawił się w żadne grzeczności. Wstał zza biurka i podszedł do dziennikarki szybkim krokiem.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś?! Przecież to skandal!

— Skandalem jest molestowanie pracownicy i wykorzystywanie jej trudnej sytuacji — odparła Wrońska, starając się zachować spokój.

— Powinienem był się domyślić, że coś knujesz! Taka nagle stałaś się grzeczna i skłonna do współpracy... — Popatrzył na Martynę ze złością. — Wpuściłaś mnie w taki kanał! Mnie i całą stację! Przecież Kownacki nam tego nie daruje!

— Myślę, że teraz będzie miał co innego na głowie. — Wrońska się skrzywiła. — Będzie się musiał tłumaczyć prokuratorowi i sędziemu.

— Z czego?! Z twoich oskarżeń?! Przecież wyprze się wszystkiego, i tyle. — Dyrektor usiadł na swoim fotelu i zmierzył Martynę krytycznym spojrzeniem. — Przegięłaś, i to ostro. Dlatego teraz to wszystko odkręcisz.

— Ani mi się śni.

— Owszem, odkręcisz — powtórzył Kościński. — Pójdiesz do Kownackiego i przeprosisz. Będziesz błagać o przebaczenie. Nie wiem, jak to zrobisz, ale masz sprawić, że nie będzie się mścił na... na naszej stacji.

Chciałaś powiedzieć: „na mnie” — domyśliła się Martyna.

— A potem przeprosisz oficjalnie, na antenie. Żeby wszyscy widzowie usłyszeli. Pójdzie na żywo, ale nagramy to i puścimy jeszcze kilka razy. Może to go uspokoi i usatysfakcjonuje? — zastanawiał się głośno dyrektor.

— Niczego takiego nie zrobię. — Wrońska podeszła bliżej i oparła dłonie na biurku dyrektora. — Nie będę przeproszała za to, że powiedziałam prawdę. Niczego nie wymyśliłam. Facet jest obrzydliwy, a to, co zrobił, karalne. I ja to udowodnię — oznajmiła z przekonaniem i dobitnie. — Ta kobieta będzie zeznawała. To jest koniec Kownackiego, postawiłeś na niewłaściwego konia.

Kościński zacisnął szczęki.

— Daj mi znać, gdy dojdiesz do wniosku, że można tu uczciwie i rzetelnie pracować. — Martyna skierowała się do drzwi. — Mam nadzieję, że tym razem staniesz po właściwej stronie.

Nie czekała na jego odpowiedź. Wyszła z budynku z wysoko podniesioną głową.

Przeprosić tego gnojka?! Jeszcze czego! — prychnęła na samą myśl o takiej propozycji. — Zaraz zaczniemy z tą Kulecką oficjalne działania, pojedziemy na policję, potem wydamy oświadczenie i sprawa nabierze tempa.





— Wszystko pięknie, Kociu, ale pieniędzy nam ubywa — powiedziała Lisowska do kocura, który właśnie wskoczył na kuchenny stół i próbował zabrać kawałek szynki z kanapki. — Nie mówię tego dlatego, że żałuję ci wędliny. — Odsunęła talerz poza zasięg kociej łapki. — I tak nie możesz jej jeść, jest niezdrowa dla kota. Ludzkie jedzenie jest dla ludzi, ty masz swoje puszki.

Kocio, obrażony, wymaszerował z kuchni na werandę.

Diana rzeczywiście ostatnio więcej wydawała, niż zarabiała. Co prawda czekała na zapłatę za trzy aranżacje i była w trakcie czterech kolejnych projektów, ale za miesiąc czy dwa sezon na jej pracę się skończy. Warto więc zadbać teraz o jak największe wpływy, by brak pieniędzy nie spędzał jej snu z powiek. Po niezbyt udanej rozmowie z nauczycielką zarzuciła pomysł organizowania warsztatów.

— Jakoś odeszła mi ochota — powiedziała swojemu odbiciu w lustrze podczas mycia zębów. — Dobra, tak naprawdę trochę stchórzyłam, a trochę jestem leniem — mruknęła niewyraźnie.

A do tego powinna też uczciwie dodać, że w ostatnim czasie miała sporo nowych wyzwań i czuła się nimi nieco zmęczona. W obliczu twardych danych widocznych w aplikacji bankowej zrozumiała, że powinna jednak wrócić do tego pomysłu.

Zimą odpoczną — postanowiła. — A jeszcze przez kilka miesięcy dam przecież radę popracować.

Pomyślała o samochodzie i o piecu. Ten drugi co prawda miał poczekać do kolejnego roku, ale i tak trzeba było na niego zarobić.

Z łazienki poszła do kuchni i dopiła poranną herbatę.

Dobra, czas ruszyć ten temat. — Zdecydowanym ruchem odstawiła biały kubek, usiadła przed komputerem i wyszukała lokalne biura organizujące wycieczki dla uczniów. Było ich kilkanaście. Przejrzała oferty, przestudiowała ceny. Po namyśle ustaliła, na ile powinna wycenić udział jednego ucznia w warsztatach. Nie chciała przesadzić, więc oprócz kosztów materiałów nie dodała zbyt wiele.

Jeśli przyjedzie cała klasa, to w sumie i tak mi się opłaci — stwierdziła, kierując się rozsądkiem. — A na początku przede wszystkim muszę ich do siebie przekonać.

Poza tym wiedziała, że pośrednik, czyli biuro podróży, dołoży swoją marżę. Napisała ofertę, przedstawiła w niej siebie, starała się, żeby wszystko brzmiało atrakcyjnie, a jednocześnie realnie.

Powinien na to zerknąć ktoś z doświadczeniem — uznała.

Oczywiście od razu pomyślała o Tamarze. Bez namysłu wybrała jej numer.

— Cześć. Mam nadzieję, że dzwonisz, żeby powiedzieć kiedy nas odwiedzisz? — zapytała Tamara, gdy odebrała telefon.

— Chciałabym, ale nie będę kłamała: mam do ciebie małą prośbę. To dla mnie ważne.

— Mów, czego potrzebujesz.

To właśnie było cudowne w kobietach z Jagodna — gotowość do pomocy i wsparcia bez zadawania zbędnych pytań.

— Marzenka zachęciła mnie do organizowania warsztatów dla dzieci. Wahałam się, ale chyba chciałabym spróbować.

— Dobra myśl — odpowiedziała Tamara.

— Wiem, chociaż trochę się boję. Jednak nie w tym rzecz. Chodzi o to, że chcę wysłać ofertę do biur podróży. Wiesz, żeby dołączyły moje



warsztaty do programu wycieczek.

— Całkiem sensowny pomysł — pochwaliła Tamara. — Na początek mniej opłacalny, bo pewnie wezmą od ciebie prowizję albo każą ci obniżyć cenę, ale gdy już wieść o tobie się rozejdzie, będziesz mogła działać samodzielnie.

— Tak właśnie myślałam. O tych prowizjach i marzach też. Ale na razie nie mam innego wyjścia.

— Spokojnie, wszystko potrzebuje czasu, żeby się rozwinąć. Twoje roślinki też nie rosną w jeden dzień, prawda?

Diana się uśmiechnęła.

— Będę cierpliwa. Muszę się wszystkiego nauczyć. I dlatego właśnie dzwonię do ciebie. Ty piszesz swoje oferty, dostajesz też propozycje od innych, tak?

— Owszem, ostatnio całkiem sporo. Stacja Jagodno staje się popularna. Nie raz były już u nas różne warsztaty, choćby tkackie — przyznała Tamara.

— Widzisz, o tym właśnie mówię. Znasz się na tym. Mogłabyś przeczytać to, co napisałam, i ewentualnie coś poprawić albo podpowiedzieć?

— Pewnie, nie ma problemu. Prześlij mi to mailem, zaraz wyślę ci adres. Wieczorem przeczytam i ci odpiszę — obiecała Tamara.

Diana była trochę rozczarowana, że musi czekać do wieczora, ale rozumiała, że kobieta ma swoje sprawy i dużo pracy.

— Ale od przyjazdu do nas i tak się nie wymigasz — powiedziała Tamara na zakończenie. — Wszyscy tu na ciebie czekają.

Ledwie Diana się rozłączyła, telefon zadzwonił ponownie. Sądziła, że to Tamara chce jej jeszcze coś powiedzieć.

— Hej, co tam? — zapytała bez zastanowienia.

— To ja właśnie chciałabym wiedzieć, co się dzieje.

Głos koleżanki z Kielc zaskoczył Dianę.

— Ach, to ty — powiedziała. — Przepraszam, myślałam, że ponownie znajoma, z którą przed chwilą rozmawiałam. Pytasz, co się dzieje? Nic,

żyję tu sobie spokojnie.

Nie miała zamiaru informować jej o szczegółach. Wiedziała, że koleżanka ma kontakt z Mateo i nawet przyszło jej do głowy, że może on skłonił ją do rozmowy z Dianą i wypytywania.

— Ale mnie chodzi o to, czy naprawdę u ciebie tak źle. Bo jeżeli potrzebujesz kasy, to ja zawsze mogę ci pożyczyć...

— Słucham?! — Diana była mocno zaskoczona. — Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Całkiem dobrze sobie radzę finansowo.

— Serio? A to ciekawe. Bo wiesz, tylko się nie denerwuj...

Już się zdenerwowałam — pomyślała Diana.

— Widzisz, Mateo spotyka się teraz z taką dziewczyną, którą znam — kontynuowała koleżanka. — I wpadłam na nią wczoraj w galerii. Powiedziała, że podobno po rozstaniu z nim nie masz z czego żyć, dlatego sprzedałaś mieszkanie w Kielcach i kupiłaś tę starą chałupę na wsi. I jeszcze...

— Nie interesuje mnie, co mówi Mateo ani żadna dziewczyna, z którą się spotyka — przerwała jej Diana. — I fajnie byłoby, gdybyś nie powtarzała głupich plotek. Cześć!

Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje. Serce jej łomotało, dłonie się spociły.

Co za gnojek! Rozповіда takie rzeczy! Że niby co? Utrzymał mnie czy jak? — W bezsilnej złości rzuciła trzymanym w rękę telefonem. Na szczęście trafił na łóżko.

Nie wiedziała, co ma zrobić. Miotła się po pokoju przez kilkanaście minut, a potem się rozplakała: nad sobą, nad bezczelnością Mateo, nad głupotą koleżanki, nad wszystkim...

A kiedy wreszcie łzy przestały płynąć, poczuła, że musi coś zrobić. Zająć się czymś, żeby zapomnieć. Jakiś impuls kazał jej iść do sadu, gdzie zebrała cały koszyk pachnących, słodkich gruszek.

Ugotuję kompot — pomyślała. — Dużo kompotu. A przy najbliższej okazji kupię białą szaławę i ten czarny turmalin. Nie wiem, czy to coś da,

ale zrobię wszystko, byle ten człowiek na zawsze zniknął z mojego życia.  
Niech to się wreszcie skończy!





**P**o południu nie mogła się skupić na pracy. Wciąż przypominały jej się słowa koleżanki o tym, że musiała sprzedać dom, bo nie miała na swoje utrzymanie.

To wszystko dlatego, że przez kilka lat milczałam i nikomu nie mówiłam, jak naprawdę wygląda sytuacja — doszła do wniosku, analizując całą sprawę. — Chciałam być lojalna wobec Mateo, w końcu był moim partnerem. Mieszkał i jadł za darmo, bywało, że dawałam mu nawet na paliwo. A on zawsze robił wrażenie bogacza bez żadnych problemów. Tak, lansować to on się umiał doskonale! Aktorem powinien zostać, a nie malarzem!

Pomagała mu podtrzymać tę iluzję i teraz Mateo bez skrupułów to wykorzystał. A jego nowa partnerka najwyraźniej wierzyła w to, co od niego słyszała.

Nic dziwnego, przecież sama długo mu ufałam — westchnęła. — I jeszcze żałowałam, że taki niedoceniany i ma pecha, bo ciągle trafia na nieodpowiednie kobiety. Okazuje się, że powiedzenie, które kiedyś przeczytałam, jest do bólu prawdziwe: to, co partner mówi o byłych, będzie kiedyś mówił o tobie. Tak właśnie jest!

W tym stanie psychicznym naprawdę nie mogła pracować. Czuła, że nie da rady się zmusić, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Nadrobię, kiedy się uspokoję — zdecydowała.

Siedzenie w domu wydawało jej się bez sensu, tylko chodziła z kąta w kąt i przekładała rzeczy z miejsca na miejsce. Zdecydowała, że pojeździ na rowerze. Trochę ruchu i przewietrzenie głowy dobrze jej zrobią. Przebrała się w lniane spodnie i płócienną koszulę, wyprowadziła rower z werandy i ruszyła w kierunku klasztoru. Miała zamiar pojechać dalej drogą i dojechać do punktu widokowego na Dolinę Wilkowską. Jednak samochody, które ją mijaly, jechały tak blisko, że w pewnej chwili poczuła strach. Pęd powietrza sprawiał, że traciła równowagę.

A jeśli przejedzie ciężarówka i zmiecie mnie z drogi? — pomyślała. — Nie mam nawet kasku...

Zawróciła więc z poczuciem, że nic tego dnia nie jest takie, jak być powinno.

Kiedy mijala parking przy klasztorze, zobaczyła siedzącego na stałym miejscu pana Stacha. Nie było wielu turystów, w ostatnie dni wakacji większość z nich kupowała już szkolne wyprawki, podręczniki i przybory. Diana zwolniła i skręciła na parking. Podjechała do mężczyzny, zatrzymując się przy drewnianym ogrodzeniu.

— Dzień dobry!

— Nie najgorszy, pani Diano — odpowiedział, nie wyjmując fajki z ust.

— Właściwie to chyba nie podzielam tej opinii — powiedziała szczerze.

— A co? Jakieś kłopoty?

— Można tak powiedzieć. — Oparła rower o żerdzie i podeszła bliżej. Kucnęła obok Stacha i tak jak on popatrzyła w dal, na pola. — Przeszłość ciągle mi o sobie przypomina. — Słowa same wydobyły się z gardła.

— Bywa — skwitował starszy mężczyzna. — Każdemu o sobie przypomina. Częściej, rzadziej, ale zawsze. I trudno z tym czasem. O jednym trzeba wtedy pamiętać.

— O czym, panie Stachu?

— O tym właśnie, że to już przeszłość. To jest klucz. Ona minęła, a więc już nie istnieje. A skoro tak, to nic nie może nam zrobić, do niczego zmusić. Przejmowanie się nią też nie ma sensu, bo nie uda się jej zmienić. A skoro

nie mamy na coś wpływu i na dodatek to już minęło, szkoda na to czasu — podsumował.

Kobieta zastanowiła się nad jego słowami.

— Właściwie ma pan rację — odparła w końcu. — Ale co zrobić, jeśli ta przeszłość ma wpływ na naszą teraźniejszość?

— Nie ma. Powiedziałem przecież, że mieć nie może, bo minęła. To tylko my, myśląc o niej, zatruwamy sobie dzisiaj. A wtedy czynimy ją teraźniejszością. I to już rzeczywiście nasza wina, przecież swoją teraźniejszość budujemy sami.

— Prawda w tym jest — zgodziła się Diana. — Chociaż trudno to zrealizować w praktyce.

— Ale próbować trzeba.

— Dobrze, a co, jeśli popełnialiśmy kiedyś błędy i one się teraz mszczą?

— Z błędów trzeba wyciągnąć wnioski. Żeby ich więcej nie popełniać. I tylko o tych wnioskach dziś pamiętać. Resztę zapomnieć, nie zajmować się nią — poradził.

— Oj, żeby to było tak łatwo zapomnieć...

— Najlepiej się czymś zająć.

— Kiedy nie mogę się na niczym innym skupić, panie Stachu — pożałowała się kobieta.

— Takie zajęcie niech pani wybierze, które pani najbardziej lubi. Wtedy myśli same się uspokoją. — Popatrzył na Dianę spod oka. — Mówiła pani, że garncarstwa próbuje, tak?

Pokiwała głową.

— No to niech pani coś na kole utoczy i tu do mnie przyniesie. Może jakieś wazoniki albo miseczki... — Podrapał się po brodzie. — Najlepiej, jakby takie bardziej ludowe były, ale i kolorowe też mogą być. Co tam pani serce podpowie.

— Tu do pana przynieść? — zdziwiła się Diana. — A po co?

— Ja je sprzedać spróbuję. Ale nie za darmo. — Mrugnął porozumiewawczo. — Swoją część wezmę, żeby pani nie miała wobec mnie długu wdzięczności.

— Bardzo to miłe, co pan proponuje, ale moje gliniane wyroby naprawdę nie są wielkimi dziełami. Nie sądzę, żeby ktoś chciał je kupić.

— To się zobaczy. Postoją na stoliku, jeść przecież nie wołają.

Diana była zaskoczona propozycją, ale nieoczekiwanie poczuła przypływ energii.

— Ludowe, mówi pan? — zastanowiła się. — To albo takie nieszkliwione, albo brązowe czy miodowe. Tak? O takich pan myśli?

— To pani o nich myśli. — Pyknął wargami i wypuścił kłęb białego dymu. — I to jest właśnie terażniejszość.

Zrozumiała i uśmiechnęła się.

— W takim razie wracam do domu i siądę przy kole. Może niedługo tu do pana wrócę.

— A to już jest przyszłość — odparł. — Jej z kolei nigdy nie możemy być pewni, dopóki nie stanie się terażniejszością.

— Jasne! — roześmiała się Diana. — Bardzo panu dziękuję!

— Na zdrowie! — Stach uniósł rękę w pożegnalnym geście.







**P**edałując w stronę domu, była pewna, że to koniec niespodzianek, które los przeznaczył dla niej tego dnia. Miała nadzieję, że zrobi tak, jak poradził pan Stach — usiądzie przy kole i utoczy kilka małych wazonów. Właściwie już widziała je w głowie, wystarczyło tylko przenieść je stamtąd do rzeczywistości.

Wszystko mi jedno, czy się sprzedadzą. — Tego wcale się nie bała. — Wymyśliłam je, więc zrobię. Zaistnieją, jak by to powiedział pan Stach, w terażniejszości. A co będzie, to się okaże, gdy przyszłość stanie się terażniejszością.

Uzbrojona w tę filozofię poczuła się pewniejsza i spokojniejsza. Słowa rzeźbiarza trafiły do niej, były mądre i miały głęboki sens. Najwyraźniej mężczyzna sprawdził tę teorię na sobie.

Ciekawe, jaka przeszłość mu o sobie przypomina — zastanawiała się, opierając rower o ścianę domu. — Chyba musi być szczególnie uparta, skoro on tyle rzeźbi.

Weszła do domu, nalała sobie kompotu do wysokiej szklanki i usiadła przy stole, żeby trochę odpocząć. Napój zdążył już ostygnąć. Smakował wybornie, był naturalnie słodki i pachniał latem, słońcem i beztróską. Diana z przyjemnością wypila wszystko duszkiem i pomyślała, że tych zalet swojego nowego miejsca nie da się porównać z niczym. Cisza, bliskość

przyrody, owoce, których nie kupi się w żadnym sklepie — naturalne, bez nawozów i oprysków, niczym za dawnych lat.

Już tylko dla tego warto było opuścić miasto — stwierdziła z przekonaniem. — Nie mówiąc o innych przyczynach.

Poczuła, że za chwilę znowu powróci myślami do przeszłości, więc szybko wzięła się w garść. Odstawiła pustą szklankę do zlewu i poszła przebrać się w robocze ubranie.

Gdy wróciła, usłyszała z werandy miauczenie Kocia. Wyszła do niego i za osiatkowanym oknem ujrzała Julkę, która wciskała palec przez metalowe oczko ogrodzenia, żeby pogłaskać kota.

— Jaki jesteś śliczny — mówiła cicho dziewczynka do zwierzęcia. — Masz takie błyszczące futerko. Na pewno lubisz, kiedy ktoś cię głaszcze, prawda?

Kocio wyraźnie był w towarzyskim nastroju, a może miły głos dziecka tak na niego działał — ocierał się o siatkę i miauczał zachęcająco.

— Dzień dobry, Julko. — Diana ujawniła swoją obecność.

Dziewczynka podniosła na nią wzrok.

— Dzień dobry pani. Nie gniewa się pani, że go zaczepiam? — Zerknęła na Kocia.

— Nie gniewam się. A on wygląda na zadowolonego.

— Bardzo lubię kotki — wyznała dziewczynka. — Ale mama nie. I powiedziała, że nie będziemy nigdy mieć kota.

— Cóż, nie każdy lubi zwierzęta. — Diana nie bardzo wiedziała, co innego powiedzieć, żeby nie przedstawić matki małej w złym świetle. — Może kiedyś mama zmieni zdanie.

— Nie zmieni. — Julka pokręciła głową. — Ale jak będę dorosła, to sama sobie kupię kotka.

— Na razie możesz wejść do środka i pobawić się z Kociem — zaproponowała projektantka.

Mała rozejrzała się niepewnie dookoła.

— Zapraszam — zachęciła gospodyni. — Będę ci wdzięczna, jeśli trochę się zajmiesz Kociem. Ja ostatnio nie mam czasu, a on zaczyna już tyć od

tego ciągłego leniuchowania.

— A nie może go pani wypuścić na podwórko?

— Nie. To domowy kot. Mógłby zginąć i nie poradziłby sobie w nieznanym miejscu. Poza tym koty nie powinny chodzić bez opieki. Grozi im wiele niebezpieczeństw, a one też robią krzywdę innym zwierzętom i ptakom — wyjaśniała małej sąsiadce.

Julka słuchała uważnie.

— A jeśli będę go pilnowała? — zaproponowała.

— Nie, Julka, nic z tego. — Diana była stanowcza. — Możesz się z nim bawić, ale tylko na werandzie.

Dziewczynka przygryzła wargę, jeszcze raz się rozejrzała, a potem znikła na chwilę i pojawiła się w drzwiach.

— Widzę, że się zdecydowałaś. — Kobieta uśmiechnęła się serdecznie. — Cieszę się. A Kocio jeszcze bardziej. Tam jest wędka z piórkiem. — Wskazała na półkę pod ścianą. — Znajdziesz tam też piłeczkę i pluszową mysz. Możesz mu je rzucać. Jeśli będzie miał ochotę, to za nimi pobiegnie. Ale najbardziej lubi wędkę.

Mała z entuzjazmem pokiwała głową i podeszła do półki. Kocio szedł za nią krok w krok i ocierał się o jej nogi.

— Polubił cię — zauważyła Diana.

— Ja też go lubię — zapewniła dziewczynka.

Diana przez chwilę obserwowała, jak kot poluje na piórko, a Julka śmieje się radośnie w czasie zabawy.

— Wiesz, mam dzisiaj kompot z gruszek — przypomniała sobie. — Chyba wyczułam, że mnie odwiedzisz, i rano ugotowałam. Z tych gruszek, które mi polecałaś. Nalać ci?

— Poproszę.

Nie zdążyła jednak poczęstować Julki napojem. Chwilę później drzwi werandy otworzyły się gwałtownie i do środka weszła zagniewana kobieta.

— Ile razy mam ci powtarzać to samo?! — krzyknęła do dziewczynki, nawet nie witając się z gospodynią. — Nie wolno ci tu przychodzić!

Julka od razu opuściła głowę.

— Natychmiast zostaw to, co masz w ręku, i proszę ze mną do domu!

— Ale tu już nie ma dziadka — powiedziała nieśmiało dziewczynka.

— To nic nie zmienia. Zabraniam ci wchodzić do tego domu! — Rozsierdzona matka podeszła do małej i chwyciła ją za rękę.

Julka posłała Dianie smutne spojrzenie.

— Dzień dobry. — Lisowska postanowiła spróbować pomóc. — Domyślam się, że pani jest mamą Julii.

— Tak, jestem — potwierdziła bez uśmiechu kobieta.

— Nie wiem, dlaczego nie pozwala pani jej tutaj przychodzić, ale...

— Mam swoje powody i pani nic do tego — przerwała jej kobieta. — To moje dziecko, więc chyba mam prawo decydować, gdzie może chodzić, a gdzie nie?

— Oczywiście, tylko pomyślałam, że może gdybyśmy się poznały, porozmawiały, to wiedziałyby pani, że córka jest tu bezpieczna. To grzeczna dziewczynka i nie będzie dla mnie problemu, jeśli przyjdzie od czasu do czasu, żeby pobawić się z kotem.

— Nie będzie problemu — zgodziła się kobieta. — Bo Julka więcej nie przyjdzie. A na rozmowy to ja nie mam ani czasu, ani ochoty. Julka, idziemy! — Pociągnęła córkę w stronę drzwi.

Mała podreptała za matką, a Diana zdążyła zauważyć, że ma łzy w oczach. Nie mogła jednak nic więcej zrobić, żeby pomóc dziewczynce.

— Przykro mi, Kociu. — Podrapała kota za uchem. — Chyba twoja nowa przyjaciółka już nas nie odwiedzi.

O co chodzi z tym domem? — zadawała sobie pytania. — To już druga osoba, która nie chce tu przychodzić. Dlaczego?





**W**rońska nerwowo przechadzała się wzdłuż budynku, nie spuszczać wzroku z drzwi wejściowych. Co chwila patrzyła na zegarek, ale wskazówki przesuwały się powoli, za nic mając jej niecierpliwość.

Maszerując w tę i z powrotem, raz jeszcze analizowała z Tobiaszem poranną rozmowę.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś tam szła — powątpiewał, kiedy powiedziała mu o swoim zamiarze.

— A jakie mam wyjście? — Rozłożyła ręce. — Dzwonię co kilkanaście minut i nie odbiera.

— To rzeczywiście dziwne.

Martyna przyknęła pokrywę laptopa i odłożyła komputer na stolik.

— Wyobraź sobie, że na żadnym portalu informacyjnym nie ma ani słowa o moim programie. — Nie kryła rozczarowania. — W ogóle nikt nie podjął tematu.

— Co się dziwisz. — Tobiasz nie był zaskoczony sytuacją. — Wszędzie siedzą tacy Kościńscy, którzy w pierwszej kolejności myślą o sobie. Każda informacja ma swoje skutki, trzeba dobrze przeanalizować konsekwencje.

— Bez przesady. — Dziennikarka wyduła lekceważąco wargi. — Miałam nadzieję, że przynajmniej te portale, które są w opozycji do partii Kownackiego, zajmą się tematem.

— Moim zdaniem czekają — ocenił mężczyzna. — Na razie nie przedstawiłaś żadnych dowodów. Podanie niesprawdzonej informacji to ryzyko procesu, więc lepiej się wstrzymać.

— Naprawdę tak uważasz? — oburzyła się Martyna.

— Po prostu próbuję ci wyjaśnić, dlaczego spotykasz się z takimi reakcjami. Zresztą ty powinnaś o tym doskonale wiedzieć, siedzisz w branży od lat.

— Przecież mam dowody — zaprotestowała. — Wszyscy w tym mieście mnie znają, powinni wiedzieć, że jeśli coś mówię, to na pewno to sprawdziłam.

— Skoro masz dowody, to je ujawnij. Jestem przekonany, że wtedy wielu z radością podchwyci twoje informacje. — Tobiasz zmierzył Martynie włosy. — No, nie martw się. Wiem, że liczyłaś na inny przebieg wydarzeń, ale musisz poczekać. Jeżeli tylko ta kobieta się ujawni, na pewno sprawy potoczą się błyskawicznie. O ile ona, oczywiście, mówi prawdę... — dodał po chwili.

— Przecież już ci mówiłam, że tak. — Słowa Tobiasza dotknęły Wrońską do żywego. — Przeprowadziłam tyle rozmów, że naprawdę potrafię rozpoznać, gdy ktoś kłamie. Widzę, że jednak we mnie wątpisz...

— W ciebie nie — sprostował. — Raczej zaczynam nie wierzyć twojemu źródłu.

— Ja jestem go pewna — upierała się Martyna.

— W takim razie dlaczego nie możesz się z nią skontaktować?

— Otóż to! Zupełnie nie rozumiem, co mogło się stać.

— Może nie chce z tobą rozmawiać, gdy jest w pracy?

Dziennikarka zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

— Trochę się o nią martwię — wyznała. — Może coś się wydarzyło? Muszę ją znaleźć i porozmawiać. Dlatego właśnie chcę jechać pod biuro poselskie.

— Uważasz, że nadal tam pracuje? Ja jestem przekonany, że Kownacki od razu ją wywalił.



Martyna wzruszyła ramionami.

— Muszę spróbować. Nie znam jej adresu, tylko tam mogę ją namierzyć.

Właściwie zgadzała się z Tobiaszem, ale na razie nie miała innego pomysłu na odnalezienie Kuleckiej, a czuła potrzebę działania. Siedzenie w domu i bierne czekanie nie leżało w jej naturze.

Jednak teraz, gdy od pół godziny stała przed biurowcem, zaczynała wątpić w sens tego czekania. Widziała wychodzącą współpracowniczkę Kuleckiej, a jej samej nie było.

Chyba nie ma po co dalej tu stać — pomyślała. — Tylko co teraz? Jak ją namierzyć?

I w tym samym momencie odetchnęła z ulgą, bo szklane drzwi się otworzyły i z budynku wyszła jej informatorka. Martyna nie podeszła do niej od razu. Ruszyła za kobietą i dopiero, gdy oddaliły się od biurowca i minęły budynek sądu, przyspieszyła.

— Dzień dobry — przywitała Kulecką, gdy ją dogoniła.

Ta rzuciła w jej stronę szybkie spojrzenie i nie odpowiedziała.

— Pani Agnieszko, na pewno pani wie, że zrobiłam tak, jak się umawialiśmy. Sprawa nabrała rozpędu, teraz kolej na panią.

Kobieta nie zwolniła.

— Pani Agnieszko, co się stało? O co chodzi? On pani grozi? Straszy panią? — dopytywała Wrońska. — Proszę się nie martwić, nic pani nie zrobi. Poradzimy sobie z tym, obiecuję.

Wtedy Kulecka zatrzymała się gwałtownie.

— Nie chcę więcej z panią rozmawiać — oświadczyła.

— Jak to? Przecież wszystko ustaliśmy. Była pani zdecydowana. Czy naprawdę chce pani nadal pozwalać temu gnojowi na to, co robi?

Kobieta nerwowo przełknęła ślinę.

— Rozumiem, że pani może się obawiać zeznań i sądu, ale przejdziemy przez to razem. Będę panią wspierać, mnóstwo ludzi na pewno także — tłumaczyła Martyna. — Kownacki poniesie konsekwencje.

— Nie będę zeznawała — oznajmiła Kulecka.

— Jak to?

— Trochę przesadziłam podczas naszej rozmowy. Wcale nie jest tak źle — mówiła szybko, jakby powtarzając wyuczoną formułkę. — Byłam zdenerwowana na szefa i chciałam się zemścić. Przykro mi, że to zaszło za daleko.

— Pani Agnieszko! — Martyna była zdruzgotana. — Co pani wygaduje?! Przecież ja wiem, że mówiła pani prawdę! Dlaczego chce się pani teraz wycofać?

— Jeśli ma pani przez to kłopoty, to przepraszam — odparła kobieta, nie patrząc dziennikarce w oczy. — Wie pani, czasami człowieka poniesie... Już wyjaśniłam wszystko z panem Kownackim i on nie ma do mnie żalu. To dobry człowiek.

Wrońska nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

— Co on pani obiecał? Ile zapłacił? — zapytała wprost.

Kulecka nie odpowiedziała. Zagryzła tylko wargę i patrzyła przed siebie.

— Niech się pani jeszcze zastanowi — poprosiła Martyna. — Niech pani znajdzie w sobie odwagę, żeby zawalczyć o siebie. I o sprawiedliwość. Niech pani to zrobi jak najszybciej. Czekałam na pani telefon.

— Proszę mnie więcej nie nachodzić — odpowiedziała cicho kobieta. — Zresztą za dwa dni wyjeżdżam z córką na urlop do Hiszpanii, więc mnie nie będzie. Do widzenia!

Wrońska została sama na środku chodnika. Próbowwała zebrać myśli, ale nie potrafiła na razie przyjąć do wiadomości tego, co powiedziała Kulecka. A przede wszystkim tego, jakie to będzie miało konsekwencje dla niej samej.





**D**iana była podekscytowana, ale też nieco przerażona. Bardzo chciała jeździć, mieć możliwość swobodnego przemieszczania się. Prowadzenie auta stało się dla niej kolejnym krokiem do całkowitej wolności i niezależności.

Już kilka dni przed pierwszą jazdą wyobrażała sobie miejsca, do których będzie mogła pojechać, nie musząc prosić nikogo o podwiezienie. Nawet w najbliższej okolicy Kielc było mnóstwo ciekawych zabytków, piękne lasy, jeziora ukryte wśród drzew. Jednak żeby dotrzeć w ich pobliże, niezbędny był samochód. Nie wszędzie docierały autobusy, a jeśli nawet, to kursowały raz czy dwa dziennie.

Mateo nie był zwolennikiem takich wycieczek. Nudziły go spacery po lesie, a jeżeli już udało się go na nie namówić, to szedł ze znudzoną miną, psując Dianie całą przyjemność i wzbudzając w niej wyrzuty, że go do tego zmusiła. Często Mateo podczas weekendowych spotkań ze znajomymi lubił trochę wypić i następnego dnia nie mógł usiąść za kierownicą. Wtedy sobota czy niedziela upływały im na oglądaniu telewizji lub spacerze po miejskich skwerach. Nawet gdy Diana była rozczarowana i smutna, ukrywała te emocje, żeby nie urazić mężczyzny.

Musi mi się udać — tłumaczyła sobie teraz po raz kolejny. — Przecież zdałam egzamin. Teraz tylko wszystko sobie przypomnę.

Mimo to obawiała się pierwszego spotkania z instruktorem. Szybko jednak się okazało, że zupełnie niepotrzebnie.

— Witam!

Wysoki blondyn w dżinsach i beżowej koszuli podszedł do niej na placu, gdzie zaparkowano samochody należące do szkoły jazdy. Wyglądał na trochę starszego od niej, ale modny strój i uroczy uśmiech sprawiały, że z daleka można było wziąć go za młodego chłopaka.

— Czy to pani jest kursantką, która chce się doszkolić?

— Tak, to ja — potwierdziła. — Mam na imię Diana.

— O, to jak ta bogini — zauważył.

Ciekawe, że ktoś jeszcze ma takie skojarzenie — pomyślała. — Teraz większość młodych ludzi nie ma pojęcia o starożytnych bogach. — Ale on jest jeszcze z tych roczników, które wyniosły ze szkoły coś więcej niż streszczenia lektur i umiejętność korzystania z Wikipedii.

— Ja jestem Rafał — przedstawił się. — Koleżanka powiedziała, że chciała pani kogoś sympatycznego, więc padło na mnie. — Uśmiechnął się.

Dowcipny — ucieszyła się Diana. — To dobrze, może będzie też wyrozumiały.

— W jakim zakresie chce się pani doszkolić? Bo o tej porze roku to raczej nad poślizgami nie popracujemy...

— Chciałabym nauczyć się zapalania silnika, ruszania, zmiany biegów, wyprzedzania i hamowania — wyliczyła, starając się utrzymać powagę. — A jeżeli jakimś cudem to opanuję, to może jeszcze uda się z cofaniem i parkowaniem. Chociaż nie jestem przekonana, czy to ogarnę.

Spojrzał z niedowierzaniem.

— Mówi pani serio? Koleżanka powiedziała, że ma pani prawo jazdy.

— Owszem, ale zrobione wiele lat temu. I tak naprawdę nigdy nie prowadziłam. Postanowiłam to zmienić, o ile to możliwe.

— A dlaczego miałoby być niemożliwe? W końcu od tego jesteśmy. Niech się pani nie stresuje, damy radę. — Wskazał ręką na najbliższy samochód. — Zapraszam.

Diana podeszła i otworzyła drzwi auta.

— Hej! Nie z tej strony! — roześmiał się instruktor.

Rzeczywiście, odruchowo chciała zająć miejsce pasażera. Zachichotała ze swojej pomyłki.

— Jeśli chce pani tam jeździć, to mogę podać numer do radio taxi — zażartował mężczyzna.

— Kto wie, czy tak się nie skończy — odpowiedziała w podobnym tonie.

Pierwsze instrukcje trochę ją oszołomiły. Niby wszystko pamiętała, ale wciąż nie była pewna, czy potrafi odróżnić rodzaje świateł i czy nie pomyli gazu z hamulcem.

— Spokojnie, mówię to wszystko, bo tak trzeba. Wiem, że dużo tego i może brzmieć trochę przerażająco, ale zaraz przejdziemy do praktyki i wtedy wszystko się pani powoli ułoży w głowie — uspokoił ją Rafał.

Postanowiła mu zaufać.

— No to proszę sobie ustawić siedzenie i lusterka — polecił instruktor.

Kiedy to zrobiła, mężczyzna powoli mówił co dalej. Ku jej zaskoczeniu całkiem sprawnie udało się uruchomić silnik i powolutku ruszyć do przodu.

— Jadę! — ucieszyła się i z tej radości puściła pedał gazu.

Samochód zgasł.

— To i tak lepiej, niż gdyby pani przycisnęła do dechy — pocieszył ją Rafał. — Bywały takie przypadki. Na szczęście mam tutaj własny spowalniacz. — Wskazał na swój hamulec. — Dobra, zaczynamy jeszcze raz.

Diana powtórzyła w skupieniu wszystkie czynności i objechała cały plac manewrowy. Zahamowała w miejscu, z którego ruszyła.

— No i proszę, potrafi pani jeździć — pochwalił instruktor.

— Owszem, ale jakoś tak...

— Oj, niech pani nie będzie taka krytyczna. Z rzeczy, które pani wymieniła, opanowaliśmy już zapalanie silnika, ruszanie, zmianę biegu na drugi i hamowanie — wyliczył. — Zostały nam jeszcze trzy biegi, wyprzedzanie... i co tam jeszcze?

— Cofanie — dopowiedziała ze śmiechem.

— Czyli zrobiliśmy kawał dobrej roboty w kwadrans. Nie ma na co narzekać, prawda? Sama pani widzi, że dobry instruktor to podstawa — stwierdził z szerokim uśmiechem Rafał.

Nie mogła się z nim nie zgodzić. Strach i obawy znikły, a podejście mężczyzny sprawiło, że nabrała większej wiary w to, że jej nauka jazdy po latach zakończy się sukcesem.

Objechała plac jeszcze kilkakrotnie, przejechała między rzędem plastikowych pachołków i chociaż nie było to zbyt wiele, to poczuła zmęczenie. Gdy powiedziała o tym instruktorowi, oznajmił:

— To normalne, skoro jest pani cały czas maksymalnie skupiona i spięta. Z czasem poczuje się pani pewniej za kierownicą i będzie dużo przyjemniej — zapewnił.

— Mam nadzieję.

Po zakończeniu manewrów ustalili kolejny termin spotkania.

— Jedzie pani do centrum? Ja muszę podjechać do urzędu miasta, więc jeśli pani też w tamtym kierunku, to chętnie podwiozę — zaproponował Rafał, gdy Diana odpięła pas.

— Naprawdę? To chętnie skorzystam — ucieszyła się. — Muszę odwiedzić pewien sklep na ulicy Świętego Leonarda.

— Ciuchy czy buty? — zgadywał instruktor.

— Biała szalwia.

— A co to takiego? — zdziwił się mężczyzna.

— Roślina. Będę nią okadzała dom — odpowiedziała projektantka.

— O, zaintrygowała mnie pani. To jakaś magia? Może jest pani czarownicą? — Uśmiechnął się.

— Ja nie, ale znam jedną.

— Prawdziwą?

— Czy ja wiem... — zastanowiła się Diana. — Ludzie tak o niej mówią. Ja jeszcze do końca nie miałam okazji się przekonać, bo mieszkam tam dopiero kilka miesięcy. Ale jest dość wiarygodna, skoro i mnie przekonała do tej białej szalwii.

— W takim razie nie będę z panią zadzierał. Tak na wszelki wypadek. Jeszcze ta znajoma rzuci na mnie jakiś urok — zażartował Rafał.

— Jeżeli nauczy mnie pan jeździć, to może się pan czuć bezpieczny — obiecała ze śmiechem.

Naprawdę fajny instruktor mi się trafił — pomyślała, gdy zamienili się miejscami. — No i ja też chyba nie jestem zupełnym antytalentem. W końcu kawałek dziś przejechałam.







**I**nstruktor rzeczywiście podwiózł ją pod sam sklep. W drodze rozmawiali, opowiedziała mu o swoim nowym domu.

— Jeszcze niedawno sądziłam, że nigdy nie wyprowadzę się z miasta. Tu mieszka się wygodniej, wszędzie blisko, jest dostęp do kina, teatru czy restauracji.

— W takim razie skąd taka decyzja? O ile oczywiście mogę zapytać.

— Można powiedzieć, że potrzebowałam odcięcia się od przeszłości — odparła Diana, nie wdając się w szczegóły. — Ale jak się tak głębiej zastanowić, to chyba była gdzieś we mnie tęsknota za takim miejscem.

— Pewnie tak. W końcu mogła pani wybrać mieszkanie w innej dzielnicy Kielc. Albo w innym mieście.

— Cóż, ten domek mnie urzekł. Nie jest duży, ale ma swój urok. Mam tylko nadzieję, że poradzę sobie z wiejskim życiem.

— Skoro minęło kilka miesięcy, a pani dalej jest wśród żywych, to chyba jakoś daje pani radę — zazartował Rafał.

— Ma pan rację — roześmiała się. — Chociaż trochę obawiam się zimy. To będzie prawdziwy sprawdzian.

— A gdzie pani ma ten dom?

— W Świętej Katarzynie.

— O, to zazdroszczyć! Cudowna okolica. Zawsze bardzo mi się tam podobało.

— Rzeczywiście, jest pięknie. Może trochę gwarno, gdy turyści przyjeżdżają, ale ja na szczęście mieszkam nieco na uboczu, więc właściwie mi to nie dokucza.

— No tak, teraz rozumiem, skąd konieczność nauki jazdy. — Mężczyzna pokiwał głową. — Rzeczywiście, warto być mobilnym, gdy mieszka się poza miastem.

Dojechali na ulicę Świętego Leonarda i Diana pożegnała się z miłym i pomocnym instruktorem:

— Bardzo dziękuję za podwiezienie i do zobaczenia!

— Do widzenia!

W sklepie zielarskim kupiła białą szałwią, niestety, czarnego turmalinu nie mieli.

Będę musiała zamówić przez internet — pomyślała. — Chociaż naprawdę nie wiem, czy to nie wymysły.

Wciąż miała mieszane uczucia co do Grety. Niby wyglądała na rozsądną osobę, może nieco małomówną, ale zupełnie normalną, lecz chwilami zachowywała się dziwacznie. Trudno było stwierdzić, czy tworzy taki wizerunek, czy to jej prawdziwy charakter.

No i ludzie za nią nie przepadają. — O tym nie można było zapominać, bo nawet jeśli byli mało tolerancyjni, to mogło się przecież kryć w tej ocenie ziarnko prawdy.

Gdy sprzedawczyni podała Dianie zwitek suchych roślin owinięty sznurkiem i zapakowany w foliowy woreczek, ta niepewnie zapytała:

— I co ja mam z tym zrobić?

— To gotowe kadzidełko — odparła kobieta. — Wystarczy podpalić na końcu i zacznie się dymić. Niech pani obejdzie z tym mieszkanie i macha lekko, żeby dym dotarł do każdego kąta i oczyścił go ze złej energii. To wszystko.

— Dziękuję.

Diana była sceptycznie nastawiona, ale pomyślała, że okadzanie białą szałwią to nie wymysł Grety, skoro inni też o tym wiedzą.

Wróciła do domu zadowolona. Nauka jazdy poszła lepiej, niż Lisowska się spodziewała, dzięki temu właściwie nie czuła już żadnych obaw. Ich miejsce zajęła nadzieja, że dalej pójdzie równie dobrze i wkrótce na podwórku pojawi się jej własny samochód.

— Jak tam, Kociu, nie nudziłeś się? — przywitała swojego futrzastego przyjaciela. — Zaraz otworzę okna na werandzie, żebyś skorzystał ze świeżego powietrza.

Zbliżał się wieczór, słońce już zachodziło, ale nadal było ciepło.

Dzieciakom na pewno trudno będzie wrócić do szkoły, gdy pogoda jeszcze wakacyjna — pomyślała Diana. — Ciekawe, czy znajdą się chętni na warsztaty u mnie.

Tamara wprowadziła do oferty warsztatów kilka poprawek, a Diana wysłała gotowy dokument do biur podróży.

— Czekaj cierpliwie — poradziła jej Tamara. — Dla ciebie dzień to długo, ale w takich biurach mają teraz najwięcej pracy, więc nie odpowiedzą tak szybko. A może dopiero wtedy, gdy znajdą chętnych na twoje usługi. Ważne, że już o nich wiedzą.

Lisowska postanowiła zastosować się do sugestii bardziej doświadczonej koleżanki i uzbroić się w cierpliwość. Jak to powiedział pan Stach: poczekać, aż przyszłość stanie się teraźniejszością.

Na razie zajęła się tym, co tu i teraz. Zjadła kolację, bo przez emocje związane z jazdą zupełnie zapomniała o posiłku. Na szczęście miała jeszcze w zamrażarce pierogi od panny Zuzanny.

Skoro mam wolny wieczór, to zacznę robić wazoniki dla pana Stacha — postanowiła, gdy już zaspokoiła głód.

Kubki dla mieszkańców Jagodna stały już oszkliwione i wypalone na półce w pracowni. Diana miała wolny piec, mogła go zapełnić nowymi dziełami.

Gdy wstała od stołu i zerknęła w stronę okna, za płotem, bliżej lasu, zobaczyła stojącą postać. Zapadał zmrok, więc nie widziała wyraźnie, ale długa spódnica i szerokie rękawy bluzki nie pozostawiały wątpliwości co do tego, kto tam stoi.

Ona mnie obserwuje. — Diana poczuła się nieswojo. — Patrzy, co robię.

Szybko podeszła do okna i zamknęła okiennice. Podobnie zrobiła w pokoju. Zawołała Kocia do domu i zakluczyła drzwi od werandy. Potem wyjęła z torebki paczuszkę z szałwią.

Mam nadzieję, że to naprawdę działa — pomyślała, przypalając kadzidło.





— To rzeczywiście niewesoło — stwierdził Tobiasz, gdy Martyna opowiedziała mu o spotkaniu z Kulecką.

— Przecież to niebywałe! — Dziennikarka nerwowo bawiła się widelcem.

Nie miała ochoty na jedzenie i przełknęła kilka kęsów makaronu tylko po to, żeby nie robić mężczyźnie przykrości.

— Szczerze mówiąc, już wtedy, gdy nie odbierała od ciebie telefonów, podejrzewałem, że ona może się wycofać.

— Tak, teraz to jesteś taki mądry! — Martyna skrzywiła się ze złością, choć doskonale wiedziała, że sama jest sobie winna. — Powinnam była ją nagrać — westchnęła. — Albo przynajmniej najpierw kazać zgłosić to na policję i dopiero działać.

— Cóż, stało się. — Tobiasz ograniczył się do krótkiego komentarza, bo nie chciał jeszcze bardziej dołować kobiety. Była wystarczająco przygnębiona.

— Zachowałam się jak głupia, początkująca panienka — wyrzucała sobie dziennikarka. — Tak mi było spieszno do sławy, że zapomniałam o podstawowych zasadach.

— Nie bądź dla siebie taka surowa. Każdemu zdarzają się pomyłki czy niedociągnięcia.

— Ale to nie materiał o otwarciu nowego przedszkola! — Zdenerwowana Wrońska rzuciła widelec na stół. — Nie pomyłka w nazwisku gościa! Ja na żywo oskarżyłam faceta o poważne rzeczy, a nie zabezpieczyłam sobie dowodów!

Tobiasz westchnął. Miała rację, cóż miał powiedzieć?

— Swoją drogą, nie spodziewałam się po tej Kuleckiej czegoś takiego. Ciekawe, ile jej zaproponował. To pewne, że przytuliła większą kasę.

— Wiesz, sama wychowuje córkę, mogła pęknąć. Taki Kownacki ma wszystkie atuty w ręku. Dzięki niemu ona zarabia na utrzymanie dziecka, a w jednej chwili mogła to stracić i zostać z niczym.

— Przecież sama do mnie przyszła — przypomniała Martyna.

— Tak, ale kiedy się zorientowała, jakie mogą być rzeczywiste konsekwencje... — próbował tłumaczyć Tobiasz.

— To wołała nadal być molestowana i gwałcona?! — Wrońska spojrzała gniewnie na mężczyznę.

— Może obiecał, że zostawi ją w spokoju. Do tego zagwarantował dalszą pracę, pewnie jeszcze dużą jednorazową premię...

— I wczasy dla niej i córki w Hiszpanii — dodała Martyna.

— To mnie akurat nie dziwi. Chce ją odesłać jak najdalej, żebyś nie mogła jej znowu przekonać. Wyjedzie na dwa tygodnie, to dla niej wielka atrakcja, a przez ten czas sprawa tutaj przycichnie. Proste!

— Tak, pewnie masz rację — zgodziła się z nim Wrońska. — Trzeba przyznać, że sprytnie to wymyślił. Nie doceniłam go. — Pokręciła głową. — Byłam zbyt pewna siebie.

— To co teraz zrobisz?

— Właśnie się zastanawiam...

— Przepraszam, tak jak chce Kościński?

Dziennikarka zacisnęła dłoń tak mocno, że aż pobieleły jej kostki palców.

— Po moim trupie!

— Ale on ci tego nie odpuści, przecież wiesz.

— Tobiasz, jestem pewna, że Kulecka mówiła prawdę. Nawet jeśli się wycofała, to nie zmienia faktu, że Kownacki to wstrętna kreatura. I nigdy



za nic nie będę go przepraszała. Rozumiesz? — Wstała od stołu i popatrzyła Tobiaszowi prosto w oczy. — Zrobiłam to, co zrobiłam, i poniosę konsekwencje. Ale nie przeproszę Kownackiego.

Godzinę później stanęła przed drzwiami gabinetu Kościńskiego.

— Martyna, ja nie wiem, czy powinnam cię wpuścić... — Sekretarka była zmieszana, ale zatrzymała ją przed wejściem. — Wiesz, jaka jest sytuacja... Może poczekaj, aż sam cię wezwie.

— Słuchaj, ja tam muszę wejść — odparła Wrońska. — Jeśli będziesz próbowała mnie zatrzymać, wejdę siłą, więc lepiej zejź mi z drogi. A jeśli się go boisz, to wezwij ochronę. Zanim przyjdą, ja wszystko już załatwię.

Sekretarka kiwnęła głową i odsunęła się, robiąc Martynie przejście.

Dziennikarka weszła do gabinetu, podeszła prosto do biurka i położyła przed Kościńskim papierową teczkę.

— To moje wypowiedzenie — powiedziała.

Dyrektor podniósł wzrok i zmierzył Wrońską przenikliwym spojrzeniem.

— A ja go nie przyjmuję — powiedział.

— Musisz.

— Nic nie muszę — zaprzeczył i skrzywił się. — Niepotrzebne mi twoje wypowiedzenie, ponieważ właśnie cię zwolniłem. Dyscyplinarnie. — Sięgnął do szuflady, wyjął z niej kilka zadrukowanych kartek i wyciągnął dokumenty w kierunku Martyny. — Przyjmiesz i pokwitujesz czy mam wysłać pocztą?

Wrońska intensywnie myślała, co powinna zrobić, ale była dość mądra, żeby zrozumieć, że była na straconej pozycji.

Przyjęła wypowiedzenie, wyjęła z kieszonki kurtki długopis, złożyła zamaszty podpis na jednym z egzemplarzy, a potem gwałtownym ruchem przesunęła kartkę w stronę szefa.

— Masz! To przynajmniej tobie uratuje dupę!

Uśmiechnął się krzywo.

— Chyba nie masz do mnie pretensji. Grubo przesadziłaś, masz to na własne życzenie.

— A ty kryjesz takiego gnoja. Nie wstyd ci?!

W tym momencie do gabinetu weszło dwóch mężczyzn w czarnych uniformach z logo firmy ochroniarskiej.

— Mieliśmy zgłoszenie, że jest jakiś problem — powiedział jeden z nich.

— Już nie. — Kościński posłał im spokojny uśmiech. — Ale skoro panowie jesteście, to odprowadzicie panią do wyjścia.

Martyna zacisnęła zęby i skierowała się w stronę drzwi.

— Nie zapomnij zostawić przepustki w sekretariacie — usłyszała. — Nie chcemy, żeby niepowołane osoby kręciły się po budynku.

Zerwała kartonik, który miała przypięty do kurtki, i rzuciła go na podłogę, a potem wyszła z dumnie podniesioną głową. Za nią podążyli mężczyźni w czarnych uniformach.





**K**rytycznie popatrzyła na swoje dzieła.  
Wyszło przyzwoicie — oceniła. — Nawet lepiej, niż się spodziewałam.

Osiem dzbanuszków i siedem kubków stało w rzędzie na kuchennym stole. W zrobienie ich Diana włożyła sporo serca. Zależało jej, żeby powstało coś wyjątkowego. Po namyśle zdecydowała się wykorzystać ponownie pomysł z roślinnymi szablonami — i musiała przyznać, że to była dobra decyzja. Naczynia były kremowe, a wzory liści pozostały nieoszkliwione, w kolorze gliny. Lisowska nigdy wcześniej takich nie widziała, więc mogła śmiało powiedzieć, że jej naczynia są niepowtarzalne.

Ciekawe, jak to się spodoba ludziom — zastanawiała się. — Czy docenią ich oryginalność, czy jednak wygra przyzwyczajenie i nie zyskają uznania?

Nie przejmowała się tym jednak za bardzo. Gdyby nie udało się ich sprzedać, ozdobi nimi dom albo podaruje w prezencie. Ku swojemu zdziwieniu poczuła, że najważniejszy był dla niej proces tworzenia. Dawał radość i satysfakcję.

Pan Stach miał rację: trzeba zająć się tym, co się lubi — pomyślała z sympatią o rzeźbiarzu.

Ale skoro pierwszą partię miała już gotową, należało ją dostarczyć. Pieczołowicie zapakowała każde naczynie osobno, owijając je w szary papier, który pozostał jej po przeprowadzce.

Dobrze, że go nie wyrzuciłam — ucieszyła się.

Paczuszki włożyła do kartonowego pudełka.

— Kociu, wychodzę na chwilę — poinformowała kocura. — Obiecuję ci wspólną zabawę, kiedy wrócę.

Miała wyrzuty sumienia, że ostatnio zbyt mało czasu poświęca kotu. Miała nadzieję, że obserwowanie ptaków i przyrody przynosi zwierzęciu trochę rozrywki. Wiedziała jednak, że musi zadbać o Kocia nie tylko ze względu na potrzebę ruchu i polowania; czytała, że te z pozoru niezależne zwierzęta często mają depresję, jeśli czują się samotne.

Kto by pomyślał! — Dla Diany ta wiadomość była zaskakująca. — A wydaje się, że koty to samotniki i nie potrzebują towarzystwa. Okazuje się, że żadna istota nie lubi być samotna.

— Nie zajmie mi to wiele czasu — zapowiedziała Kociowi i wyszła z pudełkiem w ramionach.

Załadowała je na bagażnik i ruszyła na spotkanie z rzeźbiarzem. Siedział tam, gdzie zwykle, pykając swoją fajkę.

— Dzień dobry, panie Stachu! — zawołała i zahamowała tuż przed nim.

— O, pani Diana! Na wycieczkę pani się wybiera?

— A nie. — Pokręciła głową. — Przyjechałam do pana.

— W jakiej to sprawie?

— W interesach, panie Stachu. — Uśmiechnęła się, po czym oparła rower na metalowej stopce, a pudełko przeniosła na trawę obok stolika. — Zrobiłam próbną partię wazoników i kubków. — Wskazała na karton.

— No to niech pani pokaże, co tam wyszło. — Starszy mężczyzna zerknął z zaciekawieniem.

Lisowska ostrożnie wyjmowała kolejne pakunki, rozwijała papier, a naczynia ustawiała na stoliku, między rzeźbami.

— I jak? — domagała się niecierpliwie jego opinii.

— Sama pani to wymyśliła? — Stach wskazał na odciski liści.

— Tak, sama. Mnie się podoba.

— A wie pani, co to za listki? Jakie to rośliny?

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia — przyznała od razu, bo przed panem Stachem nie chciała niczego udawać. — Po prostu zebrałam je na polu i pod lasem. Podobały mi się.

— To dziurawiec. — Mężczyzna wskazał sękatym palcem na kubek. — Takie zioło, słyszała pani o nim?

— Coś tam słyszałam, ale nic konkretnego nie wiem.

— Greta wie wszystko o ziołach. I zna miejsca, gdzie najlepiej je zbierać.

— Ta kobieta z warkoczem?

— Tak. Kiedyś próbowała mnie nauczyć, ale wie pani, u mnie już pamięć nie ta. Poza tym jakoś mnie to nie zainteresowało. Miętę w ogródku mam, bo do wody lubię dodawać. I trawę żubrówkę jeszcze, ale to do spirytusu wkładam. — Mrugnął porozumiewawczo.

— Niech mi pan powie, panie Stachu, czy ta Greta to jest... Czy można jej zaufać?

Mężczyzna spojrzał na nią spod oka.

— A dlaczego pani pyta? Już ludzie nagadali?

— Nie o to chodzi. Widzi pan, ona u mnie była. Jej kot przyszedł do mojego i pani Greta weszła, żeby go zabrać. I powiedziała, że powinnam zrobić kilka rzeczy. Mówiła o złej energii i ochronie. Uważa pan, że to ma sens?

— Sens ma to, co uważamy za sensowne — odparł. — Jeżeli w coś się nie wierzy, nie czuje, to nie ma co nawet tego robić. A jeśli chodzi o Gretę, to nie znam lepszej i mądrzejszej osoby. Gdyby mnie coś poleciła, zrobiłbym to.

— Właściwie to ja też zrobiłam...

— Widać do pani trafiło. — Stach wzruszył ramionami. — A kubki bardzo ładne. Pomysłowe i kształtne — pochwalił.

— Cieszę się, że się panu podobają. Mam nadzieję, że i turyści będą zainteresowani.

— Pożyjemy, zobaczymy. Zostawi pani i zajrzy po niedzieli.

— Ale chciałabym ustalić wszystko konkretnie. Bo ja to panu zostawiam i...

— Źle się z tym pani czuje? Nie ufa mi? — zapytał rzeźbiarz.

— Skąd! Nie w tym rzecz — zaproponowała Diana. — Chodzi o to, żeby pan się dobrze czuł. Żeby nie wyszło na to, że jakoś pana wykorzystuję... — tłumaczyła nieco zmieszana.

— Czy ja wyglądam na takiego, co się da wykorzystać?

Stach popatrzył na Dianę i zauważyła, że ma oczy tak ciemne, że tęczęwka prawie nie odróżniała się od źrenicy. Pierwszy raz spotkała kogoś z takimi oczami.

— Panie Stachu, ale chyba możemy ustalić cenę i podział zysków? — upierała się. — Będzie pan wiedział dokładnie, jaki będzie zarobek.

— Jaki będzie, to się dowiem, kiedy sprzedam — skwitował jej prośby. — Moje warunki są takie: pani zostawia, ja sprzedam, za ile będę uważał, sobie zostawię tyle, ile uznam za stosowne, a resztę oddam. Albo się pani zgadza, albo niech to pani pakuje z powrotem — powiedział twardo.

Zawahała się. Jak to tak? A jeśli on sprzeda naczynia za grosze? Wtedy nawet koszty jej się nie zwrócą. Czy to uczciwa propozycja?

— To co? Zabiera pani? — ponaglił.

Przecież chciałam je nawet rozdać w prezencie — pomyślała. — Jednostronne trochę te warunki, ale co mi szkodzi. W sumie ma rację: zarobek poznam dopiero, kiedy je sprzeda. Bo równie dobrze może nie sprzedać żadnego.

— Zostawiam — zdecydowała. — I przyjadę po weekendzie.

— No to jesteśmy dogadani — skwitował Stach. — W takim razie trzeba umowę przybić.

Wyciągnął rękę, a Diana uścisnęła dużą, silną dłoń.

On mnie nie oszuka — pomyślała.

I chyba po raz pierwszy zaufała komuś tak bez zastrzeżeń i niepewności.







**M**artyna właściwie nie musiała jechać do Świętej Katarzyny, bo na pewno ktoś z redakcji zadzwoniłby do Wolińskiego, ale uznała, że skoro to miał być jej reportaż i ona z nim rozmawiała, to sama powinna go poinformować, że materiał się nie ukáže. Chciała zachować się tak, żeby nie mieć do siebie o nic pretensji.

— Zawieźć cię? — zaproponował Tobiasz.

Martwił się o nią, bo chociaż udawała, że nic wielkiego się nie stało, i wciąż zapewniała o swojej wściekłości, to znał ją doskonale i wiedział, że pod maską twardzielki kryje się delikatna i wrażliwa dusza. Był pewien, że Martyna bardzo przeżywa zwolnienie, zwłaszcza że było ono naprawdę niezasłużone.

Sam był wściekły z powodu tego, co się stało, ale nie mógł zrobić nic, co pomogłoby Wrońskiej. Wierzył jej i wiedział, że miała rację. Owszem, pragnęła sławy, pracy w ogólnopolskiej stacji, ale zawsze na pierwszym miejscu stawiała sprawy, których się podejmowała, i ludzi, którym chciała pomóc.

Gotowało się w nim, gdy myślał, że Martyna niesłusznie ponosi takie konsekwencje, a Kownacki chodzi sobie zadowolony i nie spotka go żadna kara za jego zachowanie. Nie podobał mu się taki świat, w którym nie ma sprawiedliwości, ale jednocześnie był realistą i wiedział, że pewnych rzeczy nie zmieni.

Mógł jednak zająć się Martyną i pomóc jej uporać się z problemami. Tak jak się spodziewał, odrzuciła jego propozycję.

— Pojadę sama. Ty powinieneś pójść do redakcji. Na pewno przydzielą cię do kogoś innego.

Pokiwał głową na znak zgody. Miała rację, nadal był pracownikiem telewizji. I musiał liczyć się z tym, że dostanie nowe zadania.

— Byle nie dali mi do kręcenia jakichś imprez czy konferencji prasowych — westchnął. — Bo umrę z nudów.

— Kościński na pewno da ci odczuć, że musisz zapłacić za pracę ze mną.

— Zachowam się niczym Winnetou. — Podniósł dłoń. — Kamienna twarz. Nie pozna, że mnie to w ogóle rusza.

Martyna się roześmiała i pocałowała go w policzek.

— Zawsze potrafisz mnie rozbawić. Dobra, to trzymaj się jakoś. Do zobaczenia wieczorem!

Przyda mi się też chwila oddechu i wyjazd z miasta choć na moment — rozmyślała, jadąc drogą ekspresową w stronę Cedzyny. — Może po rozmowie z Wolińskim pójde na spacer, odstresuję się trochę.

Nie była zagorzałą zwolenniczką kontaktu z naturą, nazywała się zawsze „zwierzęciem miejskim”, bo to tam, wśród domów i ludzi, były tematy, które ją interesowały. Nie oznaczało to jednak, że stroniła od przyrody. Nie była z tych, które jadą w szpilkach w góry czy boją się owada.

Dziś bliżej jej było do natury, ludzi na razie miała dość, rozczarowali ją.

Pobędę sama, dobrze mi to zrobi — stwierdziła.

Dociskała pedał gazu i szybko dojechała do celu. Zaparkowała przed willą biznesmena i weszła na podwórze.

— Pana Krzysztofa nie ma — usłyszała kobiecy głos, gdy była w połowie drogi do drzwi.

Odwróciła się.

To ta ogrodniczka — pomyślała, widząc kobietę z sekatorem w ręku.

— Dzień dobry! A nie wie pani, kiedy pan Woliński wróci?

— Pojęcia nie mam. — Diana rozłożyła ręce. — Kiedy przyszłam, już wyjechał, myślę, że do pracy. Zazwyczaj wraca późno, ale nie spowiada mi

się ze swoich planów. Nie jestem jego żoną. — Uśmiechnęła się porozumiewawczo, nawiązując do ich poprzedniego spotkania.

Powinłam była to przewidzieć. — Martyna była zawiedziona. — Znowu nie pomyślałam logicznie. Przecież ktoś, kto prowadzi firmę, zwykle o tej porze jest w jej siedzibie albo gdziekolwiek indziej, gdzie załatwia interesy.

— Cóż, trudno, przyjadę kiedy indziej — odpowiedziała z rezygnacją.

— Może mu coś przekazać? Albo może napisze pani liścik i wsunie pod drzwi? — zaproponowała Diana.

Patrzyła na dziennikarkę i dostrzegła w jej twarzy coś, czego nie widziała poprzednim razem. To już nie była ta pewna siebie osoba. Nie szła sprężystym krokiem, kąciki ust miała opuszczone, a w oczach czał się... chyba smutek.

— Nie, to, co chcę mu przekazać, wolałabym zrobić osobiście.

Martyna popatrzyła na zamknięte drzwi willi i zadaszony drewniany taras.

Szkoda, że Wolińskiego nie ma — pomyślała z żalem. — To taki sympatyczny człowiek, a mnie bardzo dziś trzeba zwykłej rozmowy...

— Żałuję, że nie jest pani jego żoną — powiedziała spontanicznie do Diany. — Mogłaby mnie pani poczęstować filiżanką kawy.

— Cóż, filiżanki nie mam, ale jeśli nie pogardzi pani kubkiem od termosu, to kawa się znajdzie.

Wrońska nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Spojrzała na ogrodniczkę z wahaniem, ale w ułamku sekundy podjęła decyzję.

— Może być kubek od termosu.

Usiadły na tarasie.

— Pan Krzysztof chyba nie miałby nam tego za złe — uznała Diana.

— Nie musi nawet o tym wiedzieć. — Martyna mrugnęła z bladym uśmiechem.

— W sumie tak. Ja mu nie powiem — zapewniła Diana.

Wyjęła z plecaka stalowy termos i nalała do zakręcanego kubka gorący napój. Podała go Wrońskiej. Dziennikarka wypila kilka łyków, patrząc uważnie na Dianę.

Wydaje się całkiem sympatyczna — pomyślała. — A ja ostatnio niezbyt miło ją potraktowałam...

— Czuję się w obowiązku panią przeprosić — powiedziała, oddając puste naczynie. — Kiedy tu byliśmy, nie zachowałam się wobec pani odpowiednio. Przepraszam.

— Nic się nie stało — odparła Diana. — Kto by się przejmował ogrodniczką, skoro ma pod ręką prezesa dużej firmy.

Martynie zrobiło się głupio.

— Ostatnio popełniłam sporo błędów — wyznała.

Coś sprawiło, że postanowiła być z tą kobietą szczerą. Może jej bezpośredniość tak działała? A może po prostu musiała komuś to powiedzieć, a obcej osobie było łatwiej?

— Teraz muszę, to znaczy chciałabym, to wszystko wyprostować. Proszę przyjąć przeprosiny, są szczerze.

— W porządku, nie gniewam się — zapewniła Diana.

Wrońska poczuła, że za chwilę się rozplacze. Patrzyła na swoją rówieśniczkę siedzącą po drugiej stronie stołu i zaczynało do niej docierać, jak bardzo zagubiła się w świecie mediów i pędzie do sukcesu.

— Proszę wybaczyć, muszę już jechać. — Zerwała się i chwyciła torebkę.

Diana nie zatrzymywała jej, jakby czuła, że Martyna potrzebuje teraz samotności.

— Gdyby pani jeszcze kiedyś chciała napić się ze mną kawy, to zapraszam do mojego domu! — zawołała za odchodzącą dziennikarką. — Nie jeżdżę do pracy, więc łatwo mnie zastać.





**W**racając z pracy, Diana wciąż rozmyślała o spotkaniu z dziennikarką. Czowała, że coś się wydarzyło — i że z pewnością nie było to nic miłego.

Ciekawe, co jej się stało. Gdzie podziała się jej pewność siebie? — zastanawiała się, pedałując powoli — Taka była zadziorna, takie miała o sobie wysokie mniemanie. Widać to było już na pierwszy rzut oka. A teraz? Zgaszona, smutna... I te przeprosiny.

Może są ludzie, którzy cieszą się nieszczęściem innych, a jeszcze chętniej tych znanych, ale Diana nie należała do takich osób. Widok kobiety, którą trapił jakiś problem, zasmucił ją.

Czy Woliński ma z tym coś wspólnego? — Próbowwała wywnioskować coś z tego, co widziała i usłyszała. — Nie wydaje mi się. Może nie znam go dobrze, lecz nie wygląda na takiego, który mógłby rozmyślnie skrzywdzić drugą osobę.

Doskonale wiedziała z własnych doświadczeń, że czasami ktoś z pozoru jest wspaniały i nikt nie powiedziałby o nim złego słowa, a potem okazuje się, że wcale nie jest tak doskonale. Mateo też był ulubieńcem kobiet, potrafił oczarować wszystkich i na pewno trudno by było przekonać znajomych, że w domu zachowywał się zupełnie inaczej.

— Kiedyś też nie wierzyłam, że człowiek może mieć dwie twarze, i to tak różne — mruknęła pod nosem, wjeżdżając na swoje podwórze.

Zostawiła rower pod domem i poszła do komórki, żeby tam zostawić torbę z kaloszami, które były ubrudzone mokrą ziemią.

Szkoda, że ta Wrońska nie została dłużej — stwierdziła. — Mogłaby się wygadać. Wiem, jak ważny jest w takich chwilach kontakt z kimś życzliwym. Gdyby nie interwencja Baranowskiej, może jeszcze tkwiłabym w szlafroku w mieszkaniu i piła hektolitry kawy. Albo, co gorsza, wróciłabym do Mateo.

Po raz kolejny z wdzięcznością pomyślała o właścicielce firmy deweloperskiej, która przysłała jej z pomocą w czasie, gdy Diana zaczynała popadać w depresję, zupełnie bezinteresownie zatroszczyła się o nią i załatwiła zlecenie u Wolińskiego.

Teraz miałabym okazję oddać ten dług, pomagając innej kobiecie — uznała. — Ale cóż, niczego nie da się zrobić na siłę.

Oczyściła kalosze i pozostawiła do wyschnięcia. Wtedy też przypomniała sobie, że kończy się cukier, a nie wyobrażała sobie picia niesłodzonej herbaty. Już prędzej wypiłaby gorzką kawę. Herbaty nigdy.

Muszę od razu podjechać do sklepu — zdecydowała. — Rano nie będzie mi się chciało, zresztą i tak, zanim zacznę dzień, muszę wypić swoją poranną herbatkę.

Znowu wsiadła na rower. Dzięki zielonemu jednośladowi szybciej załatwiała drobne sprawy i mniej czasu poświęcała na pokonanie odległości, które tutaj były jednak większe niż w mieście.

W połowie drogi spotkała Julkę z matką. Szły poboczem, w ogóle ze sobą nie rozmawiając. Dziewczynka niosła różowy plecak, więc Diana domyśliła się, że wracają ze szkoły.

— Dzień dobry! — Uśmiechnęła się, mijając je.

Kobieta nie odpowiedziała, a mała opuściła głowę i zaczęła wpatrywać się w asfalt.

Diana się zatrzymała. Poczowała złość.

Rozumiem, że kobieta może czuć jakąś niechęć do mojego domu, ale żeby nie odpowiadać na powitanie? I na dodatek zmuszać do tego samego dziecko?

Odwróciła się i zobaczyła, że Julka także odwraca głowę. Niewiele myśląc, pomachała dziewczynce.

Przecież ona nic mi nie zrobiła — pomyślała. — Niech wie, że nie mam do niej żalu.

Mała uśmiechnęła się lekko, ale zaraz z powrotem spoważniała.

— No to chyba pani nie wie, co robi — usłyszała za plecami.

To Anna właśnie zbliżała się do niej szybkim krokiem. Miała na ramieniu dużą torebkę, a w ręku siatkę wypełnioną kartkami i książkami.

— Dzień dobry!

Dlaczego tu wszyscy pomijają powitanie? — pomyślała z niechęcią Diana.

— Pani pewnie z pracy? — zagadnęła przyjaźnie, wskazując głową na torbę. — A to pomoce naukowe czy zaczęła pani od sprawdzianu, żeby od razu wprowadzić dyscyplinę? — Mrugnęła porozumiewawczo.

Anna nie podjęła tematu.

— Niech się pani z nimi nie zadaje. — Podniosła palec i pogroziła nim Dianie, która z niesmakiem przyjęła ten gest.

Chyba pomyliła mnie ze swoją uczennicą — pomyślała jeszcze bardziej zdenerwowana.

— Niby dlaczego? — zapytała zadziornie.

— Bo to bardzo niesympatyczna osoba. Po prostu okropna. Ostrzegam panią w dobrej wierze, lepiej się od niej trzymać z daleka.

— Chciałam się tylko przywitać. Poznałam jej córkę, więc pomyślałam, że miło będzie wymienić pozdrowienie. W końcu wszystkie tu mieszkamy, prawda?

— Niestety. — Nauczycielka się skrzywiła. — Powinna już dawno się stąd wynieść — dodała z nienawiścią.

— Wie pani, ja to się dziwię. — Diana postanowiła wprost powiedzieć, co czuje. — Jest pani nauczycielką, dba pani o swoich uczniów, a ma pani tak niepedagogiczne podejście i kieruje się uprzedzeniami. Rozumiem, że możecie się nie lubić, ale żeby w ten sposób o kimś mówić...

— Mówię, jak jest. — Anna w ogóle nie przejęła się jej słowami.



— To pani zdanie. I nawet jeśli tamta pani nie jest sympatyczna, to jej córka przeciwnie. To miłe i grzeczne dziecko. A ja będę robiła to, na co mam ochotę, i rozmawiała, z kim zechcę. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

— To pani sprawa i pani wybór. — Anna przełożyła torbę do drugiej ręki. — Tylko żeby potem nie było, że nie ostrzegałam. Obie to diabelski pomiot! — Spojrzała za odchodzącymi i splunęła z pogardą na drogę.

Diana pokręciła z niedowierzaniem głową. Nie spodziewała się po kobiecie takiego zachowania.

— Lepiej będzie, jeśli już pojedę — powiedziała. — Do widzenia!





**M**artyna z trzaskiem zamknęła laptopa. Wstała z fotela i podeszła do okna. Świeciło piękne wrześnie słońce, ale pogoda była ostatnim, co ją interesowało.

— Nalać ci kawy?

Tobiasz właśnie wyszedł z łazienki, otulony w szary szlafrok, z kropelkami wody na szyi i karku.

— Dziękuję, i bez niej mam ciśnienie chyba ze dwieście — odparła ze złością dziennikarka.

— Nikt nie odpisał?

— Na razie nikt — przyznała niechętnie.

— Minął dopiero jeden dzień, poczekaj chwilę — doradził mężczyzna.

— Wiesz doskonale, że jeszcze dwa tygodnie temu każdy z nich odpowiedziałby w ciągu kilku godzin. — Odwróciła się i popatrzyła na Tobiasza ze smutkiem. — Dzwoniłam też wczoraj do kilku znajomych. Wiesz, mam numery do wszystkich naczelnych w tym mieście...

Nie zapytał o nic, bo znał odpowiedź.

— Żebyś słyszał, jak oni się wymigiwali. — Pokręciła głową z niedowierzaniem. — Nie masz pojęcia, ile można wymyślić wymówek. Wszyscy mają problemy finansowe, sztywne budżety, cięcia personalne — wyliczała.

— Może rzeczywiście mają — odparł bez przekonania Tobiasz.

— Gównu mają! — zdenerwowała się dziennikarka. — Po prostu jestem jak ten gorący ziemniak, którego trzeba jak najszybciej odrzucić. Jak śmierdzące jajo, którego lepiej nie ruszać!

— Martyna, wiesz, że jestem za tobą, ale czy im się dziwisz? Sama pewnie zachowałabyś się podobnie...

— Nie sądzę — powiedziała chłodno. — Ale pomijając to, wyjaśnij mi, proszę, dlaczego ani jedna osoba nie miała odwagi powiedzieć mi prawdy? Nie znalazł się nikt, kto wprost odpowiedziałby, że nie przyjmie mnie, bo mam wilczy bilet.

— Znacnie się od lat, nie chcą ci sprawić przykrości. Zresztą nikt raczej nie lubi mówić przykrych rzeczy. To psuje humor.

— A tak to wszyscy jesteśmy weseli i zadowoleni — podsumowała sarkastycznie.

Tobiasz wrócił po chwili z dwiema filiżankami espresso. Jedną podał Martynie.

— Może jednak się napijesz? — zaproponował.

Wzięła naczynie i opróżniła jednym haustem.

— Chyba muszę się pogodzić z tym, że nie znajdę pracy w naszym mieście. Pewnie nawet w województwie. A z dyscyplinarką nie wystartuję do żadnej ogólnopolskiej stacji czy nawet gazety. — Wróciła na fotel i ukryła twarz w dłoniach.

— Trzeba poczekać — zasugerował Tobiasz. — Na razie sprawa jest świeża, ale za kilka miesięcy większość o niej zapomni. Wtedy spróbujesz jeszcze raz i na pewno coś się znajdzie.

— Dzięki za pocieszenie. Właśnie o tym myślałam: o przeczekaniu aż wszyscy o mnie zapomną. — Powiedziała to w złości, ale od razu zrozumiała, że Tobiasz chciał dobrze. Próbował ją pocieszyć, dać nadzieję. Nie powinna go tak traktować. — Przepraszam. — Spróbowała się uśmiechnąć. — Jestem przybita tą sytuacją, ale naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz. Masz rację, trzeba odczekać jakiś czas. Poradzimy sobie, mam trochę oszczędności, odkładałam na nowy samochód. No, ale życie

weryfikuje plany. — Machnęła ręką. — Pojeździmy tym autem jeszcze trochę. Zresztą na szczęście ty masz pracę, więc jakoś to będzie.

— Kłopot w tym, że już nie mam.

Martyna odwróciła się gwałtownie.

— Jak to?!

— Wczoraj dostałem wypowiedzenie. Nie potrzebują operatora, mają komplet zespołów, tak powiedzieli.

— Nic nie mówiłeś...

— Przyjechałaś załamana, a potem cały wieczór pisałaś maile do potencjalnych pracodawców — przypomniał. — Miałem cię jeszcze bardziej dołować?

— Wiem, że to przeze mnie... — Wrońska poczuła, że opuszczają ją wszystkie siły.

— Daj spokój! Nie przejmuj się. Nie mam dyscyplinarki, to może zechcą mnie w telewizji internetowej — zażartował. — Zresztą mogę chwilowo robić coś innego, żeby zarobić na przeżycie.

— Niby co?

— Rozwozić pizzę, pracować na budowie, wyprowadzać psy — wyliczał z uśmiechem. — Nie bój się, zarobię, tak czy inaczej.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Gdyby nie ty, rozsypałabym się kompletnie...

— Nie przesadzaj! Mamy trudny czas, ale go przetrwamy. Jednego się boję — przyznał niechętnie.

Spojrzała pytająco.

— Żeby tylko Kownacki nie podał cię do sądu o zniesławienie. Słyszałem dzisiaj w redakcji, jak ludzie o tym rozmawiali. Wiesz, za coś takiego może żądać kupę kasy...

Martyna wykrzywiła usta.

— Mógłby, ale tego nie zrobi. Zależy mu na wyciszeniu sprawy. Wysłał Kulecką daleko, sam mówiłeś, żeby nikt z nią nie gadał. Niepotrzebna mu sprawa w sądzie, bo to tylko przypomnieliby o oskarżeniach. A wiesz, jak

jest: nawet jeśli on wygra, to i tak znajdą się tacy, co będą wątpić w sprawiedliwość i gadać po kątach.

— Może i tak...

— Pamiętaj, to polityk. On wszystko kalkuluje na chłodno. Mógłby wygrać kasę, ale zbliżają się wybory i bardziej mu zależy na tym. Ode mnie szybko nie ściągnie należności, bo z czego? A na poselskim stołku zarobi więcej, szybciej i pewniej. Możesz spać spokojnie.

Tobiasz nie wyglądał na całkowicie przekonanego, ale pokiwał głową.

— W takim razie będę mógł wyprowadzać te psy tylko raz dziennie — zażartował, żeby rozładować atmosferę. — To zawsze jakaś pociecha.

— Lepiej idź się ubrać. To, że nie masz pracy, nie oznacza, że będziesz cały dzień paradował w szlafroku.

Mężczyzna posłusznie wyszedł, a wtedy Martyna mogła przestać już udawać. Przy Tobiaszu nadrabiała miną, ale tak naprawdę miała ogromne poczucie winy. Wpędziła ich w problemy, nie miała żadnego pomysłu, jak z nich wyjść, a to wszystko przez własną głupotę.

Zgubiła mnie pycha — pomyślała. — Uważałam się za doskonałą i nieomylną. Tymczasem kim jestem? Bezrobotną dziennikarką bez szans na pracę. Oto, co osiągnęłam!





**D**iana postawiła rower przy tarasie i wyjęła z torby kalosze. Przysiadła na kamiennym schodku, zdjęła tenisówki i zamieniła je na gumowe obuwie do pracy w ogrodzie. Było cicho, jedynie ptaki ćwierkały wśród gałęzi. Wsłuchiwała się w ich śpiew, całą sobą chłonęła atmosferę spokoju, zapachy świeżej ziemi i kwiatów.

Poranki były chłodniejsze, dlatego zabrała cieplejszą bluzę. Wiedziała, że zanim słońce nagrzejże powietrze, może zamarznąć, zwłaszcza w cienistych zakątkach ogrodu. Podparła głowę na dłoniach i patrzyła z zadowoleniem na to, jak zmienił się ogród Wolińskiego, odkąd zaczęła się nim zajmować. Krzewy zyskały formę, choć zachowała ich naturalny kształt, na klombach kwitły pierwsze astry, kosmosy i rudbekie, a hortensje przyciągały wzrok ogromnymi kiściami ciemnoróżowych kwiatostanów. Dzikie wino, które posadziła wzdłuż ogrodzenia, miało jeszcze niewiele rozgałęzień, ale projektantka wiedziała, że bardzo szybko się rozrośnie.

Za kilka lat będzie tu naprawdę pięknie — pomyślała.

— Muszę powiedzieć, że nawet nie wyobrażałem sobie takiego efektu — usłyszała za plecami głos gospodarza. — Baranowska miała rację: jest pani świetna w tym, co robi.

Podniosła się i odwróciła w jego stronę.

— Miło mi to słyszeć. — Uśmiechnęła się. — Ale jeszcze trochę potrwa, zanim będzie pan mógł zobaczyć ostateczny wygląd ogrodu.



— Pani Diano, ja jestem realistą, nie oczekiwałem cudów — odpowiedział z uśmiechem. — Ale to, co już widzę, jest naprawdę zaskakujące.

— Poczekajmy do wiosny, wtedy będzie się tu działo. Chciałabym posadzić cebulki przebiśniegów, krokusy, żonkile i szafirki — wyliczała. — No i oczywiście tulipany, ale te tradycyjne, nie botaniczne czy papuzie. Teraz jest właśnie czas na ich sadzenie. — Rozejrzała się i wskazała ręką na klomby przy ścieżce. — Tutaj będzie im dobrze i stworzą barwne zaproszenie do domu. Oczywiście kolory dobierzemy tak, żeby nie było zbyt pstrokato. W połączeniu z forsycją będzie to wyglądało bardzo dobrze, a jeśli dodamy też wczesne czosnki, to... — Zorientowała się, że chyba za bardzo oddała się fantazjom. — O ile oczywiście pan będzie chciał — dodała szybko.

Woliński szczerze się roześmiał.

— To niesamowite tak angażować się w swoją pracę. Od razu widać, że to naprawdę pani pasja.

— Nie da się ukryć. — Diana nieco się zawstydziała. — Jeżeli za bardzo popłynęłam z tymi planami, to proszę mnie śmiało sprowadzić do brzegu.

— Nie widzę takiej potrzeby. Mówi pani o tym bardzo przekonująco i obrazowo. Już chciałbym zobaczyć te wszystkie tulipany, żonkile i... szafirki, tak?

— Tak. I krokusy.

— Oczywiście. — Skinął głową. — Proszę zrobić kalkulację na te wszystkie kwiatki i podesłać mi SMS-em kwotę. Zrobię pani przelew.

— Świetnie! — ucieszyła się Diana.

— A teraz może napijemy się kawy? — zaproponował. — Jadę dziś prosto na umówione spotkanie, więc mam chwilę na spokojną filiżankę espresso. Skusi się pani?

— Powinnam wziąć się do pracy...

— Tak, wiem, że pani jest bardzo obowiązkowa, ale chyba rośliny mogą poczekać kwadrans? Nie zauważyłem, żeby gdzieś tu rósł papirus i urósł od wczoraj o kilka metrów — zażartował.

— Chyba myślał pan o bambusie — poprawiła Diana. — To jego niektóre odmiany osiągają nawet dwa metry na dobę.

— Sama pani widzi, że ze mnie żaden ogrodnik. — Biznesmen machnął ręką. — Ale kawę podaję dobrą. Choć to też nie moja zasługa, tylko ekspresu.

Diana usiadła przy drewnianym stole. Po chwili Woliński wrócił z tacą, na której stały dwie filiżanki i cukierniczka.

— I jak się pani tutaj mieszka? — zapytał, wsypując łyżeczkę cukru do swojego espresso. — Na pewno poznała pani wszystko lepiej niż ja, bo wie pani, że właściwie przez całe dni jestem poza domem.

— Prawdę mówiąc, też nie mam zbyt wiele czasu. — Jakoś niezręcznie jej było opowiadać Wolińskiemu o czarownicy czy dziwnej nauczycielce. — Sporo pracuję, staram się też urządzić dom.

— O, wiem z doświadczenia, że to zajmuje sporo czasu i jest wymagające finansowo — podchwycił mężczyzna.

— Rzeczywiście. Nie planuję żadnych luksusów. To raczej prace remontowe. Staram się sama zrobić, co się da. Maluję, wbijam gwoździe, odnawiam meble — wyjaśniła.

— Widzę, że posiada pani wiele talentów.

— Bez przesady, ale staram się. Niestety, niektórych rzeczy nie dam rady zrobić samodzielnie. — Rozłożyła ręce.

— Czego na przykład? — zainteresował się Woliński.

— Choćby ogrzewania. Mam piec, ale znajomy, który mnie odwiedził, zasugerował, że powinnam wymienić je na coś wymagającego mniej wysiłku niż noszenie węgla czy rąbanie drewna.

— Bardzo rozsądnie zasugerował.

— Tak, wiem. Będę musiała pomyśleć o innym piecu, ale w ogóle się na tym nie znam. Liczę więc na opinie i sugestie, które znajdę w sieci.

— To ja chyba powinienem się obrazić. — Woliński pokręcił głową.

Diana spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego mnie pani o to nie pyta? Przecież moja firma zajmuje się produkcją pieców. Nie wiedziała pani? — rzucił w odpowiedzi.

— Pojęcia nie miałam — odpowiedziała zgodnie z prawdą. — Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to sprawdzać.

— Właściwie to się pani chwali — uznał z uśmiechem biznesmen. — Nie jest pani ciekawska. Ale skoro już pani wie, to mam nadzieję, że przyjmie pani moją pomoc w wyborze pieca?

— Bardzo chętnie, lepszej przecież nie znajdę — ucieszyła się Diana.

— Ustalimy coś odpowiedniego, dam pani po znajomości dobrą cenę — mrugnął porozumiewawczo — i polecę fachową ekipę do montażu. Zrehabilituję się za ten papirus i pokażę, że na czymś się znam. Proszę zajrzeć jutro wieczorem, powinienem zdążyć coś dla pani przygotować.

— Dziękuję, ale proszę się nie spieszyć. — Musiała trochę ostudzić jego zapał. — Ten piec to plan dopiero na przyszły rok.

— Ale przecież zima za pasem...

— Tak, najpierw jednak muszę zarobić na tę inwestycję — wyznała z lekkim zawstydzeniem. Nie lubiła przyznawać się do ograniczeń finansowych. — Tej zimy jakoś sobie poradzę, a w przyszłym roku na pewno przypomnę panu o tej propozycji — zapewniła ze śmiechem.

Woliński nie skomentował jej wyjaśnienia. Popatrzył na zegarek i wstał od stołu.

— Przy miłej rozmowie czas szybko mija — powiedział. — Niestety, muszę już wyjeżdżać.

Diana także uniosła się na krześle, ale mężczyzna powstrzymał ją gestem.

— Proszę spokojnie dokończyć kawę i zostawić tu filiżanki. Sprzątnę to, gdy wrócę.

— Dobrze, dziękuję.

Kiedy zszedł ze schodków, Diana przypomniała sobie o wizycie Wrońskiej.

— Panie Krzysztofie! Zapomniałam powiedzieć, że była tutaj ta dziennikarka, która robiła o panu program.

— Tak, wiem. Dzwonili już do mnie z telewizji. Programu nie będzie, ale jakoś niezbyt mnie to martwi. Do zobaczenia!

— Do widzenia!

Diana dopijała kawę, zastanawiając się nad jego słowami.

Skoro nie będzie programu, to musiało się coś stać — pomyślała. — Może powinnam wreszcie zająć się podłączeniem telewizora do anteny? W ogóle nie wiem, co dzieje się na świecie, a nawet w Kielcach. Dziej się tutaj.





**D**ość szybko udało jej się skończyć pracę u Wolińskiego, regularna pielęgnacja ogrodu sprawiała, że bieżące poprawki nie wymagały wiele wysiłku. Cieszyła się na myśl o kolejnych nasadzeniach i z tego, że gospodarz wyraził na nie zgodę. Uważała, że ogród powinien być ładny o każdej porze roku, więc należało tak dobierać rośliny, aby jedne zakwitwały, gdy inne przekwitwały. Propozycja Wolińskiego dotycząca pomocy w wyborze pieca również była dla niej dużą radością. Naprawdę nie była w tym temacie kompetentna, a chodziło przecież nie o drobiazg, który można wymienić, lecz o poważną inwestycję na lata.

Rzeczywiście, nawet nie zainteresowałam się, czym on się zajmuje — zauważyła ze zdziwieniem. — To chyba dlatego, że traktuję go jak każdego klienta i ważne jest tylko to, czego ode mnie oczekuje i czy za to zapłaci. A skąd bierze pieniądze, to przecież nie moja sprawa.

Po namyśle uznała, że takie podejście to zaleta, zresztą mężczyzna też tak powiedział. Nigdy nie była wścibska czy ciekawska. Ale gdyby miała te cechy, może wcześniej odkryłaby, co nocami robi Mateo?

Taka jestem i nie chcę się zmieniać — zdecydowała. — Ufam ludziom, nie wtrącam się w ich prywatne sprawy, nie szpieguję i nie słucham plotek.

Szła, prowadząc rower, bo tak się zamyśliła, że zapomniała na niego wsiąść. Wyprowadziła pojazd za bramę i poszła dalej. Zorientowała się w połowie drogi i pokręciła z dezaprobatą głową.

Powinnam bardziej trzymać się rzeczywistości — próbowała przywołać się do porządku.

— Dzień dobry pani! — usłyszała.

Zza betonowego ogrodzenia, które właśnie mijala, wychyliła się męska głowa.

— Dzień dobry! — odpowiedziała, patrząc z zaciekawieniem.

Głowa znikła, ale za chwilę na drogę wyszedł mężczyzna w rozciągniętej koszulce i dresowych spranych spodniach.

— Przepraszam, że tak zaczepiam. — Uśmiechnął się, ukazując brak górnej lewej trójki i srebrną dolną dwójkę. — Ale widzę, że pani tu przechodzi co jakiś czas, to pomyślałem, że zagadnę.

— Nie ma problemu. W czym mogę panu pomóc?

— Pani z miasta? — zainteresował się mężczyzna.

— Kiedyś tak, ale od niedawna mieszkam tutaj — wyjaśniła.

— Tak? A gdzie?

Nie ma oporów przed zadawaniem pytań — pomyślała rozbawiona Diana.

— W domu po Maciejaku. — Już wiedziała, jak określać siedlisko, które kupiła, żeby miejscowi umieli je zlokalizować.

Nowy znajomy potarł niedogolony policzek.

— A, tam... — zamruczał. — W sumie co mnie to obchodzi...

Diana czekała, co będzie dalej. Jej rozmówca wyraźnie coś rozważał, wreszcie podjął decyzję.

— Nie chciałaby pani jajek kupić? Swojskie, od kurek ziarnem karmionych. Duże, często po dwa żółtka mają — zachwalał swój towar. — Żona się kurami zajmuje, a ja jajka sprzedaję. Miastowi chętnie biorą, bo zdrowe i ekologiczne — podkreślił ostatnie słowo. — Ale jeszcze trochę zostaje, to proponuję, jakby pani chciała.

Diana pomyślała o jajecznicy na masełku, takiej żółciutkiej i pachnącej. Przełknęła ślinę.

— Chętnie wezmę dziesięć — odparła.

— To ja zaraz przyniosę — ucieszył się mężczyzna.

Wrócił po chwili z tekturową wytlóczką wypełnioną jajkami. Diana zapłaciła i delikatnie umieściła je w koszyku.

— Jakby pani jeszcze chciała, to proszę zaglądać — zachęcił gospodarz.

— Dziękuję, na pewno kiedyś przyjdę znowu.

Wsiadła na rower i już miała odjeżdżać, gdy mężczyzna zrobił krok w jej stronę.

— A jak się tam pani mieszka?

— Bardzo dobrze — odparła, choć zaskoczyło ją to pytanie.

— Wszystko w tym domu normalnie? Nic się nie dzieje?

— Absolutnie nic. A dlaczego pan pyta?

— Nie, tak tylko, z ciekawości. — Machnął ręką i odwrócił wzrok. — Niech pani o jajkach pamięta. — Odwrócił się i szybko wszedł na swoje podwórko.







Jajecznicą smakowała tak dobrze jak chyba żadna wcześniej. Sprzedawca nie kłamał: jajka były naprawdę duże, a ich żółtka prawie pomarańczowe. Diana usmażyła cztery i ledwie zjadła całą porcję.

Kocio, zwabiony zapachem, ocierał się o jej nogi, gdy stała przy kuchence. Pomrukiwał przy tym, jakby przypominając o swojej obecności.

— Ty żarłoku! — roześmiała się Diana. — Za jedzenie gotów jesteś na wszystko!

Nie pożałowała jednak kocurowi smakołyku. Rozbiła jedno jajko, oddzieliła białko, a żółtko wlała do kociej miski. Jej edukacja na temat żywienia kotów nie poszła na marne. Wiedziała, że nie powinna dawać Kociowi białka, ale żółtko jest dla niego bombą witaminową.

— Wiem już, gdzie kupować, więc możesz liczyć na takie jajeczko co jakiś czas. — Patrzyła, jak kot z zapałem wylizuje miskę. — Będziesz miał dzięki temu piękną sierść i dobry wzrok.

Sądząc po zachowaniu Kocia, bardziej interesowały go walory smakowe niż zdrowotne niespodziewanego poczęstunku.

— I co będziemy teraz robić? — zastanawiała się Diana.

Była tak najedzona, że musiała odchylić się na krześle i rozpiąć guzik dzinsów. Kot poszedł do sypialni, wskoczył na łóżko i ułożył się wygodnie na poduszce.

— Właściwie to masz rację — powiedziała z uznaniem. — Drzemka po takim jedzeniu to dobra myśl.

Poprzedniego dnia do późna kończyła zlecenie, a rano wczesnie wstała, żeby jechać do Wolińskiego, więc godzinka snu jawiła się jako coś bardzo odpowiedniego. Położyła się obok Kocia i po chwili obydwójce już spali.





**O**budziła się później, niż zamierzała. Wystarczyło jedno spojrzenie w okno, żeby stwierdzić, że powoli nadchodzi wieczór.

Nie będę mogła zasnąć w nocy — westchnęła.

Nie była przyzwyczajona do popołudniowych drzemek, więc kiedy wstała, czuła się rozbita i w ogóle nie mogła się skoncentrować.

— Teraz na pewno nie popracuję — powiedziała do siebie.

Z nadzieją, że kawa choć trochę ją rozbudzi, zrobiła sobie duży kubek mocnego naparu, otworzyła okna na werandzie i usiadła przy stole. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Przyjemnie było siedzieć z wyciągniętymi nogami i obserwować poruszające się lekko korony drzew.

Ciekawe, jak tutaj jest zimą — przyszło jej na myśl. Wiedziała, że wkrótce się o tym przekona. — Właściwie dlaczego przejmuję się tym, że dłużej pospałam? Czy ja pracuję w stałych godzinach? Czy coś muszę? Mam wyznaczone godziny?

Zrozumiała, że nadal nie uwolniła się od życia, które układał jej ktoś inny, przyzwyczała się do ciągłego dostosowywania, i na dodatek przyjęła to jako jedyne dobre rozwiązanie. Wciąż miała zakodowane, że należy wcześniej wstać, trzeba gotować obiady, nie powinno się tracić zbyt dużo czasu na przyjemności i śpi się w nocy, oczywiście z wyjątkiem weekendów, bo to czas na zabawę.

A kto mi każe? — pomyślała. — Przecież mogę żyć tak, jak chcę. I jeśli mi się tak zamarzy, to prześpię cały dzień, a będę pracowała w nocy.

Nareszcie dotarło do niej, że jest panią swojego czasu. Było w tym coś bardzo wyzwalającego, dawało poczucie lekkości i spokój.

— Mogę robić, co chcę — powiedziała głośno, bo chciała to usłyszeć.

Powtórzyła to zdanie kilkakrotnie, za każdym razem czując, że udaje jej się coraz głębiej oddychać. Jakby jakieś więzy w klatce piersiowej zrywały się i uwalniały płuca.

Na co właściwie mam teraz ochotę? — zastanowiła się.

Dopiła kawę i wyszła przed dom. Rozejrzała się dookoła i pomyślała o gospodarzu, który sprzedał jej jajka.

Jakie to fajne, że mam tu dostęp do naturalnych, zdrowych produktów — stwierdziła. — Muszę się dowiedzieć, czy ktoś oferuje jeszcze jakieś. A może, tak jak pan Stach, założę własny ogródek?

I wtedy uświadomiła sobie, że przecież ma sad. Choć może to określenie było nieco na wyrost, bo za domem rosło zaledwie kilka owocowych drzew, ale przecież już miała okazję się przekonać, że gruszki były pyszne. Od razu ruszyła między drzewa, wyrzucając sobie w myślach, że wcześniej właściwie wcale nie poznała tej części swojego gospodarstwa. Oprócz gruszy rozpoznała dwie czereśnie, trzy wiśnie i kilka jabłoni. Większość jabłek jeszcze nie w pełni dojrzała, ale rosnąca z boku, nieco pochylona papierówka ugięła się od owoców.

Szkoda, że nie ma śliwy — pożałowała Diana, która bardzo lubiła śliwki. — Może zasadzę sobie kilka młodych drzew? Ale jabłka pachną obłędnie.

Podniosła jeden z owoców leżący w trawie, wytarła go o bluzkę i wbiła zęby w miękką miąższ. Nie był zbyt słodki i soczysty, ale orzeźwiający i smaczny. Niektóre jabłka miały na skórce ciemne plamki, a inne już zaczynały pleśnieć i gnić.

Tak nie może być. — Pokręciła głowa. — Szkoda, żeby tyle dobra się zmarnowało.

Już wiedziała, co ma ochotę zrobić. Czym prędzej poszła do komórki, gdzie widziała duży wiklinowy koszyk. Po drodze wzięła też wiaderko.

Obydwa pojemniki szybko wypełniła papierówkami i przydźwigała na werandę. Kocio zainteresował się nieznaną mu zawartością, ale po obwąchaniu jabłek kichnął i odszedł ze zniesmaczoną miną.

— Zrobimy zapasy na zimę — poinformowała go Diana.

Nigdy wcześniej nie zajmowała się przetworami, ale od czego jest internet? Szybko wyszukała przepisy na przetwory z papierówek i najbardziej do gustu przypadł jej mus. Zaczęła od poszukiwania słoików. Na szczęście było ich kilkanaście w komórce, więc umyła je starannie i wyparzyła. Zajęło to trochę czasu, ale była zadowolona, bo wyglądało na to, że wystarczy ich na przyniesioną porcję jabłek. Przysiadła na krześle, żeby jeszcze raz dokładnie przeczytać przepis, i od razu zrozumiała, że nie ma odpowiedniej ilości cukru. W tej sytuacji obieranie i duszenie owoców nie miało sensu. Musiała odłożyć to na następny dzień.

Nie szkodzi — pomyślała. — Nie ma pośpiechu. Trochę ruchu w sadzie dobrze mi zrobiło, więc teraz usiądę do komputera, a mus przygotuję jutro.

Okazało się, że niewymuszona praca idzie dużo lepiej niż projektowanie z obowiązku i w sztywno określonym czasie. W kilka godzin Diana nadrobiła wszystko, co miała wcześniej zaplanowane, i z poczuciem spełnienia wzięła prysznic, a potem położyła się, żeby poczytać. Wbrew wcześniejszym obawom po lekturze kilkunastu stron poczuła ogarniającą ją senność.

Skoro tak, to w myśl moich nowych zasad nie będę się opierać — zdecydowała.

Wyłączyła lampkę i po kilku minutach odpłynęła w objęcia Morfeusza.







— Czy ty widzisz to, co ja?

Martyna siedziała z pilotem w ręku i z niedowierzaniem wpatrywała się w ekran telewizora. Siedzący obok Tobiasz także znieruchomiał.

— W imieniu dyrekcji naszej stacji serdecznie przepraszamy pana pośła Mariusza Kownackiego za nieodpowiednie zachowanie naszej pracownicy. Oświadczamy, że zachowanie to było samowolne, a dyrekcja ani pozostali pracownicy nie mieli z nim nic wspólnego. Jednocześnie informujemy, że dziennikarka odpowiedzialna za to wydarzenie nie pracuje już w naszej stacji. Wierzymy, że ten niefortunny wypadek nie zachwieje zaufaniem widzów do naszych działań, i zapewniamy, że rzetelność informacji nadal jest dla nas priorytetem. — Prowadząca wiadomości odczytała ten komunikat z poważną miną, a na miniaturze nad jej ramieniem ukazała się uśmiechnięta i zadowolona twarz Kownackiego.

Martyna nacisnęła przycisk na pilocie i ekran zgasł.

— Co ty na to? — Popatrzyła na Tobiasza.

— To samo co ty — odpowiedział krótko.

— Przecież to się w głowie nie mieści! Nie dosyć, że go przeprosili, to jeszcze jednoznacznie przekazali, że zostałam zwolniona!

— Odcięli się od ciebie — podsumował mężczyzna.

— Teraz to już na pewno nie znajdę pracy — jęknęła z rozpaczą.

Przeprosiny ogłoszone przez stację telewizyjną zupełnie załamały Martynę. Były jak ostateczny cios, który ją pogrążył.

— Nie przejmuj się, damy sobie radę. — Tobiasz odebrał jej pilota. — Nie oglądajmy już tego kanału, dobrze? Włączę jakiś dobry film i zrobię popcorn.





Pomysł szykowania musu na zimę bardzo spodobał się Dianie i od chwili, gdy tylko otworzyła oczy, nie przestawała o nim myśleć. Zaczęła jednak od codziennego herbacianego rytuału, a potem, żeby mieć już to z głowy i nie odrywać się od kuchennych eksperymentów, uzupełniła opis do skończonego w nocy projektu i wysłała go zleceniodawcy do akceptacji. Teraz mogła już bez reszty oddać się temu, co naprawdę zaprzętało jej myśli.

Oczywiście priorytetem była wizyta w sklepie. Diana miała nadzieję, że tym razem nie spotka nauczycielki; po ostatniej rozmowie straciła ochotę na zacieśnianie z nią znajomości. Liczyła na to, że Anna przed południem jest w pracy.

Nie było jej ani w sklepie, ani na drodze. Diana włożyła kilka torebek cukru i dwie torebki cynamonu oraz resztę drobnych sprawunków, wsiadła na rower i szybko wróciła do domu.

Nieprzewidzianym problemem okazał się brak dużego garnka. Według przepisu powinna mieć naprawdę spore naczynie, a niestety, nie dysponowała takim. Największy, jaki miała, to kilkilitrowy, w którym gotowała zupy.

— Cóż, Kociu, trzeba będzie podzielić nasze jabłka na porcje i robić stopniowo — powiedziała do kota, gdy znalazła na poczekaniu rozwiązanie.

Zanim przystąpiła do pracy, zrobiła sobie kawę i obok kubka położyła batona kupionego niedawno w sklepie. Nie jadła wielu słodyczy, jednak od czasu do czasu miała ochotę na łakocie.

Zjem go, kiedy obiorę pierwszą porcję owoców — postanowiła.

Przygotowała miskę na jabłka i papierową torbę na obierki, zasiadła za stołem i sięgnęła po pierwszą papierówkę. Obieranie było monotonnym zajęciem, ale miało tę zaletę, że można było przy nim przemyśleć wiele spraw. Nożyk szybko poruszał się w rękach, zielone wstążki skórek wpadały do torebki, a Diana w myślach planowała, gdzie posadzi wiosenne kwiaty w ogrodzie Wolińskiego. Nie minęło wiele czasu, a ogród był zaplanowany — i miska pełna obranych owoców. Po kolejnych dwóch kwadransach kawałki jabłek dusiły się w garnku na wolnym ogniu, a Diana mogła rozprostować plecy.

Ciekawe, co z tego wyjdzie. Ale jeśli nie spróbuję, to się nie dowiem. — Potaknęła głową do myśli.

Do południa zrobiła dwie partie musu, włożyła je do słoików i odstawiła na rozłożone na blacie ściereczki. W przepisie podano, że nie trzeba ich pasteryzować, wystarczy mocno zakręcone naczynia odwrócić do góry dnem i zostawić do wystygnięcia. Oczywiście nałożyła sobie niewielką porcję na talerz, żeby spróbować. Smak bardzo pozytywnie ją zaskoczył. Miała wrażenie, jakby przeniosła się w czasie do świąt Bożego Narodzenia.

To chyba przez ten cynamon — pomyślała. — Zawsze kojarzy mi się z choinką i świątami.

Zachęcona pierwszym sukcesem wróciła do obierania, choć nie miała już tyle zapachu co na początku. Trochę znudziła ją ta czynność, więc z radością przyjęła pukanie do drzwi.

— Proszę! — krzyknęła.

Do środka weszła Julka.

— Dzień dobry!

Przynajmniej ta potrafi się przywitać — pomyślała Diana.

— Cześć, Julka! Miło cię widzieć. Przyszłaś pobawić się z Kociem?

Mała pokiwała głową. Kot od razu poznał faworytkę i pojawił się błyskawicznie przy jej nogach.

— Nie ma sprawy, wiesz, gdzie są zabawki.

— A co pani robi? — zainteresowała się dziewczynka.

— Obieram jabłka. Będzie z nich mus na zimę.

Julka pomachała wędką i Kocio podskoczył niczym wytrawny łowca, żeby złapać piórko.

— Moja mama robi z jabłek szarlotkę — poinformowała Dianę.

— O, to świetnie! Na pewno jest pyszna. Może i ja spróbuję. — Odłożyła nóż i popatrzyła na dziewczynkę. — A skoro mowa o twojej mamie... Domyślam się, że nie wie, że tu jesteś?

— Nie wie — potwierdziła Julka.

— Wiesz, że tak nie powinno być? Wyraźnie mi powiedziała, że nie chce, żebyś tu przychodziła. Powinnam respektować jej decyzję. Rozumiesz?

— Tak — odparła mała ze smutkiem. — Ale dziadek nie res... respektował.

— Wspominałaś o tym. Widzisz, ja nawet nie wiem, dlaczego twoja mama nie zgadza się na te wizyty. I dlaczego nie pozwalała ci chodzić do dziadka, ale...

— Mama mówiła, że dziadek jest zły — wtrąciła Julka. — Ale dla mnie był dobry. Gotował kompot z gruszek i robił mi ludziki z szyszek — opowiadała z zapalem. — Opowiadał bajki, historie o lesie... Lubiłam dziadka.

Diana nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Z jednej strony to matka ma prawo decydować o dziecku, ale z drugiej — jej zakaz wydawał się zupełnie pozbawiony sensu. Nawet jeśli z jakiegoś powodu nie życzyła sobie kontaktów córki z dziadkiem, to przecież tego człowieka już tu nie było i ona, Diana, nie miała z nim nic wspólnego.

— Chcesz spróbować musu? — zaproponowała dziewczynce.

Julka pokiwała głową, więc kobieta nałożyła jej porcję duszonych jabłek na talerz.

— Wiesz, mam pewien pomysł — powiedziała. — Dam ci trochę tych jabłek i zanieiesz je mamie. Powiesz, że to prezent ode mnie. Na szarlotkę. I powiesz, że zapraszam mamę na kawę, żebyśmy mogły jeszcze raz spokojnie porozmawiać.

Miała nadzieję, że matka Julki przyjmie zaproszenie. Kiedy tu przyszła po raz pierwszy, była zdenerwowana, ale gdy zastanowi się spokojnie, może zmieni zdanie.

— Wiesz, że zawsze jesteś tu miłym gościem — dodała, patrząc z uśmiechem na dziewczynkę. — Wolałabym jednak nie złościć twojej mamy. Musimy spróbować ją przekonać.







**W**ieczorem wszystkie zebrane jabłka zmieniły się w mus i w równych rzędach stygły na stole. Diana musiała przyznać, że jest zmęczona. Nie sądziła, że robienie przetworów jest tak wyczerpujące i czasochłonne.

Ale jaka radość — pomyślała. — Powinnam zrobić im zdjęcie, bo wyglądają uroczo, jak u babci.

Rzeczywiście, na tle białych ścian i drewnianego blatu słoiki z musem tworzyły obrazek niczym z babcinej spiżarni i mogłyby śmiało stanowić ilustrację do książki kulinarnej.

Diana umyła miskę i garnek, postawiła torbę z obierkami przy drzwiach, żeby następnego dnia wynieść jej zawartość na kompostownik. Przynajmniej tyle udało jej się zrobić w kwestii własnego ogrodu — wyznaczyła miejsce, w którym powstawał ten ekologiczny nawóz, i zasilala go wszystkimi bioresztkami, które produkowała. Wiedziała, że wiosną będzie miała doskonały pokarm dla roślin, które posadzi.

Zrobiła sobie kanapki z żółtym serem i pomidorem, do tego zaparzyła herbatę i usiadła, żeby spokojnie zjeść kolację.

Należy mi się po całym dniu pracy. — Spojrzała pożądliwie na talerzyk z jedzeniem. — Zwłaszcza że zapomniałam o obiedzie.

Tak, zapomniała i świat się nie zawalił. Nie rozstąpiła się ziemia, Diana nie usłyszała żadnych pretensji, nie zobaczyła niezadowolonego spojrzenia,

które popsułoby jej humor i wywołało poczucie winy. To było naprawdę piękne!

Wbiła zęby w kanapkę, ale nie zdołała pogryźć nawet pierwszego kęsa, gdy usłyszała, że zaskrzypiały drzwi na werandę.

Jestem pewna, że je zamykałam — przestraszyła się. — A może tylko tak mi się wydawało?

Ktoś z pewnością wszedł, bo deski podłogi na werandzie stuknęły pod naporem kroków.

— Kto tam? — zapytała głośno Diana.

Sekundę później w progu kuchni stanęła Greta.

— Dobry wieczór — powiedziała, obrzucając wzrokiem pomieszczenie i Dianę, która podniosła się na jej widok.

— Dobry wieczór. Jeśli szuka pani kota, to nie ma go tutaj — uprzedziła gospodyni.

— Wiem — odparła spokojnie starsza kobieta. — Przyszłam w innej sprawie.

— Słucham. Może pani usiądzie?

— Dziękuję, muszę zaraz wracać do domu. Zajrzałam tylko na chwilę.

— W takim razie w czym mogę pani pomóc?

Kobieta uśmiechnęła się lekko na widok Kocia, który wskoczył na stół, ale zaraz spowaźniała.

— Ja niczego nie potrzebuję. To ty jesteś w potrzebie — oznajmiła spokojnie, nie wdając się w szczegóły.

Zrezygnowała z oficjalnej formy, ale Diana nawet tego nie zauważyła.

— Nie wiem, o czym pani mówi...

Miała wrażenie, że światło w kuchni przygasło, a powietrze zgęstniało od skumulowanych emocji.

Ona naprawdę jest czarownicą czy jak? — przeszło Dianie przez głowę.

— Mówię o tym, żebyś kupiła turmalin. Czarny turmalin. Nie zwlekaj, zrób to. On cię ochroni. Jest silny i tobie da siłę.

Diana pokiwała głową.

— Dobrze, kupię — obiecała lekko przestraszona i niepewna.

Greta popatrzyła jej głęboko w oczy i stała tak dłuższą chwilę w milczeniu. Diana czuła się jak zahipnotyzowana, nie miała odwagi nawet drgnąć.

— Bardzo ładnie wyglądają te przetwory. Takie lato zamknięte w słoikach. — powiedziała nagle Greta zupełnie normalnym tonem. — Będzie z nich pożytek zimą. Tutejsze papierówki są najlepsze w okolicy. — Nie czekając na odpowiedź gospodyni, odwróciła się i wyszła.

Diana opadła na krzesło. Odsunęła talerz z kanapkami. I tak nie przełknęłyby już ani kęsa.





**M**artyna nie mogła pogodzić się z sytuacją. Przeprosiny, które nadała stacja telewizyjna, spotęgowały poczucie niesprawiedliwości i sprawiły, że dziennikarka na przemian miotła się po mieszkaniu i bez ruchu tkwiła na fotelu, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie.

Tobiasz nie wiedział, czy powinien interweniować, czy raczej poczekać, aż emocje Martyny same się wyciszą. Niepokoił się, bo nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie.

— Słuchaj, może powinnaś iść do lekarza — zaproponował w końcu.

— I co mu powiem?! Że jestem beznadziejna?! Czy może to, że źli ludzie mnie skrzywdzili?! — wybuchnęła Wrońska.

— Wiesz, o co mi chodzi. Przepiszą ci tabletki, uspokoisz się, wyciszysz i będziesz w stanie logicznie myśleć.

— Uważasz, że zwariowałam?! — Martyna popatrzyła na niego ze złością. — Pięknie! Jeszcze tego brakowało! Otóż oświadczam ci, że jestem zupełnie normalna.

— Ale ja w to nie wątpię — zapewnił ją Tobiasz. — Uważam tylko, że masz za sobą trudny czas i powinnaś zwrócić się o pomoc do fachowców. Może powinnaś — sprostował szybko, widząc jej minę.

Martyna usiadła, rozstawiając szeroko nogi. Tobiasz wiedział, że kiedy tak wyglądała, szykowała się do walki.

— Nie chcę się z tobą kłócić. — Postanowił uprzedzić atak. — I nie będę cię do niczego zmuszał. Martwię się tylko o ciebie, rozumiesz?

Popatrzyła mu prosto w oczy i chyba wyczytała w nich, że mężczyzna nie kłamie.

— Tobiasz, ja zupełnie nie wiem, co mam robić... — W jednej chwili z walecznej kobiety zmieniła się w kłębek nieszczęścia. Ramiona jej opadły, usta wykrzywiły się w smutnym grymasie.

— A może na razie nic nie rób? — zaproponował ostrożnie.

— Kiedy właśnie to jest najgorsze — odparła. — Wiesz doskonale, że działanie jest moim żywiołem. W nim się odnajduję, ono mnie nakręca. Szukanie możliwości, rozwiązywanie problemów...

— Czasami nie ma możliwości i rozwiązań — wszedł jej w słowo Tobiasz.

— Wiem. I z tym właśnie nie mogę się pogodzić.

Tobiasz przykucnął obok fotela.

— Pamiętaj, że to obraz sytuacji w tej chwili, ale czas płynie i okoliczności się zmieniają. Kto wie, co będzie jutro?

— I jak długo mam tak czekać? Przecież ja oszaleję w domu. Duszę się, siedząc tu bez celu i zajęcia!

— Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale mnie zawsze pomagał wyjazd. Zmiana otoczenia, nowi ludzie, przyroda.

— Tak, zawsze uwielbiałeś podróże. Lata spędziłeś, włócząc się po świecie...

— O tym właśnie mówię. Widocznie potrzebowałem tyle czasu i tylu miejsc, żeby uporządkować to, z czym nie mogłem sobie poradzić. — W oczach Tobiasza malowało się przekonanie o słuszności takiej decyzji.

— Nie twierdzą, że masz ruszyć w podróż dookoła świata. Może wystarczy wycieczka do lasu?

— A jeśli nie wystarczy?

— To pojedziesz na kolejną. Albo do Afryki, jeżeli poczujesz, że tego właśnie ci potrzeba. Nie dowiesz się tego, dopóki nie pojedziesz do lasu i nie sprawdzisz.

Martyna głośno westchnęła.

— Dziwnie to brzmi, jakoś tak sekciarsko — powiedziała z powątpiewaniem. — Ale skoro i tak nie mam żadnej alternatywy, to mogę spróbować.

— Wreszcie zaczynasz mówić z sensem — ucieszył się Tobiasz.

— Ale teraz, wieczorem, chyba mnie z domu nie wygonisz?

— Wygonię cię rano. Teraz mogę zaproponować kieliszek wina, kąpiel i ciepły koc.

— To znowu strasznie infantylne.

— Nie narzekaj. Widziałem memy, które mówią, że kocyk nigdy nie zawiedzie i nie zdradzi. Skorzystaj.

— Spróbuję — westchnęła po raz kolejny bezrobotna dziennikarka. — Ale robię to tylko dla ciebie — zastrzegła.







**T**ego dnia Diana musiała wstać wcześniej niż zwykle. Miała umówioną kolejną jazdę doszkalającą, a Rafał nie miał innej wolnej godziny.

— Jeżeli nie dasz rady dojechać na ósmą rano, to przesuniemy na inny dzień — powiedział. — Ale uważam, że nie powinnaś robić długich przerw między lekcjami, trzeba iść za ciosem. Inaczej za każdym razem będziesz czuła się tak, jakbyś zaczynała od początku.

Diana również nie chciała czekać. Zależało jej na jak najszybszym opanowaniu umiejętności. Za kilka miesięcy nadejdzie zima, więc planowała, że już wtedy będzie niezależna od busów. Odsuwała od siebie myśl, że gdy przyjdą śnieg i mróz, może nie poradzić sobie z jazdą. Takie podejście na pewno zmniejszyłoby jej motywację. Woląa myśleć, że im szybciej zacznie jeździć, tym większej wprawy nabierze przed nadejściem zimnych i śliskich dni.

Dlatego zgodziła się na wczesną godzinę i miała nadzieję, że bus, który miał przyjechać o siódmej, będzie punktualnie. Na szczęście udało jej się dotrzeć na czas.

— Wyjeżdżamy z parkingu — zarządził Rafał, gdy zajęli miejsca w samochodzie i zapięli pasy.

— Jak to? Na ulicę? Myślałam, że jeszcze poćwiczę... — zapytała bardzo zaskoczona kursantka.

— Jasne, że pani poćwicz — zapewnił instruktor. — Będzie ruszanie i hamowanie. No, może uda się przynajmniej kilka razy wrzucić czwórkę.

— Pan teraz żartuje, prawda?

— Ani mi w głowie żarty! Przecież wie pani, która jest godzina, prawda? Aż do dziewiątej miasto jest zakorkowane. Później robi się trochę lepiej, ale od czternastej do siedemnastej znowu to samo.

Diana miała wrażenie, że przez całą jazdę miała napięty każdy mięsień. Na początku nawet wstrzymała oddech i myślała, że coś złego się z nią dzieje, na szczęście instruktor zareagował.

— Oddychaj! — upomniął ją ze śmiechem. — To nie nurkowanie, tylko jazda samochodem.

Zaczerpnęła powietrza i od razu zrobiło jej się lepiej.

— Przepraszam — bąknęła zawstydzona.

— Nic się nie dzieje — zapewnił Rafał. — Nie pani pierwsza. Byli i tacy, co prawie mdleli już w bramie ośrodka. Na szczęście to mija z czasem.

Ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu kobieta przejechała kilka dużych ulic, a raz nawet udało jej się skręcić w lewo na skrzyżowaniu. Co prawda na takim ze światłami, ale i tak uznała to za duży sukces.

— Nikt na mnie nie trąbił — ucieszyła się, gdy zaparkowali z powrotem na placu.

— Widzi pani! To nie takie straszne.

— No, umówmy się, że mam znaczek na dachu, więc pewnie inni kierowcy są wyrozumiali...

— Nawet jeżeli, to i tak poszło całkiem nieźle. To kiedy widzimy się po raz kolejny?

Ustalili termin i Diana z ulgą odpięła pas bezpieczeństwa.

— A jak tam pani czary-mary? — zapytał nieoczekiwanie instruktor.

— Właściwie nie wiem... Okadziłam dom, ale jeszcze żadnych spektakularnych zmian nie zaobserwowałam.

— Ale nic złego się nie stało?

— Nie, wszystko w porządku.

— To może właśnie tak to działa i dom się odczarował? —  
podpowiedział Rafał. — Niech pani zapyta tej waszej czarownicy.

— Jak pan odwiedzi Świętą Katarzynę, to może pan ją spotka i sam  
zapyta.

— Pomyślę o tym — uśmiechnął się mężczyzna. — Do zobaczenia!





C hyba w złą godzinę powiedziałam o tym, że wszystko w porządku — pomyślała, gdy wysiadła z busa w Świętej Katarzynie.

Od razu zauważyła samochód. Stał przy ulicy, niedaleko Muzeum Krzemienia Pasiastego. Nie mogło być mowy o pomyłce, rozpoznałaby go wszędzie. Miał charakterystyczny bagażnik na dachu i naklejkę z nazwą grupy muzycznej na tylnej klapie bagażnika. Bardzo chciała się mylić, ale nie miała żadnych wątpliwości. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości, tak żeby Mateo nie mógł jej zobaczyć, ale dostrzegła, że nie ma go we wnętrzu pojazdu.

Dokąd poszedł? — Do głowy przyszła jej tylko jedna odpowiedź. — Na pewno znowu stoi pod moim domem.

Nie mogła zrozumieć, czego ten człowiek może jeszcze od niej chcieć. Wyrzuciła go kilkakrotnie, powiedziała, że nie chce mieć z nim nic wspólnego, a on zachowuje się tak, jakby nie przyjmował tego do wiadomości.

Jak długo jeszcze będzie mnie prześladował? Czy kiedykolwiek pozbędę się go ze swojego życia? — Nie знаła odpowiedzi, ale czuła, że niewidzialny łańcuch znowu zaciska się wokół jej serca.

A może naprawdę Mateo tak bardzo mnie kocha, że nie może zapomnieć? — Ta zdradziecka myśl w pierwszej chwili rozczuliła Dianę, ale natychmiast przywołała się do porządku.

Zrozumiała jednak, że nie może iść do domu, bo jeśli tam go spotka, może znowu dać się ponieść zdradliwym echem dawnego zauroczenia. Bez wahania obróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwną stronę.

Do parkingu doszła w kilka minut.

— Dzień dobry, panie Stachu! Mogę sobie tu obok pana posiedzieć?

Rzeźbiarz nie należał do ludzi, którzy zadają zbędne pytania.

— Jak potrzeba, to niech pani siada. Ale ja pod wieczór będę się zbierał do domu.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jest dopiero jedenasta — zauważyła.

— Ja wiem. Tylko mówię na wypadek, jakby pani chciała dłużej uciekać — odparł spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Nie pytała, jak to odgadł.

— Nie mam innego wyjścia — powiedziała tylko.

— Zawsze jest inne wyjście. — Poglądził się po siwej brodzie. — A ucieczka jest zawsze gorsza. Lepiej stanąć oko w oko z tym, czego się boimy. Strach wszystko wyolbrzymia, a ucieczka to zawsze przegrana. Gdy się z czymś mierzysz, przynajmniej masz szansę na wygraną.

— Powinnam zatem iść?

— Tego to ja nie wiem. To pani strach i pani ucieczka. A trawa należy do wszystkich, można siedzieć, ile się chce. — Po tych słowach sięgnął po dłuto, kawałek drewna i zaczął rzeźbić.

Diana popatrzyła na drogę wiodącą do lasu. Rozważała słowa pana Stacha i toczyła wewnętrzną walkę. Wreszcie postanowiła.

— Chwilę zostanę. Muszę nabrać sił. Później pójdę.

Starzec nie odpowiedział.





**M**artyna obudziła się z bólem głowy i niechętnie myślała o obietnicy danej Tobiaszowi. Udawała, że o niczym nie pamięta, ale doskonale widziała badawcze spojrzenia, które mężczyzna rzucał w jej stronę. W końcu nie wytrzymała.

— Dobra, pojedę do tego lasu — oświadczyła, ledwie powstrzymując złość. — Nie wiem po co, ale pojedę, skoro się tak przy tym upierasz.

— Nie chcesz, to nie jedź — mruknął Tobiasz i wzruszył ramionami.

— Tak mówisz, a patrzysz z wyrzutem.

— Nie z wyrzutem, tylko z troską — poprawił ją.

Nie potrafiła ocenić, co było gorsze: wyrzut czy troska.

Wzięła prysznic, ubrała się, zjadła tosta z dżemem morelowym, wypila podwójną kawę i była gotowa do drogi.

— A ty co będziesz robił?

— Idę na rozmowę do pizzerii.

I to dobiło Martynę ostatecznie. Fakt, że doskonały operator, najlepszy, jakiego znała, będzie rozwodził pizzę, zakrawał na kpinę. Ona ciągle nie wyobrażała sobie, że miałyby się zająć czymś innym niż dziennikarstwo. Nie mogła przyjąć tego spokojnie. Chwyciła torebkę, kluczyki od samochodu i wybiegła z mieszkania.

Gdzie ja właściwie pojedę? — zastanawiała się, kiedy już minęła zatłoczone centrum. — Przecież nie będę cały dzień siedziała na mchu pod



jakaś sosną. Czym to się różni od łożenia po domu?

I wtedy przypomniała sobie o Dianie.

Jeśli dobrze pamiętam, to zapraszała mnie na kawę — wydobyła z pamięci ich rozmowę. — A skoro tak, to chyba nie zmieniła zdania. Co prawda nie wiem za bardzo, o czym będziemy rozmawiać, ale lepsze to niż samotne łożenie po dzikich kniejach.

Uświadomiła sobie, że nie zna dokładnego adresu projektantki ogrodów, ale czy to stanowiło przeszkodę dla dziennikarki? Nie takich rzeczy się dowiadywała, nie takie informacje zdobywała. Poczula, że zapala się w niej iskierka energii. Miała cel, mogła działać, więc na chwilę znowu była w swoim żywiole.

Dojadę do tej Świętej Katarzyny i popytam. Ludzie w takich miejscowościach wiedzą wszystko o wszystkich — wiedziała to z doświadczenia.

Zawróciła na najbliższym skrzyżowaniu i po niespełna czterdziestu minutach minęła tabliczkę z napisem „Św. Katarzyna”.

Jechała powoli wzdłuż miejscowości, rozglądając się za kimś, kogo mogłaby zapytać o dom ogrodniczki. Po prawej stronie minęła budkę z lodami, po lewej klasztor. Jednak w powszedni dzień przed południem nie było tu nikogo. Widząc, że za chwilę zabudowania się skończą i wjedzie do parku narodowego, skręciła na parking pod lasem.

A to historia! — Nie mogła wyjść ze zdziwienia. — Nawet nie muszę pytać. Poszukiwana sama się znalazła.

Oto ujrzała Dianę siedzącą przy drewnianym ogrodzeniu obok starszego człowieka.

Co ona tu robi? Czyżby handlowała pamiątkami? — zastanawiała się dziennikarka, ujrawszy stolik z rzeźbami.

Zgasiła silnik i wysiadła z samochodu. Podeszła do ogrodzenia i przez chwilę przyglądała się dwójce siedzących niedaleko ludzi. Nie rozmawiali ze sobą, ale chyba się znali, bo obce sobie osoby nie siedziałyby tak blisko.

Najlepiej po prostu sprawdzić — postanowiła kierować się jedną ze swoich zasad.

— Dzień dobry! Pamięta mnie pani? — zawołała.

Zbliżyła się do obydwojga, starając się ułożyć usta w coś na kształt uśmiechu.

— Pani Martyna! Oczywiście, że poznaję. Pani znowu u nas?

— Tak, przejeżdżałam niedaleko i pomyślałam, że zajrzę. Jadę, patrzę, a tu pani. — Wolą nie przyznawać, że przyjechała specjalnie do Diany. — Nie wiedziałam, że zajmuje się pani też handlem.

— A, to. — Ogrodniczka podążyła za jej spojrzeniem. — To nie moje, tylko pana Stacha.

Mężczyzna w milczeniu przyglądał się przybyłej.

— Panie Stachu, to jest pani Martyna Wrońska, znana dziennikarka — dokonała prezentacji Diana.

— Nie zawód się liczy, nie sława, ale charakter — odparł ze spokojem starszy pan.

Martyna zmrużyła oczy.

— Pan Stach sam to wszystko rzeźbi — poinformowała Diana. — Piękne, prawda?

— Oryginalne. — Wrońska pokiwała głową i zwróciła się do mężczyzny: — Turyści kupują?

— Jedni tak, inni nie.

Diana spostrzegła, że rozmowa kuleje, więc postanowiła interweniować.

— Pani Martyno, to może zajdzie pani do mnie na kawę? Ostatnio nie miała pani czasu, ale dzisiaj...

Wrońska odetchnęła. Już zaczęła się obawiać, że będą siedziały w nieskończoność z tym mrukliwym rzeźbiarzem. Owszem, był nietuzinkową osobą i z pewnością wprowadzał nieco kolorytu w pejzaż miejscowości, ale nie miała ochoty na podziwianie sztuki ludowej.

— Chętnie zobaczę pani dom — odparła. — Pojadę za panią.

— Nie mam samochodu, przyszłam tu pieszo.

— W takim razie zapraszam do mojego auta, pojedziemy razem.

— Świetnie!

Diana ucieszyła się z nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń. Towarzystwo dziennikarki dodało jej odwagi.

Jeśli Mateo czeka pod domem, będzie mi różniej i w razie czego nie będę sama — pomyślała z ulgą.

— Do widzenia, panie Stachu! — pożegnała się z rzeźbiarzem.

— Do widzenia, miło było pana poznać — wyrecytowała zwyczajową formułkę Martyna.

— Żeby kogoś poznać, trzeba czasu — odparł mężczyzna. — I przede wszystkim trzeba najpierw poznać siebie.

Wrońska obdarowała go zdziwionym spojrzeniem i nawet chciała rzucić jakąś ciętą ripostę, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Słowa rzeźbiarza zakłuły ją niczym dotyk w czułe miejsce.

— Kto to jest? — zapytała Dianę, gdy wsiadły do samochodu. — Dziwny jakiś...

— Czy ja wiem? Lubię go. To mądry człowiek, doświadczony i przede wszystkim szczery.

Martyna uznała, że nie ma sensu mówić o swoim zdaniu na temat szczerości jednych i naiwności innych. Zmieniła temat i zapytała:

— Gdzie mam jechać?

— Prosto, a potem w prawo. Pokażę gdzie.

Gdy przejeżdżały obok muzeum, obserwowała uważnie pobocze. Na szczęście samochodu Mateo już nie było.





**M**artyna spodziewała się willi podobnej do domu Wolińskiego i była trochę zaskoczona, gdy zatrzymały się przed niewielkim domem. Nie było tu ogrodu, lecz zwyczajne, porośnięte trawą podwórko, na dodatek sporą część placu zajmowała stara stodoła i jakiś budynek gospodarczy.

Dała się poprowadzić do wnętrza i tutaj podobało się jej dużo bardziej.

— Klimatycznie — stwierdziła, siadając na wskazanym miejscu przy kuchennym stole. — Sama pani wszystko urządziła?

W kuchni nie było zabudowy z błyszczącymi frontami, nowoczesnych urządzeń czy marmurowych blatów, od pierwszej chwili Martyna poczuła się tu przyjemnie i jak u siebie.

Diana, zadowolona, że nie spotkała byłego partnera, wreszcie poczuła się spokojna i z radością krzątała się między kuchenką a drewnianymi szafkami.

— Tak, sama — potwierdziła. — Wykorzystałam to, co już było, trochę dodałam od siebie. Lubię naturalność i prostotę, nie szukałam pałacu. Zależało mi na czymś zupełnie innym.

— Na czym? — Dziennikarski nawyk dopytywania dał o sobie znać.

— Najbardziej na spokoju — odparła Diana. — I zostawieniu za sobą przeszłości.

To stwierdzenie zaciekało Martynę.

Nie wygląda na taką, która miałaby za sobą trudne przejścia — pomyślała. — Raczej na romantyczkę, co to wierzy, że na wsi wiedzie się łatwe, cudowne życie...

Gospodyni postawiła przed gościem kubek z kawą, a sama usiadła naprzeciw. Przyglądała się ukradkiem Martynie i zauważyła, że w jej oczach widać smutek, który widziała już poprzednim razem. Nie chciała być wścibska, więc nie wypytywała.

Rozmawiały o tym, o czym mogą mówić osoby, które niewiele się znają: o pogodzie, okolicy. Chociaż tematy były błahe, to z każdą chwilą Wrońska czuła się swobodniej w towarzystwie ogrodniczki. Nieoczekiwanie w kuchni pojawił się rudy kocur, wskoczył jej na kolana i mrużeniem domagał się pieśczot. Martyna głaskała miękkie futerko i rozluźniała się coraz bardziej.

Diana napełniła kubki po raz drugi, potem poczęstowała gościa talerzem pomidorówki.

— Odkąd postanowiłam żyć tak, jak lubię, nie bawię się w wykwintne obiady — wyjaśniła. — Ale tym, co mam, chętnie się podzielę.

Powiedziała to zupełnie naturalnie i Martyna poczuła, że tego właśnie jej brakowało, tego potrzebowała: zwyczajnej rozmowy i bycia z kimś tak po prostu.

— Jak ty to robisz? — zapytała bez zastanowienia. — Jak ci się udaje być sobą i nie martwić się o to, co powiedzą inni?

Diana się uśmiechnęła.

— Ty też potrafisz — odpowiedziała. — Właśnie przed chwilą zupełnie spontanicznie przeszłaś ze mną na „ty”. A tak zupełnie poważnie, to nie wiem, co ci odpowiedzieć — zastanowiła się. — Chyba dopiero się tego uczę. Wiele lat straciłam na dostosowywanie się do kogoś, na próbach zadowolenia go, rezygnując przy tym ze swoich potrzeb. I w tym wszystkim zgubiłam siebie — wyznała. — Teraz usiłuję to odzyskać, chociaż nie zawsze jest łatwo. Ale się nie poddaję, bo zdałam sobie sprawę, że uzależnienie swojego szczęścia od zdania innych i rezygnowanie z siebie to nic dobrego.

Martyna słuchała z zainteresowaniem. W słowach nowej znajomej było coś, co trafiło głęboko do jej serca.

— Bycie sobą bywa bardzo kosztowne — przyznała lekko drżącym głosem.

— Nie bardziej niż budowanie jakiegoś wizerunku kosztem prawdziwej siebie — stwierdziła projektantka.

— Ludzie zawsze wykorzystują innych, jeśli tylko poczują, że mogą.

— Nawet jeśli, to nie wszyscy. — Diana uśmiechnęła się lekko. — Doskonale wiem, jak to boli, ale wiesz, co powiedział mi pan Stachu, ten rzeźbiarz? Że przeszłość już nie istnieje i trzeba o niej zapomnieć. Liczy się to, co robisz teraz, to jest twoje życie. Jeśli będziesz robić to szczerze i w zgodzie ze sobą, będziesz szczęśliwa. Tu, w środku. — Pokazała na serce.

Słyszając to, Martyna poczuła, że coś w niej pęka — ostatnia zaporą, dzięki której jakoś się trzymała. Słowa popłynęły same. Razem ze łzami.

Opowiedziała o wszystkim, co ją spotkało. A potem o sobie, swoich dziecięcych marzeniach i dążeniu do ich realizacji, o trudzie, o tym, co musiała ukrywać i jak działać, żeby osiągnąć cel. O rozczarowaniu, którego doświadczyła w zderzeniu z rzeczywistością.

Diana słuchała, nie przerywając. Doskonale wiedziała, jak to jest, gdy wali się świat, gdy wszystko, w co wierzysz, okazuje się ułudą i fałszem. Wiedziała też, że nie pomogą tu żadne słowa pociechy, a najlepszym wsparciem jest po prostu obecność.

Podła Martynie chusteczki i położyła dłoń na jej dłoni. A kiedy dziennikarka przestała płakać, gospodyni zaparzyła herbatę z dużą ilością cytryny.

— A jakiegoś wina nie masz? — Martyna pociągnęła nosem.

— Niestety nie. — Diana rozłożyła ręce. — Ale możemy iść na spacer. Tutejsze powietrze też daje dobrego kopa — rzuciła z uśmiechem. — A w lesie poprawia się nastrój.

— Tobiasz też tak mówi — mruknęła Wrońska. — Nie jestem przekonana, ale co mi zawadzi się przejść.

Nie poszły do głównego szlaku, Diana wybrała drogę przez pola i leśną ścieżkę. Dłuższy czas szły w milczeniu.

— Wiesz, ja chyba potrzebuję odciąć się na jakiś czas od wszystkiego, przemyśleć, co chcę robić dalej... — odezwała się w końcu Martyna.

— Rozumiem cię.

— A czy... — zawahała się na chwilę dziennikarka, jednak postanowiła powiedzieć to, co czuła. — Czy mogłabym dzisiaj przenocować u ciebie?

Diana nie spodziewała się takiego pytania, ale nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią.

— Oczywiście, nie ma problemu. Mnie też będzie przyjemnie spędzić z kimś wieczór. Zaczynam chyba przesadzać w rozmowach z Kociem — zażartowała.

— Dziękuję. — Wrońska blado się uśmiechnęła. — Wiem, że to może trochę... że mało się znamy...

— Daj spokój! Nie trzeba lat znajomości, żeby zrozumieć drugą kobietę. Wiem, co czujesz, więc jeśli mogę pomóc, to pomogę z radością. Ale powinniśmy wracać, robi się ciemno.

Kiedy zbliżały się do skraju lasu, w oddali, na ścieżce przed nimi, ukazała się jakaś postać. Na widok kobiet zatrzymała się na chwilę i zaraz znikła w lesie po drugiej stronie dróżki.

— Kto to? — zapytała Martyna. — Kobieta, sama, po zmroku, w lesie?

— To Greta, zielarka — wyjaśniła Diana. — Doskonale zna okolicę, nie musisz się o nią martwić.

I wszystko wie — dodała w myślach.

Po powrocie do domu przygotowała Martynie pośłanie na materacu, na którym spała tu pierwszej nocy. Martyna zapewniała, że to żaden problem. W pożyczonej od Diany koszulce ułożyła się na prowizorycznym łóżku i prawie natychmiast zasnęła.

Potrzebuje odpoczynku — pomyślała gospodyni.

Posprzątała w kuchni, a zanim się położyła, kupiła w sklepie internetowym wisiołek z czarnym turmalinem i rzemyk do jego zawieszenia.









**M**artyna weszła rano do kuchni, przeciągając się.

— Jak ci się spało? — zapytała ją Diana, która siedziała już przy stole i piła herbatę.

— Zaskakująco dobrze — odparła. — Szczególnie że od czasu tej afery prawie wcale nie mogłam spać.

— Organizm w końcu musiał się zregenerować.

— Myślę, że to twój dom i ten spacer tak na mnie podziałały. — Wrońska usiadła przy stole i potarła oczy.

— Ładny kubek.

— Sama zrobiłam.

— Serio?

— Tak, lubię garncarstwo. I tu wreszcie mogłam się tym zająć, jak zawsze chciałam. Kupiłam koło i piec, jestem samowystarczalna. Lepię, toczę, ozdabiam i wypalam — oznajmiła z zadowoleniem Diana.

— Ale numer! — ożywiła się Martyna. — Wiesz, ty jednak jesteś niesamowita!

— Po prostu jestem sobą, to wszystko. Chcesz kawy? A może herbaty?

— Wolalabym kawę. Ale mogę sobie zrobić sama. — Wrońska wstała i rozejrzała się po kuchni. — Już wystarczająco narobiłam zamieszania swoim pobytem.

— Proszę bardzo, wszystko znajdziesz w tej górnej szafce. — Diana wskazała głową, o którą chodzi. — Nie chcę się wtrącać, ale czy ktoś wie, że tutaj zostałeś? — zapytała delikatnie, gdy dziennikarka zaparzyła sobie napój i wróciła do stołu.

Miała na myśli tego operatora, Tobiasza. Z tego, co mówiła wczoraj Martyna, zorientowała się, że muszą być blisko, ale nie słyszała, żeby dziewczyna do niego dzwoniła.

— Rany! Tobiasz! — Reakcja Martyny upewniła Dianę, że jej domysły są prawdziwe. — Miałam do niego napisać wieczorem, ale tak szybko zasnęłam, że nie zdążyłam. Na pewno się martwi... — Pobiegła do sypialni i przyniosła iPhone'a. — Piętnaście nieodebranych połączeń, ostatnie o trzeciej nad ranem — stwierdziła zawstydzona. — Wyłączyłam dzwonki, żeby nie odbierać telefonów od takich niby-przyjaciół, którzy dzwonili, udając troskę, a tak naprawdę chcieli usłyszeć, jaka jestem załamana — wyjaśniła. — I zapomniałam.

— To dzwoń natychmiast — poradziła Diana, która wyobraziła sobie, jak bardzo zdenerwowany musiał być Tobiasz.

Martyna wybrała numer.

— Tak, to ja — powiedziała. — Bardzo cię przepraszam, miałam wyłączone dzwonki... — Słuchała przez chwilę. — Tak, wiem, bardzo mi przykro. Jestem w Świętej Katarzynie, u tej ogrodniczki Diany, która pracuje dla Wolińskiego. Pamiętasz? No, właśnie. U niej nocowałam. — Uśmiechnęła się do gospodyni. — Nie musisz przyjeżdżać, wszystko jest w porządku — zapewniła. — Naprawdę? Jak chcesz. Adres? — Spojrzała pytająco, więc Lisowska podała jej nazwę ulicy i numer domu, a Martyna go powtórzyła do telefonu. — Dobrze, będę na ciebie czekała. — Odłożyła telefon na stół i uśmiechnęła się przepraszająco do Diany. — Uparł się, że przyjedzie. Nie wiem, może mi nie wierzy?

— Myślę, że po prostu bardzo się o ciebie troszczy.

Pomyślała z odrobiną zazdrości o mężczyźnie, który rzuca wszystko i jedzie do kobiety, bo martwi się o nią.

— To co będziemy robić do tego czasu? — zapytała Martyna. — Zabrałam samochód, więc Tobiasz będzie musiał znaleźć jakiś sposób na dojazd tutaj. Myślę, że zajmie mu to trochę czasu.

— Na razie chyba powinnaś się ubrać — zaproponowała Diana.

Dziennikarka przyznała jej rację i z ubraniem pod pachą znikła w łazience. Gospodyni postanowiła w tym czasie odebrać pocztę elektroniczną, bo poprzedniego dnia nie miała czasu do niej zajrzeć. Włączyła komputer, otworzyła program pocztowy i sprawdziła skrzynkę odbiorczą.

Głośny okrzyk radości wywabił Martynę z łazienki, jeszcze nieubraną. Wyszła owinięta w ręcznik, który ledwie zasłaniał to, co zasłaniać powinien.

— Co się stało?! Wrzeszczysz, jakby cię ze skóry obdzierali.

— Udało się, udało! — Roześmiana Diana rzuciła się jej na szyję.

— Co się udało? Nic nie rozumiem...

Diana odsunęła się nieco i powachlowała twarz dłonią.

— Przepraszam, nie mogłam zapanować nad radością. Idź, załóż coś na siebie i wtedy ci wszystko opowiem.

Po chwili znowu usiadły przy stole.

— Widzisz, znajoma podsunęła mi pomysł organizowania warsztatów dla dzieci. Lepienie z gliny, czyli to, co potrafię — opowiadała gospodyni. — Wysłałam oferty do kilku biur organizujących wycieczki i właściwie już o tym zapomniałam. Myślałam, że nic z tego nie wyjdzie. A tu właśnie dostałam maila z informacją, że za dwa tygodnie mam przyjąć pierwszą grupę. Dwadzieścioro pięcioro czwartoklasistów będzie w mojej stodole lepić z gliny! Ale się cieszę!

— Znowu mnie zaskoczyłaś — powiedziała z uznaniem Martyna. — Co chwila pokazujesz mi swoje nowe talenty. Oczywiście gratuluję i cieszę się razem z tobą!

Oczy Diany błyszcząły, a twarz zaróżowiła się z emocji.

— Muszę się teraz dobrze przygotować. Jeżeli uczestnicy będą zadowoleni, to biuro może poleci mnie kolejnym grupom.

— Na pewno. Dobrze usłyszałam, że chcesz zorganizować warsztaty w stodole?

— Tak — potwierdziła Diana. — Tam jest dużo miejsca i w razie deszczu nie będzie problemu. Tu, w domu, nie pomieszczę tylu dzieci, prawda?

— Nietypowe miejsce doda jeszcze smaczku tym zajęciom. Pewnie wielu uczniów nawet nie wie, co to jest stodoła — przytaknęła Wrońska.

— Tylko że tam na razie niczego nie ma. — Po pierwszym wybuchu radości Diana zaczęła powoli zdawać sobie sprawę z realiów. — Planowałam, że zrobię stoły i jakieś ławy, ale nie sądziłam, że to nastanie tak szybko... — Zamyśliła się i zaczęła nerwowo pocierać ręką czoło. — Trzeba kupić jakieś drewno albo gotowe meble. Raczej sporo za to zapłacę. Gdybym wiedziała, że będą kolejni chętni, potraktowałabym to jak inwestycję, ale co, jeśli na jednej grupie się skończy? — rozważała.

Martyna machnęła ręką.

— Spokojnie, moja droga, poczekaj chwilę. Takie deski i stodoły to męska sprawa. Zaraz przyjedzie Tobiasz, to go zapytamy. Niech pomyśli i doradzi.

Diana nie była przekonana do tego pomysłu. Z jej doświadczeń wynikało, że mężczyźni tylko lubią mówić o męskich zajęciach, a kiedy przychodzi do konkretów, to kobiety muszą radzić sobie same. Dlaczego niby nauczyła się wbijać gwoździe, malować, a nawet udrażniać zapchany zlew?

Nie powiedziała tego głośno, lecz w myślach zastanawiała się, jak ogarnąć sprawę mebli na warsztaty.





**T**obiasz dojechał do domu Diany po dwóch godzinach. Zapukał do drzwi mocno, spokojnie. Diana stwierdziła, że tak może pukać ktoś energiczny, zdecydowany, lecz nienachalny.

— Proszę, otwarte! — krzyknęła.

Operator stanął w drzwiach.

— Dzień dobry, widzę, że dobrze trafiłem. — Uśmiechnął się sympatycznie, ale w jego oczach czaił się niepokój.

— Tak, bardzo dobrze — odpowiedziała.

— Jak się czuje Martyna? Czy wszystko w porządku?

— W jak najlepszym. — Wrońska wyszła z sypialni, podeszła do mężczyzny i pocałowała go w policzek.

— Napędziłaś mi niezłego stracha — powiedział z wyrzutem. — Bałem się, że miałaś wypadek albo że...

— Nie żartuj! Sądziłeś, że coś sobie zrobię?

— Ostatnio nie jesteś w najlepszej formie — odparł oględnie.

— Niech pan nie stoi w progu — włączyła się Diana. — Zapraszam dalej.

— Może od razu załatwicie te oficjalne sprawy i będziecie mówić sobie po imieniu? — zaproponowała dziennikarka.

— Nie widzę problemu. — Diana podeszła i wyciągnęła rękę do Tobiasza.

— Będzie mi bardzo miło. — Mężczyzna z uśmiechem ucisnął jej dłoń.



— To teraz siadaj. — Martyna wskazała Tobiaszowi miejsce przy stole.  
— Bo mamy tu dla ciebie zadanie.

— Martyna, daj spokój! — zaproponowała gospodyni.

— Nawet nie próbuj — mruknął z uśmiechem Tobiasz do Diany. —  
Znam ten ton. Martyna coś postanowiła i nie odpuści.

Wrońska się roześmiała.

— Widzisz, Diana, jak on mnie dobrze zna?

— W takim razie zrobię herbaty — zdecydowała gospodyni.

Zanim woda zdążyła się zagotować, Martyna streściła Tobiaszowi historię zakupu domu, powiedziała o hobby Diany i planowanych warsztatach w stodole.

— Trzeba tu męskiego oka — zakończyła. — Liczymy na ciebie.

Tobiasz słuchał uważnie i przyglądał się Dianie.

— Widzę, że tu sporo wyzwań było w ostatnim czasie. — Rozejrzał się po pomieszczeniu. — Muszę powiedzieć, że domek wygląda jak marzenie.

Diana ucieszyła się z pochwały.

— Jeszcze mam sporo do zrobienia, ale nie potrzebuję willi z basenem.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Dobra, to ja pójdę do tej stodoły i zobaczę, co się da zrobić. A wy sobie porozmawiajcie.

— Widzisz, mówiłam, że go to zainteresuje — ucieszyła się Martyna. — Uwielbia podobne klimaty, w głębi duszy prawdziwy survivalowiec i mężczyzna-drwal.

Tobiasza nie było dłuższy czas i Diana chciała iść sprawdzić, co robi, ale Martyna ją powstrzymała. Wreszcie wszedł do kuchni, zziębnięty, ale widać było, że zadowolony.

— No, jest dobrze! Trochę już tam ogarnąłem na środku — poinformował. — Poproszę mocną kawę i zreferuję, jak to widzę.

Diana szybko spełniła jego prośbę, ciekawa relacji.

— Budynek jest stabilny, więc żadna katastrofa się nie wydarzy — powiedział Tobiasz, gdy umył ręce i zasiadł do stołu. — Są tam w środku jakieś stare maszyny, trzeba je obejrzeć i ewentualnie zabezpieczyć, żeby

żaden dzieciak nie zrobił sobie krzywdy. A w przyszłości można je pomalować i wykorzystać jako dekorację sali warsztatowej — zaproponował.

Dianie spodobał się ten pomysł, była też wdzięczna, że mężczyzna pomyślał o bezpieczeństwie dzieci, bo jej samej to umknęło.

— Poza tym znalazłem pod ścianą po lewej stronie całą stertę starych desek. Poprzedni właściciel musiał coś rozebrać, może jakąś szopę. Deski są porządne. Trochę stare, ale to dodaje im tylko stylu. Śmiało można z nich pozbijać stoły i ławy. Dwa dni roboty i będą gotowe.

— Bardzo ci dziękuję! — Diana z podziwem popatrzyła na Tobiasza. Zaimponował jej konkretnym podejściem do rzeczy. — Jutro popytam ludzi o jakiegoś stolarza. Dobrze, że drewno się znalazło, to już dla mnie wiele, bo nie przewidziałam tego wydatku w budżecie. — Wstała i klasnęła w ręce. — To co? Chyba pora na obiad? Macie do wyboru przedwczorajszą pomidorową albo jajecznicę z prawdziwych wiejskich jajek.

— Chyba nie będziemy ci dłużej przeszkadzać. — Tobiasz spojrzał pytająco na Martynę. — Wydaje mi się, że niektórzy już trochę nadużyli twojej gościnności. Wracamy do domu? — zapytał dziennikarkę.

— Widzisz, Tobiasz, ja mam inny plan — odparła Martyna.

— Pomidorówka czy jajecznica? — Diana mrugnęła ze śmiechem.

— To za chwilę. Bo chciałam cię o coś zapytać. — Dziewczyna popatrzyła Dianie w oczy. — Czy mogłabym u ciebie zostać jeszcze przez kilka dni? Wczoraj wysłuchałaś mnie i pomogłaś mi wrócić do równowagi, ale czuję, że nie powinnam teraz wracać do domu. Prawdę mówiąc, trochę się boję — wyznała szczerze. — Potrzebuję chwili, żeby się nad sobą zastanowić. Jak to powiedziałaś, zamknąć przeszłość. Może też pomyśleć o tym, co dalej... — Wrońska nie odrywała wzroku od Diany, czekając na jej decyzję. — Oczywiście zapłacę za pobyt — dodała szybko. — Możesz mnie potraktować jako letniczkę, a przy okazji będziesz miała na tego stolarza od ławek.

W pierwszej chwili Diana nie wiedziała, co odpowiedzieć, i w kuchni zapanowała cisza. Gospodyni spojrzała na Martynę, przypomniała sobie

wczorajszy wieczór, i uzmysłowiła sobie, że jeszcze niedawno sama czuła się podobnie.

Wtedy w Jagodnie Tamara przyjęła mnie bez słowa. I nie chciała nic w zamian — pomyślała. — Nie wiem, co byłoby, gdyby mi wtedy odmówiła...

— Możesz zostać, nie widzę w tym żadnego problemu — powiedziała do dziennikarki. — Ale od razu mówię, że nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy. Czuj się moim gościem do czasu, aż uznasz, że jesteś gotowa wrócić do domu. A teraz pytam po raz ostatni: pomidorówka czy jajecznicą?

Martyna wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Sytuację uratował Tobiasz.

— Jajecznicą — powiedział. — Najlepiej prosto z patelni.





**T**obiasz zabrał samochód Martynty i wyjechał wieczorem, a kobiety spędziły kolejne godziny na rozmowach. Dziennikarka wypytywała Dianę o życie na wsi, oglądała jej prace i słuchała opowieści o planach urządzenia ogrodu. Sama niewiele mówiła o sobie, a Diana nie naciskała. Wiedziała, że Martyna potrzebuje najpierw poukładać sobie wszystko w głowie.

Następnego ranka obudził ją ucisk w klatce piersiowej. Wystraszona otworzyła oczy i zobaczyła, że to Kocio usiadł na niej i wpatruje się bursztynowymi oczami.

— Zwariowałeś, kocie! — Delikatnie zepchnęła go na bok. — Myślałam, że mam zawał.

Podniosła się i zobaczyła, że na posłaniu obok nie ma Martynty. Wstała więc i poszła do kuchni.

— Nareszcie! — przywitała ją dziennikarka. — Czekam z poranną kawą na ciebie. Chciałam się jakoś odwdzińczyć za gościnę.

— To miłe, chociaż ja rano piję herbatę. — Diana ziewnęła.

— Nie wiedziałam...

— Spokojnie, mogę zrobić wyjątek. Ale naprawdę nie musisz czuć się do czegokolwiek zobowiązana. Rób, na co masz ochotę. Idź na spacer albo poleż sobie. Ja też muszę popracować, więc jakoś to pogodzimy.

— Ale śniadanie ze mną zjesz? — zapytała Martyna, stawiając na stole duży talerz z kanapkami i dwa mniejsze. — Zrobiłam różnorodne, mam nadzieję, że trafiłam w twoje smaki.

— Pewnie, że zjem.

Kiedy pałaszowały kolejne kromki, zadzwonił telefon.

— To Woliński. — Diana zerknęła na wyświetlacz. — Kompletnie zapomniałam, że miałam dziś do niego pójść! — Przełknęła kęs chleba i odebrała. — Panie Krzysztofie, ja wiem, że byliśmy umówieni, ale zasnęłam — wyjaśniła bez zbędnych wstępów.

Mężczyzna coś odpowiedział i projektantka skinęła głową.

— Jasne, będę za pół godziny — odpowiedziała. — Porozmawiamy o tym. — Rozłączyła się i wstała. — Muszę się zbierać i lecieć. Woliński na mnie czeka — oznajmiła Martynie.

W kwadrans wzięła szybki prysznic i ubrała się.

— Jeśli będziesz wychodziła, to klucze zostaw mi pod doniczką, przy ławce przed domem — poprosiła, wsuwając stopy w tenisówki.

— Ale ja idę z tobą — odparła Martyna. — Chętnie zobaczę twój kompostownik i miejsca na tulipany. A i z gospodarzem z przyjemnością zamienię kilka słów. Tak normalnie, bez filmowania.

— Skoro tak, to chodźmy — popędziła ją Diana.





**D**otarły do willi w zadeklarowanym przez Dianę czasie. Woliński siedział na tarasie i pił kawę.

— O, widzę, że muszę dolać wody do ekspresu — powiedział na widok gości. — Dzień dobry, pani redaktor!

— Już nie redaktor, ale dzień dobry — odparła z uśmiechem Martyna.

I tylko Diana dostrzegła, że mówiąc to, nerwowo oblizwała wargi. Przyznanie się do porażki, nawet w tak zawołowanej formie, wiele ją kosztowało.

Biznesmen zaprosił je do stołu i przyniósł kawę.

— Co do pani kalkulacji to pisałem, że ją akceptuję — powiedział do Diany, gdy już wymienili grzecznościowe formułki o pogodzie i zbliżającej się jesieni. — Przelew wyjdzie dzisiaj, więc jutro pieniądze powinny być u pani na koncie.

— Dziękuję.

— To ja dziękuję. Natomiast chciałem z panią porozmawiać o jeszcze jednej sprawie... — Zawahał się i rzucił krótkie spojrzenie na Martynę.

— Ja mogę przejść się po ogrodzie — zaproponowała dziennikarka, która zauważyła jego wahanie. — Nie chciałabym przeszkadzać...

— Nie trzeba — zapewniła Diana. — Mnie nie przeszkadza twoja obecność.



— Właściwie nie chodzi o żaden sekret — powiedział Krzysztof. — Po prostu dotyczy pani Diany, więc chciałem, żeby czuła się komfortowo. Ale skoro nie ma nic przeciwko temu, żebym mówił otwarcie, to będzie mi miło jeśli pani zostanie. — Uśmiechnął się do Martyny. — Pani Diano, pamięta pani, że rozmawialiśmy o pani piecu? — zwrócił się do ogrodniczki.

— Tak, pamiętam. Ale nadal nie zabrałam się za zgłębienie tego tematu, bo mam pilniejsze sprawy. A jak panu mówiłam, wymiana ogrzewania to projekt na kolejny rok, więc na razie...

— Nie może pani całą zimę rąbać drewna — przerwał jej zdecydowanym tonem mężczyzna. — Naprawdę nie zdaje pani sobie sprawy z tego, na co się porywa.

— Dawniej wszyscy tak żyli, rąbali drwa, nosili opał i jakoś było — odparła. — Pewnie niejedna kobieta sobie z tym radziła, to dlaczego uważa pan, że ja nie zdołam?

— Nie twierdzą, że sobie pani nie poradzi. Tylko dlaczego się męczyć, skoro są nowoczesne rozwiązania?

— Choćby dlatego, że się nie ma kasy — powiedziała wprost, trochę zła, że Woliński uparcie wraca do tematu. Przecież już mu to tłumaczyła.

— Tak, rozumiem. — Pokiwał głową. — I wydaje mi się, że znalazłem rozwiązanie. Otóż dam pani piec razem z grzejnikami i wszystkim innym, co niezbędne do instalacji, oraz ekipę, która to zrealizuje.

Diana otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Woliński uciszył ją, podnosząc dłoń.

— Oczywiście nie za darmo. W zamian zrobi pani projekt na zielen wokół siedziby mojej firmy i w biurowcu, a potem ten projekt zrealizuje. Oczywiście zakup roślin jest po mojej stronie.

Ogrodniczka zmarszczyła czoło. To była niespodziewana i bardzo kusząca propozycja. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Woliński jest tak wspaniałomyślny. I nie wiedziała też, czy wartość instalacji centralnego ogrzewania wraz z robocizną jest zbliżona do ceny projektu i realizacji zieleni. Musiała to sprawdzić. Nie chciała mieć poczucia, że ktoś jej coś daruje z litości.

— Zastanowię się i dam panu odpowiedź za kilka dni, dobrze?

— Nad czym tu się zastanawiać! — wtrąciła się Martyna. — Przecież to wspaniały barter! Wszyscy będą zadowoleni, każdy da to, co ma. Cudo!

Woliński się uśmiechnął.

— W takim razie niech pani przekona koleżankę, żeby się zgodziła. — Wstał i skinął głową. — Teraz już panie pożegnaj, bo muszę jechać do firmy. Pani Diano, czekam na potwierdzenie, żeby zarezerwować ekipę do montażu. Do widzenia!

— Chyba nie zamierzasz odmówić? — wyszeptała Martyna, zanim jeszcze doszedł do bramy.

— Na razie to biorę się do pracy — zbyła ją Diana. — A ty lepiej tu zostań. Z tego, co mówiłaś, nie odróżniasz kwiatów od chwastów, więc lepiej, żebyś nie próbowała pomagać.

Odeszła w stronę klombów, a dziennikarka szybko pobiegła za Wolińskim.

— Panie Krzysztofie! — zawołała, dobiegając do bramy.

Mężczyzna wsiadał już do samochodu, ale usłyszał ją i zaczekał.

— Przepraszam, że pana zatrzymuję, ale muszę panu jeszcze coś powiedzieć. Właściwie po to tutaj przyjechałam...

— Słucham? — zainteresował się Woliński.

— Przykro mi, ale ten materiał, który kręciliśmy o panu, niestety się nie ukáže. — Postanowiła mówić bez zbędnych wstępów.

— Nic nie szkodzi. — Biznesmen się uśmiechnął. — Prawdę mówiąc, to wcale mi na tym nie zależało. Po prostu nie dała mi pani szans na odmowę. — Mrugnął żartobliwie.

— Naprawdę? — ucieszyła się Martyna. — Nie będzie pan miał do mnie o to żalu? Nie chciałabym...

— Proszę już o tym nie myśleć. — Machnął ręką. — Do widzenia!

Wrońska odetchnęła z ulgą. Nie dosyć, że Woliński nie miał żadnych pretensji, to jeszcze nie musiała nawet się tłumaczyć. Uspokojona wróciła na taras, żeby dopić kawę.





Po południu Diana usiadła do komputera, przez ostatnie dni trochę zaniedbała pracę. Dużo się działo, to prawda, ale zleceniodawcy czekali na projekty i musiała dotrzymać umówionych terminów.

Pracowała przez kilka godzin i tak ją to pochłonęło, że prawie zapomniała o obecności Martyny. Dziennikarka w ogóle się nie odzywała, więc w domu panowała cisza, co sprzyjało koncentracji.

Kiedy Diana postanowiła zrobić sobie przerwę, zobaczyła, że jej gość siedzi na posłaniu i w zamyśleniu patrzy gdzieś w dal.

— Hej, widzę, że pochłonęły cię rozmyślenia — zagadnęła dziennikarkę.  
— Może dla równowagi coś zjemy i pogadamy?

— Nie jestem głodna — odparła Martyna, nawet nie ruszając się z miejsca.

Może potrzebuje być sama — stwierdziła Diana i poszła do kuchni.

Zjadła kolację, a potem zajrzała do pracowni. Usiadła przy kole i położyła na nim kawałek gliny. Właściwie nie miała żadnego planu, po prostu poczuła potrzebę tworzenia, dotknięcia wilgotnej masy i nadania jej kształtu. Zaczynała rozumieć, o czym mówił pan Stach, gdy opowiadał o swoim rzeźbieniu. To silne pragnienie nawiedziło ją po raz pierwszy, lecz miała nadzieję, że nie ostatni. Było coś magicznego w takim spontanicznym działaniu i twórczym przymusie, który pcha do działania mimo braku konkretnej koncepcji.

To zupełnie inaczej niż z ogrodami, tam trzeba wszystko zaplanować — pomyślała. — Choć oczywiście można stworzyć kwietną łąkę, rzucając nasiona gdzie popadnie. A potem dopiero dowiadujesz się, co wzeszło i zakwitło. — Spodobało jej się to porównanie.

Włączyła koło i przymknęła oczy. Dotknęła gliny powoli, delikatnie...

— Co to będzie? — usłyszała głos Martyny.

Diana otworzyła oczy. Nastrój prysł.

Widocznie tak miało być. — Starła się nie mieć pretensji.

— Miałam ochotę się odprężyć.

— To naprawdę ci pomaga?

— Lubię to.

— Może ja też mogłabym spróbować?

Diana pokiwała głową.

— Dlaczego nie. Siadaj, pokażę ci, jak to robić.

Ustąpiła miejsca dziennikarce i krótko wyjaśniła zasady pracy na kole.

— Tylko nie licz, że od razu wyjdzie ci się wielki wazon — zastrzegła lojalnie. — Ja musiałam sporo ćwiczyć, zanim udało mi się stworzyć coś konkretnego.

Martyna zaczęła swoją pierwszą pracę. Starła się wykonywać polecenia Diany, słuchała jej sugestii, ale glina wciąż nie chciała z nią współpracować. Kiedy już wydawało się, że nabiera pożądanego kształtu, nagle ścianki się zapadały i dziewczyna musiała zaczynać od początku.

Diana cierpliwie zachęcała do kolejnych prób, ale po czwartej Martyna gwałtownie wstała.

— To nie dla mnie — powiedziała.

— Do tego trzeba cierpliwości.

— Jestem zbyt rozdrażniona, żeby myśleć o wazonikach — odparła ze złością. — Zawaliło mi się życie, a ty każesz mi być spokojną! Nie mam ochoty na nic i niby jakiś wazon ma to zmienić? Przecież to śmieszne!

— Martyna, ja naprawdę rozumiem, co teraz przeżywasz. Też miałam chwile załamania, wiem, że jest ciężko...

— Co ty wiesz! Zresztą uważasz, że to ma mnie pocieszyć? — Wrońska wydeła wargi i Diana zobaczyła przed sobą taką Martynę, jaką widziała przy pierwszym spotkaniu.

Wciąż walczy ze sobą — pomyślała z troską. — Nic nie zdziała, dopóki nie przestanie.

Dziennikarka nerwowymi ruchami wytarła dłonie i wyszła z pracowni.

Gdy Diana posprzątała i wróciła do sypialni, zastała ją owiniętą w koce aż po czubek głowy i odwróconą w stronę ściany. Nie zamierzała jej przeszkadzać. Wiedziała, że najlepiej poczekać.





Śniadanie jadły w milczeniu. Diana uznała, że poczeka, aż dziennikarka sama zacznie rozmowę.

Kiedy Martyna poszła do łazienki, a Diana zaczęła sprzątać po posiłku, do drzwi zapukał Tobiasz.

— Cześć! — przywitała go z uśmiechem gospodyni.

Polubiła go nie tylko za to, że był wesoły i sympatyczny, ale przede wszystkim za to, jak traktował Martynę. Nie знаła wcześniej mężczyzny, który tak odnosiłby się do partnerki i z takim spokojem i wyrozumiałością znosił jej trudny czas.

— Cześć! Jak Martyna?

I proszę, przede wszystkim pyta o nią — pomyślała.

— Wczoraj rano miała dobry humor, ale wieczorem chyba znowu złapała doła — zrelacjonowała Diana. — Dzisiaj jeszcze nie powiedziała ani słowa. Napijesz się czegoś?

— Poproszę herbatę, jeśli to nie problem. — Usiadł przy stole i oparł łokcie na blacie. — No tak, w domu też podobnie się zachowywała. Nie wiem, może ty spróbuj ją namówić na wizytę u lekarza... — poprosił Dianę.

— Mogę spróbować, ale wydaje mi się, że Martyna po prostu musi dojść do tego, co jest dla niej ważniejsze: własna urażona ambicja i chęć zemsty



czy znalezienie nowej drogi do szczęścia — przypuszczała Diana. — To nie są łatwe sprawy, nie ma co oczekiwać, że załatwi to w dzień czy dwa.

Tobiasz popatrzył na nią z zaciekawieniem.

— Fajnie to powiedziałaś. Tak prosto, ale mądrze.

— Wiem, o czym mówię, może dlatego. — Uśmiechnęła się lekko. — Ja już mam przełom za sobą, ale nadal miewam momenty kryzysowe. Cóż, życie bywa trudne...

Martyna właśnie wyszła z łazienki. Na widok Tobiasza zmarszczyła brwi.

— A ty co tu robisz? — zapytała chłodno. — Przyjechałeś sprawdzić, czy ześwirowałam?

— Otóż nie — odparł spokojnie. — Przyjechałem, żeby zbić stoły i krzesła w stodole.

— Słucham? — zdziwiła się Diana.

— Pomyślałem, że skoro gościsz Martynę, ja w ramach wdzięczności pobawię się w stolarza. Lubię takie wyzwania, choć nie ręczę, że będzie idealnie.

— Dziękuję, nie musi być idealnie, naprawdę! — ucieszyła się Diana. — Nie masz pojęcia, jaką mi niespodziankę zrobiłeś!

— Podziękujesz, jeśli po warsztatach nadal będą się trzymać kupy. Ale jeśli mam coś zrobić, to na pewno nie siedząc przy stole. Dziękuję za herbatę. — Tobiasz odstawił pusty kubek. — Idę do samochodu po narzędzia.

Kiedy wyszedł, Diana poszła do sypialni, gdzie Martyna znowu leżała na materacu.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że Tobiasz zajął się tymi meblami?

— A róbcie sobie, co chcecie — mruknęła dziewczyna i odwróciła się do Diany plecami.





— Widzę, że wolisz być sama.

Diana czuła się trochę nieswojo w towarzystwie milczącej Martyny. Niby mogła nie zwracać na nią uwagi, ale chciała jej jakoś pomóc. Tyle że trudno pomagać komuś, kto tej pomocy nie chce. Narzucanie się wydawało się złym rozwiązaniem. W końcu stwierdziła, że najlepiej będzie, jeśli wyjdzie z domu.

Przejdę się, ułożę w głowie plan warsztatów, wymyślę, co dzieci będą lepiły — postanowiła. — A potem wrócę i zrobię obiad. Tobiasz na pewno będzie głodny, pracuje fizycznie. A Martyna? Cóż, jeśli będzie chciała, to zje, a jeśli nie, to trudno.

— Idę na spacer — poinformowała, choć nie wiedziała, czy dziennikarka ją słyszy, czy też zasnęła.

Poszła tą samą drogą, którą spacerowała ostatnio z Martyną. Gdy tylko doszła do ostatniego domu, z bocznej dróżki wyszła Anna. Choć nie uradowała się na widok nauczycielki, grzecznie się przywitała:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry! A pani dokąd się wybiera?

Ciekawe, na jakiej podstawie uważa, że ma prawo mnie wypytywać? — pomyślała Diana. — I to takim tonem.

— Idę na spacer — odpowiedziała krótko.

Kobieta rozejrzała się niespokojnie, jakby sprawdzając, czy nikt jej nie słyszy. Złapała Dianę za rękę i nachyliła się w jej stronę.

— Niech pani tam nie chodzi — wyszeptwała. — Tam jest dom tej czarownicy.

Diana odsunęła się o krok, przestraszona zachowaniem kobiety.

— A pani dzisiaj nie pracuje? — zapytała ostrożnie.

— Źle się czuję i mam kilka dni zwolnienia. — W jednej chwili Anna zaczęła zachowywać się zupełnie normalnie. — Właśnie wracam od lekarza.

— W takim razie życzę szybkiego powrotu do zdrowia — powiedziała, starając się zachować przyjazny ton.

— Naprawdę nie radzę — powiedziała nauczycielka, patrząc w stronę lasu. — Nikt jeszcze dobrze nie wyszedł na kontaktach z nią. Nikt. A już na pewno nie żadna kobieta — powiedziała to z jakimś głębokim smutkiem i odeszła bez pożegnania.

Czy ona przypadkiem nie ma problemów psychicznych? — zastanowiła się Diana. — Te zmiany zachowania u niej są naprawdę dziwne. Ale skoro jest nauczycielką, to chyba musiała przejść badania. Zresztą ktoś zauważyłby, gdyby coś było nie tak...

Popatrzyła na dom wskazany przez Annę. Stał tuż pod lasem, w oddaleniu od pozostałych. Z daleka wydał jej się podobny do tego, w którym mieszkała. Nie był jednak z zewnątrz otynkowany, widać było drewniane belki, szerniałe przez lata na słońcu, śniegu i wietrze. Z komina unosiła się cienka nitka dymu — znak, że ktoś był w środku i gotował.

Czyżby nie miała kuchenki elektrycznej? — zdziwiła się Diana. — Bo przecież chyba jeszcze nie ogrzewa?

Powoli, spacerowym krokiem, podeszła bliżej, prawie pod sam płot. Coś ciągnęło ją tam mimo ostrzeżeń Anny. Była ciekawa, jak mieszka ta, którą tyle osób uważało za inną. Czy sama skazała się na życie w oddaleniu, czy też została do tego zmuszona?

Chatka miała pomalowane na biało framugi okien, na drzwiach wisiał wieniec z roślin, których Diana nie znała. Podwórze było zamiecione,

czyste, płot nieco przechylony, ale nie brakowało w nim ani jednej źerdzi. Wzdłuż ogrodzenia rosły wysokie słoneczniki i malwy.

Też takie będę miała — pomyślała Diana.

Właściwie gdyby nie ostrzeżenie, do głowy by jej nie przyszło, że właśnie tu mieszka czarownica. Domek bardzo jej się podobał, był zadbany, ładny, budził dobre emocje.

— A powinna być pokrzywiona chatka na kurzej nóżce?

Odwróciła się, słysząc głos za plecami, i stanęła oko w oko z Gretą.

Czy ona czyta w myślach?! — wystraszyła się Diana.

— Nie, skąd, wcale tak nie myślałam. — Z wrażenia zapomniała o powitaniu.

— Ależ myślałaś, nawet jeśli nie dosłownie. — Kobieta nie dała się zwieść jej zapewnieniom. — Każdy ma takie skojarzenie, gdy myśli o domu czarownicy.

A więc wie, że tak ją nazywają... — Diana nie wiedziała, jak powinna zareagować.

— Bardzo ładny dom — powiedziała w końcu. — I piękne kwiaty.

— Nic niezwykłego, kiedyś na wsi tylko takie rosły — odparła Greta.

Miała na sobie długą brązową spódnicę i jasną bluzkę, z którą kontrastowały sznurki kolorowych koralii. W ręku trzymała duży wiklinowy kosz pełen roślin.

— Szkoda, że teraz ludzie wolą tuje i magnolie — powiedziała zupełnie szczerze Diana. — Uważam, że powinno się zachowywać spójność ogrodu z krajobrazem.

— Ty tak robisz, prawda?

No tak, na pewno widziała ogród Wolińskiego — domyśliła się projektantka.

— Staram się. I u siebie też tak zrobię, będą rosły malwy i słoneczniki, a poza tym rudbekie, astry, chabry i maki — wyliczała z zapalem jak zawsze, gdy mówiła o czymś, co ją pasjonowało.

— Będzie odstawał od okolicznych ogródków — zauważyła Greta.

— Mnie to nie przeszkadza.

— Ale innym może.

— A to mnie niewiele obchodzi — odparła stanowczo młoda kobieta. — Zbyt długo starałam się przypodobać innym. Wiem już, jak to się kończy i że nic dobrego z tego nie wynika.

— Odważne słowa. — Greta się uśmiechnęła. — Jeśli nie są tylko wynikiem młodzięczego zarozumiałstwa, lecz głębokich przemyśleń, to można powiedzieć, że mądre.

— Mam nadzieję, że to drugie.

Czarownica popatrzyła na Dianę uważnie.

— Nieczęsto spotyka się ludzi, którzy nie są pewni swej nieomyślności i potrafią wątpić we własne opinie. Szczególnie jeśli dotyczą ich samych.

— Często tak mam — przyznała otwarcie Lisowska. — Ale nie do końca jestem pewna, czy to coś dobrego, czy raczej brak pewności siebie.

— Pewności siebie ci nie brakuje, skoro zdecydowałaś się tutaj zamieszkać. Na dodatek zupełnie sama.

— A to znowu wynikało z chęci rozpoczęcia nowego życia. I nie było wynikiem głębokiej refleksji, tylko spontanicznej decyzji. Której jednak nie żałuję.

Greta przełożyła koszyk na drugie przedramię.

— Skoro już tak miło nam się rozmawia, to może wejdiesz do środka? — zaproponowała. — Zobaczysz, jak mieszka czarownica. To chyba kusząca propozycja? — Uśmiechnęła się lekko, mrużąc oczy.

Diana zawahała się przez moment.

Nie no, przecież się nie boję — zganiła samą siebie.

— Bardzo chętnie — powiedziała odważnie.

Dom Greta nie miał werandy, ale za drzwiami znajdowała się sień, w której gospodyni zdjęła kalosze.

Diana także chciała zdjąć buty, ale gospodyni ją powstrzymała.

— Nie trzeba. Ja ściągam kalosze, żeby niepożądanych gości z lasu do domu nie wnieść.

— Tak, słyszałam, że kleszczy jest dużo.

— I będzie coraz więcej — oparła Greta, wchodząc do kuchni. — Ludzie zabierają naturze coraz więcej, więc natura się broni. Stąd kleszcze, żmije wychodzące na podwórka. Chcą odebrać to, co im zabrano, chcą żyć.

Diana podążyła za nią. Nie chciała zachować się niegrzecznie, więc zerkała tylko dookoła.

Po wizycie tutaj chyba każdy potwierdziłby, że był u czarownicy — pomyślała.

W całym pomieszczeniu królowały zioła. Powiązane w pęczki suszyły się na ścianach i pod sufitem. Na dużym stole także było ich mnóstwo, a oprócz tego blat zapełniały słoiczki i butelki w różnych kształtach i rozmiarach.

Pod ścianą, na środku, stała kafłowa kuchnia z piecem, a na półkach obok niej w równym rzędzie moździerze. Pod nimi, na drewnianych hakach, wisiały miedziane rondelki i patelnie.

A jednak ma kuchenkę elektryczną. — Diana zauważyła urządzenie w dalszym kącie pomieszczenia.

— Napary najlepsze są, gdy je gotować na prawdziwym drewnie — usłyszała komentarz Greta do swoich myśli.

Zerknęła spłoszona na gospodynię.

— Nie jestem jasnowidzką — uspokoila ją kobieta. — Wystarczy uważnie patrzeć, a wiele się zobaczy. To wszystko. — Wyciągnęła spod stołu drewniany taboret i przetała go ścierką. — Siadaj sobie — powiedziała.

Diana posłusznie usiadła.

Przy nogach Greta pojawił się czarny kocur i z głośnym mruzeniem zaczął ocierać się o jej spódnice.

— Tak, wróciłam. — Pochyliła się, żeby go pogłaskać.

Jeszcze tylko jakiś nietoperz albo kruk i będzie komplet — pomyślała Diana. — Gdyby to zobaczyła Anna, to chyba dostałaby zawału. A może widziała i stąd jej nastawienie?

— I co? Jest tak, jak sobie wyobrażałaś? — Pytanie Greta znowu ją zaskoczyło.

— Niczego sobie nie wyobrażałam.

— Ale chciałaś zobaczyć dom czarownicy. — Kobieta z siwym warkoczem postawiła na kuchni ronderek. — Nie musisz odpowiadać. Skoro nogi cię tu przywiodły, to chciałaś.

— Wcześniej też tędy chodziłam, ale nie wiedziałam, że pani tu mieszka. Dopiero dzisiaj ktoś mi powiedział.

— Domyślałam się, że ku przestrodze. Większość miejscowych omija mój dom, ale prawdę mówiąc, wcale mnie to nie martwi.

Wyjęła z szafki pękaty kubek z namalowanym różowym kwiatkiem i wlała do niego zawartość rondelka. Przeniosła naczynie na stół i postawiła przed Dianą.

— Na zdrowie! — powiedziała, robiąc dłonią ruch zachęcający do picia. — Najlepiej pić gorące, tylko ostrożnie, małymi łykami.

Diana, delikatnie podtrzymując kubek, żeby nie poparzyć palców, podniosła go do ust i przełknęła kilka kropel naparu. Był gorzki, ale przyjemnie spłynął do gardła, zostawiając na ustach przyjemny, choć trudny do określenia smak.

— Nie boisz się pić tego, co podała ci czarownica?

Greta wbiła w nią hipnotyzujący wzrok i Diana znowu poczuła, jakby czas się zatrzymał i powietrze zgęstniało.

— Nie wiem — odparła szczerze. — Ale myślę, że gdyby pani chciała dla mnie źle, to nie ostrzegałaby mnie pani i nie dawała rad. A skoro tak, to chyba nie chce mnie pani otruć.

— Rzeczywiście, nie mam takiego zamiaru. — Spojrzenie Greta zmieniło się i teraz starsza kobieta wyglądała na rozbawioną. Wyciągnęła drugi taboret i usiadła obok Diany. — Jak ci się tutaj mieszka?

— Nie narzekam.

— Tak, to odpowiedź z gatunku tych, które nic nie mówią. — Greta pokiwała głową. — Ale ja się takimi nie zadowalam. Jeśli już zdecyduję się zapytać, to liczę na coś więcej niż zdawkowy slogan. A więc?

Diana upiła kilka łyków naparu, zastanawiając się, co powiedzieć.



— Prawdę mówiąc, było już dobrze — powoli dobierała odpowiednie słowa. — Ale dzisiaj poczułam, że chyba coś wymyka mi się spod kontroli.

— A nie powinno się wymykać? Chcesz panować nad wszystkim? To trudne zadanie, zaryzykuję nawet stwierdzenie, że niewykonalne.

— Nie w tym rzecz, że wszystko. Chodzi o to, że ledwie jako tako poukładałam własne emocje i zaczęłam czerpać z tego radość, a tu pojawiła się u mnie Martyna. To dziennikarka, którą ledwie znałam, ale jakoś tak wyszło, że się zbliżyliśmy.

— Może potrzebujecie siebie nawzajem? — podpowiedziała Greta.

— Sama nie wiem. — Diana wzruszyła ramionami. — Bo widzi pani, ona ma kłopoty, jest załamana, potrzebuje wsparcia. I chciała u mnie dojść do siebie. Zgodziłam się i teraz mam wrażenie, że jestem obca we własnym domu. — Zamrugnęła gwałtownie, by przepędzić niechciane łzy.

— Poczułaś się niepotrzebna? Odrzucona?

Diana otarła oczy dłonią.

— Trochę tak — przyznała. — Ale bardziej martwi mnie to, że nie potrafię jej pomóc. Jakbym zawiodła jej oczekiwania.

Greta przesunęła kubek bliżej Diany, a ta posłusznie wypila resztę naparu.

— Nie odpowiadasz za czyjeś oczekiwania wobec ciebie. — Czarownica popatrzyła gdzieś ponad głowę młodszej kobiety. — To są ich wyobrażenia, ich żądania. I ich rozczarowania. Dla ciebie najważniejsze powinno być coś innego.

— Co?

— Czy to, co robisz, wypływa z twojego serca, i czy robisz to najlepiej, jak potrafisz. Jak jest w tym przypadku?

— Na oba pytania mogę odpowiedzieć twierdząco. — Diana pociągnęła nosem.

— W takim razie wszystko jest w porządku. A co do twojej znajomej to ona ma własną energię i własną drogę. Może brać, co jej oferujesz, albo to odrzucać. To jej wybory i ona doświadczy ich skutków.

Greta wstała i podeszła do kredensu stojącego pod ścianą. Otworzyła drzwiczki jednej z szafek i wyjęła z niej niewielki płócienny worek. Potem zdjęła z półki wysoki słoik z ciemnobrązowego szkła i dużą łyżką przesyłała z niego do woreczka drobne, ususzone kawałki listków. Podała woreczek Dianie ze słowami:

— Duża łyżka ziela na kubek, zalej gorącą, ale nie wrzącą wodą, przykryj spodeczkiem i odczekaj kwadrans, aż się zaparzy — poinstruowała. — Potem precedź i daj do picia swojej znajomej.

— A co to jest?

— To dziurawiec, ziele Świętego Jana. Najlepsze na nerwy i dobry sen.

— Dziękuję. — Diana wzięła woreczek z rąk kobiety.

— A teraz idź, mam tu sporo do zrobienia — rzuciła Greta bez ceregieli i wskazała na koszyk, który przyniosła. — To ostatnie letnie zioła, wyrosły w słońcu i ciepłe. Mają wielką moc.

— Tak, rzeczywiście, chyba za bardzo się zasiedziałam — podchwyciła Diana. — Dziękuję za napar i za dziurawiec.

— Nie musisz. Pamiętasz, co powiedziałam?

— O sercu i o tym, żeby robić najlepiej, jak się potrafi?

— Tak. Ja tak robię. Wtedy nie czekasz na podziękowania, rozumiesz?

Diana pokiwała głową.

— Do widzenia!

— Wszystkiego dobrego — pożegnała ją z uśmiechem Greta.





**K**iedy Lisowska wyszła na drogę, miała wrażenie, jakby znalazła się na powrót w rzeczywistości. Pobyt w domu czarownicy wydał jej się wejściem w inny wymiar, podróżą do nieznanego świata, w którym pachniało ziołami tak, że aż kręciło się w głowie, ale w powietrzu czuło się też coś niezwykłego.

Magicznego — pomyślała Diana, bo to określenie jako pierwsze przyszło jej do głowy.

Teraz znowu była pod lasem, na polnej drodze. Trudno jej było określić, jak długo bawiła u Grety. Wyjęła z kieszeni telefon i sprawdziła godzinę.

O, nie! Jak późno! — stwierdziła z przerażeniem. — Powinnam już dawno zająć się obiadem!

Szybko ruszyła w stronę swojego siedliska, robiąc sobie wyrzuty, że czekają tam głodni goście. Kiedy zdyszana otworzyła drzwi, od razu poczuła smakowite zapachy.

— O, nareszcie jesteś! — przywitała ją Martyna, stojąca przy kuchence i mieszająca coś w największym garnku.

— Przepraszam, odwiedziłam... znajomą. I zasiedziałam się trochę. Widzę, że już byliście głodni...

— Myj ręce i siadaj do stołu — poleciła dziennikarka. — Zaraz nalewam zupę.

Diana poszła do łazienki, a kiedy wróciła, na stole stał talerz wypełniony ugotowanym przez Martynę daniem. Ona i Tobiasz zajadali już swoje porcje. Diana usiadła, spróbowała i z uznaniem pokiwała głową.

— Pycha! Co to takiego?

— Zupa meksykańska — odpowiedział Tobiasz. — Specjalność Martyny.

— Lubię ją gotować, bo robi się banalnie prosto, a zawsze wychodzi wielki gar i można jeść przez tydzień — dodała Wrońska. — Na dodatek przy każdym podgrzaniu zyskuje na smaku.

— Koniecznie musisz dać mi przepis! — zawołała Diana.

— Nie ma problemu.

— Głupio mi trochę, że nic nie przygotowałam. — Uśmiechnęła się przepraszająco.

— Daj spokój! Tobiasz przyszedł skorzystać z łazienki i jak zobaczył, że ciągle leżę, to nagadał mi do słuchu. — Martyna zerknęła na mężczyznę. — I miał rację. Ty mnie przyjmujesz pod swój dach, a ja zachowuję się tragicznie...

— Bez przesady. Po prostu masz trudny czas.

— Ale mam się tu pozbierać, a nie zapadać jeszcze głębiej w siebie — zaprotestowała Wrońska. — Miałaś dla mnie naprawdę dużo cierpliwości, to trzeba przyznać. Ja wyrzuciłabym samą siebie za drzwi — dodała samokrytycznie.

— Jesteś tu dopiero dwie doby, nie musisz się spieszyć. Wiem, że trudno się szybko pozbierać.

Skończyli zupę, Tobiasz nawet zjadł dolewkę. Martyna zebrała talerze i przyniosła białe pudełeczko.

— A to co? — zdziwiła się Diana.

— Pączki. Nie ma drugiego dania, ale jest deser.

— Nigdy takich nie widziałam w tutejszym sklepie.

— Tobiasz podjechał do Kielc, kupił u Banatkiewicza. Wie, że te lubię najbardziej i zawsze poprawiają mi humor.

Wygrała tego faceta na loterii — pomyślała Diana. — Rzucił piłę i młotek, żeby przywieźć jej ulubione ciastka.

Każde z nich sięgnęło po pączka. Było przy tym sporo śmiechu, bo lukier przyklejał się do ust i spadał na blat stołu, a Dianie całe nadzienie wylądowało na spodniach.

— Wiesz, tu u ciebie czuję się zupełnie inaczej niż gdziekolwiek indziej — wyznała Martyna. — Tak swobodnie i naturalnie. W ogóle ta okolica jest piękna, a ty jesteś niezwykle zdolną i inspirującą osobą.

— Oj, ile komplementów! — roześmiała się Diana. — Nie przesadzaj, bo wpadnę w samozachwyty.

— Mówię szczerze. I pomyślałam, że gdybym jeszcze pracowała w telewizji, to właśnie o tobie chciałabym zrobić program. O kobiecie, która walczy o swoje szczęście, nie boi się ryzyka, a przy tym tworzy piękne ogrody, lepi z gliny i bezinteresownie pomaga ludziom.

Diana się zawstydziała. Nie była przyzwyczajona do komplementów, ale też nie sądziła, że ktoś może tak ją postrzegać.

„Nie czekam na podziękowania” — usłyszała w głowie słowa Grety.

— Robię to, co uważam za najlepsze — odpowiedziała po prostu. — Niedawno ktoś mi pomógł w podobny sposób, więc teraz ja pomagam.

— Naprawdę? — zainteresowała się Martyna. — A zdradzisz coś więcej na ten temat?

— Dlaczego nie, to nie żadna tajemnica. Wczoraj chciałam, ale nie miałam nastroju. — Uśmiechnęła się do dziennikarki.

I opowiedziała im o Stacji Jagodno, o babci Róży i wszystkich, których poznała podczas swojego pobytu tam.

— Właśnie o takich ludziach trzeba mówić. — Martyna uniosła palec, żeby podkreślić wagę swoich słów.

— To powiedz — wtrącił Tobiasz.

— Ciekawe jak. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale zwolnili mnie z telewizji. — Znowu w jej głosie zabrzmiała złość.

— Świat na telewizji się nie kończy. — Tobiasz oblizał palce z lukru. — Załóż własny kanał w internecie i zrób ten materiał.

Wrońska zmarszczyła brwi, analizując propozycję mężczyzny.

— Jeśli będziemy wrzucać materiały do sieci, to nie będziemy na żadnej liście płac, pomyślałeś o tym?

— Ty o tym pomyśl — odparł. — Masz mnóstwo znajomości wśród prezesów, właścicieli firm. Załatw reklamy, sponsoring, cokolwiek. Ja się na tym nie znam, ja tylko kadrować potrafię — zażartował.

Diana z zaciekawieniem obserwowała twarz Marty. Widać było, że kobieta intensywnie myśli. Tymczasem Tobiasz wstał i rozprostował plecy.

— Dobra, to ja idę jeszcze trochę popracować. Myślałem, że pójdzie mi szybciej, ale i tak już nabieram wprawy.

— Zaraz zajrzę do ciebie, może jakoś pomogę — zadeklarowała Diana.

— Ani mi się waż! Zobaczysz efekty, kiedy skończę — zapowiedział.







**T**obiasz wyjechał późnym wieczorem. Zjadł jeszcze z nimi kolację i obiecał pojawić się następnego dnia.

— Na pewno masz jakieś swoje sprawy — oponowała Diana, która czuła się trochę niezręcznie z tym, że będzie za darmo pracował dla niej kolejnego dnia. — To przecież nic bardzo pilnego, grupa przyjeżdża dopiero za dwa tygodnie.

— Chwilowo jestem bezrobotny. Do pizzerii przyjęli kogoś z rodziny, a innych ofert dla mnie na razie nie ma — odparł. — Mógłbym leżeć cały dzień i gapić się w sufit, ale taki wariat ze mnie, że wolę wbijać gwoździe i ciąć deski.

— Nie dyskutuj z nim, on naprawdę lubi takie zabawy — zawołała z sypialni Martyna. — I uparty jest jak osioł.

— Widzisz, jakie ona ma o mnie zdanie? — mruknął żartobliwie Tobiasz. — A sama to niby jest uosobieniem uległości. Do zobaczenia jutro!

Diana zamknęła drzwi i poszła do dziennikarki.

— Masz jakieś plany na wieczór? Będziesz pracowała? — zapytała ją Wrońska.

— Niby powinnam, ale mogę chwilę z tobą posiedzieć, jeśli chcesz pogadać.

— Co sądzisz o tym pomysle Tobiasza? — Martyna usadowiła się wygodniej na materacu, dając do zrozumienia, że ma chęć na rozmowę.

Diana usiadła na brzegu łóżka.

— Wydaje mi się, że to ciekawy pomysł — odpowiedziała. — Co prawda, ja nie znam się na mediach, ale przecież teraz youtuberzy i vlogerzy podobno zarabiają krocie na samych reklamach.

— Fakt, zarabiają — zgodziła się Martyna. — Ale zwykle tacy, którzy mówią o bzdurach interesujących małolaty. A kanały, na których znajdują się wartościowe materiały, mają znacznie mniej obserwatorów. Poza tym zanim zbierze się grupę docelową, potrzeba sporo czasu.

— To może na początek te reklamy?

— Łatwo powiedzieć. Próbowалаś kiedyś wyciągnąć kasę od bogacza? — roześmiała się dziennikarka. — Prędzej biedny odda ci ostatnią koszulę niż bogaty jeden banknot z portfela.

— Może dlatego są bogaci? — zażartowała Diana.

— Na razie jakoś słabo widzę to dziennikarstwo internetowe — wyznała Martyna.

— Cóż, jeśli tego nie czujesz, to nie ma sensu zaczynać. W końcu miałaś znaleźć nową drogę, a nie drugą wersję starej, prawda?

Dziennikarka pokiwała głową.

— Prawdę mówiąc, trochę to czuję — stwierdziła po krótkim namyśle. — Tyle że zdaję sobie sprawę z tego, jak będzie trudno...

— Musisz sama zdecydować. Ale pamiętam, jak mi opowiadałaś, ile przeszłaś, zanim udało ci się znaleźć pracę w telewizji. I nie poddałaś się.

— Wtedy byłam młodsza i nieświadoma wielu rzeczy — westchnęła.

Diana przypomniała sobie o woreczku od Grety, który miała w kieszeni swetra.

— Poczekaj chwilę, chyba mam dla ciebie coś, co może ci pomóc w podjęciu decyzji. Tylko musisz uzbroić się w cierpliwość, bo zanim przygotuję, minie ze dwadzieścia minut.

Przygotowała napar według wskazówek Grety. Pachniał inaczej niż ten, który u niej piła, ale też przyjemnie. Kiedy przyniosła kubek z napojem, zobaczyła, że Martyna siedzi pochylona nad ekranem iPhone'a.

— Tobiasz pyta, czy przywieźć nam jutro pączki. Pisze, że woli wiedzieć, żeby nie jeździć dwa razy. W końcu musimy oszczędzać — roześmiała się dziennikarka. — Odpisałam, żeby przywiózł.

— To na paliwie oszczędzacie, a na pączkach nie?

— Na pączkach nie wolno oszczędzać — zawołała Martyna. — One uszczęśliwiają!

Obie parsknęły śmiechem, a gdy się opanowały, Wrońska wskazała na kubek.

— A to co?

— To, co obiecałam. Napar z dziurawca. Działa uspokajająco, jest dobry przed snem.

— I jest gorzki — dodała dziennikarka, próbując. — Wiesz, ja chyba wolę pączki. Ten sam efekt, a smaczniejsze.

— Niestety, pączków już nie ma, więc musisz zadowolić się ziólkami.

Położyły się dość późno, ale Diana, zasypiając, słyszała, że Martyna jeszcze wierci się na swoim posłaniu.

Ma sporo do przemyślenia — stwierdziła, zamykając oczy.





O budziła się, gdy słoneczny promień połaskotał ją w nos. Najpierw kichnęła, a potem usiadła. Kocio patrzył na nią z dezaprobatą.

— Mógłbyś być bardziej wyrozumiały — powiedziała. — Sam też kichasz.

Kocur zamknął oczy i kontynuował drzemkę.

Mnie już nie uda się zasnąć — uznała. — Mogłam wczoraj zamknąć okiennice.

Od kiedy nie była w domu sama, czuła się bezpieczniej i zapomniała o tym ich zamykaniu. Teraz okazało się, że to ma zalety.

A niektórzy myślą, że rolety to nowy wynalazek — pomyślała rozbawiona.

Rozejrzała się po pokoju. Słońce w pierwszych dniach września nie było tak mocne jak w lipcu, ale właśnie łagodniejsze światło nadawało pomieszczeniu niezwykły klimat. Rozproszone przez firankę promienie łagodnie otulały trawy stojące w wazonach, a drewniane deski na podłodze malowały na jasnomiodowy odcień.

Piękny ten mój domek — pomyślała z dumą.

Dopiero gdy wstała, zauważyła, że nie ma Martyny. Założyła szlafrok i powoli poszła do kuchni. I tam Martyny nie było. Nie zdążyła się zaniepokoić, bo usłyszała odgłos koła garncarskiego.

Ach, więc jest w pracowni! — domyśliła się i podeszła do pomalowanych na biało drzwi. Były uchylone, więc zajrzała do środka.

Wrońska siedziała skupiona, z rękami ułożonymi na glinie i mrucząc coś pod nosem, starała się nadać jej zaplanowany kształt.

Całkiem nieźle jej idzie — pomyślała z uznaniem Diana, widząc efekty jej starań.

Zastanawiała się, czy powinna jej przeszkadzać. Doszła do wniosku, że nie. Dziennikarka powinna sama zmierzyć się z wyzwaniem, którego się podjęła.

To jej decyzja i jej odpowiedzialność — wspomniała słowa Greta.

Zaczęła przygotowywać śniadanie. Ugotowała cztery jajka, wystudziła je pod bieżącą wodą, obrała i pokroiła na plasterki. Potem przyszła kolej na cebulę i pomidory.

— Bardzo lubię takie kanapki — usłyszała głos Martyny.

Odwróciła głowę.

— Ja też. Moja babcia takie robiła.

Martyna zaniósła talerz na stół i zajęła się parzeniem kawy i herbaty.

— Co to był za napar, który mi wczoraj dałaś? — zapytała w pewnej chwili.

— Dostałam od czarownicy — odparła bez namysłu.

— Ale to jakieś zioło? Wiesz, takie zmieniające świadomość?

— Nie, skąd! — zaprzeczyła. — To dziurawiec. Tak powiedziała.

— Wypiłam to i potem chciałam jeszcze pomyśleć, ale zasnęłam szybko. I chociaż wydawało mi się, że spałam twardo, to kiedy się obudziłam, wszystko wydało mi się proste i oczywiste, znałam odpowiedzi i zrozumiałam, co mam robić.

Diana słuchała uważnie i sama zaczęła się zastanawiać.

Czy Greta naprawdę dała mi dziurawiec, a Martyna wreszcie odnalazła siebie, czy może czarownica dosypała do woreczka czegoś zupełnie innego? A może to po prostu odpoczynek, uporządkowanie myśli, świeże powietrze i zmiana otoczenia tak podziałały na dziewczynę?

— Wstałam rano — kontynuowała tymczasem Martyna — i poczułam, że mam znowu tyle energii i chęci do działania jak piętnaście lat temu. To niesamowite uczucie! Jakbym w ciągu jednej nocy odmłodziła! I znowu poczuła się tamtą dziewczyną.

A więc niczego nie dodała. — Diana odetchnęła z ulgą. — Czułam się przecież tak samo, gdy wreszcie zrozumiałam, czego chcę.

— Przyszłam tu do kuchni, bo nie mogłam już leżeć z tej radości, a nie chciałam cię budzić — mówiła dalej z wielkim entuzjazmem dziennikarka. — Usiadłam przy stole i nagle poczułam, że chcę jeszcze raz spróbować tego lepienia. To znaczy toczenia — poprawiła się. — Że to coś w rodzaju sprawdzianu albo wróżby. Jeśli uda mi się kubek, pomyślałam, to znaczy, że mam dość cierpliwości i determinacji, żeby zrobić to, co planuję, i osiągnąć cel. — Postawiła na stole kubki z gorącymi napojami i spojrzała triumfalnie na Dianę. — Nie zapytasz, jak mi poszło?

— Sądzę, że sama mi powiesz — stwierdziła z uśmiechem ogrodniczka. — Ale jeśli ci zależy, zapytam. Jak ci poszło?

Martyna pobiegła do pracowni i wróciła, trzymając na złożonych dłoniach swoje dzieło.

Bez wątpienia był to kubek. Miał może odrobinę nierówny brzeg, ale za to uszko wyszło bardzo zgrabnie. Diana musiała przyznać, że była pod wrażeniem. Jej samej dojście do takiego etapu zajęło dużo więcej czasu. Pojęła w tym momencie, czym jest dobra motywacja.

— Martyna, jest świetny! — pochwaliła.

— Naprawdę tak myślisz?

— Myślę, że wróżba wypadła pomyślnie. Jeśli chcesz, wypalę go dla ciebie.

— Pewnie!

Usiadły do stołu. Martyna wyglądała zupełnie inaczej niż przez ostatnie dni. Biła od niej energia. Diana pomyślała, że nie ma w niej agresji — zastąpiło ją naturalne przekonanie o swojej wartości.

— To jakie cele zamierzasz osiągać? — zapytała.

— Będę robiła te programy w sieci. Mam nadzieję, że Tobiasz mi pomoże.

— Jestem tego pewna. Powinnaś się cieszyć, że masz obok siebie kogoś, kto tak cię wspiera i w ciebie wierzy.

— Wiem i nie zawiodę go — odpowiedziała z przekonaniem. — Znajdę tych sponsorów i reklamodawców, potem sami będą przychodzić. Ale przede wszystkim mam zamiar robić materiały o prawdziwych, wspaniałych ludziach.

— Bardzo się cieszę. I będę ci kibicować — obiecała.

— Ale, ale, poczekaj! Mam pewien warunek. Uważaj, bo wszystko w twoich rękach.

Diana zamarła z kanapką tuż przy ustach.

— Oj, chyba cię zestresowałam — roześmiała się Martyna. — Nie bój się, to nic strasznego. Po prostu pierwszy program zrobię o tobie. Nie protestuj, proszę. A potem pojedziesz ze mną do tego Jagodna, dobrze? Czuję, że tam znajdę wielu bohaterów do moich materiałów.

Diana właściwie nie wiedziała, czy chce być bohaterką jakiegoś programu i czy naprawdę kogoś zainteresuje jej historia, lecz nie miała serca odmówić Martynie, która nabrała wiatru w żagle.

— Dobrze, zgadzam się. — Skinęła głową. — Ale będę żądała autoryzacji przed publikacją — zastrzegła.

— Ma się rozumieć. Pełen profesjonalizm i żadnych nieetycznych działań. Obiecuję!

— Skoro tak, to powiedz o swojej decyzji Tobiaszowi. Chyba właśnie podjechał.







**N**a obiad była oczywiście zupa meksykańska.  
— Miałaś rację — przyznała Diana. — Dzisiaj smakuje jeszcze lepiej.

— Mówiłam! — ucieszyła się Martyna.

Powiedziała już Tobiaszowi o swojej decyzji, a on, swoim zwyczajem, przyjął to spokojnie, choć Diana dostrzegła w jego oczach błysk radości.

— Co za szczęście — powiedział. — Nie będę musiał składać już podań o pracę i chodzić na rozmowy kwalifikacyjne do pizzerii. Nie żeby to była zła robota, jednak wolę jeździć z kamerą niż z torbą termiczną. Oczywiście zakładam, że chcesz mnie zatrudnić? — zwrócił się do Martyny.

Udała niezdecydowaną.

— Zastanawiam się jeszcze. Chciałabym pracować z najlepszymi...

— Cóż, jeśli mogę coś doradzić, to lepszym wyborem będzie ktoś, kto z tobą wytrzyma — odgryzł się Tobiasz.

Diana z zadowoleniem patrzyła, jak żartują. Cieszyła się, że Wrońska wróciła do równowagi, i miała nadzieję, że tak pozostanie. Wiedziała z własnych doświadczeń, że na pewno będą się jej zdarzały momenty wątplenia, ale też była przykładem tego, że gdy nastąpi przełom, później już zna się własną drogę.

Nawet jeżeli okazuje się nieco kręta — skwitowała swoje refleksje.

Tobiasz z jeszcze większym zapałem zabrał się do pracy w stodole. Do południa zza zamkniętych wrót dobiegał stukot młotka.

— Jak dzięcioł — śmiała się dziennikarka. — Robi konkurencję świętokrzyskiej naturze.

— Mnie to nie przeszkadza. Mam tylko nadzieję, że nie będzie się czuł wykorzystany — wyraziła obawę gospodyni.

— O to się nie martw. Jest ci wdzięczny, że będzie miał znowu swoją ukochaną pracę — zapewniła ją Martyna.

— Mnie? Przecież to twoja decyzja.

— Czasami się zastanawiam, czy ty naprawdę jesteś taka skromna, czy tylko udajesz. Przecież gdyby nie rozmowy z tobą i pobyt tutaj, nadal szarpałabym się ze sobą.

Diana zamilkła. Uważała, że każdy sam pokonuje swoje demony, a inni ludzie mogą jedynie wspierać ich w tym procesie. Tak, cieszyła się, że potrafiła pomóc, ale chciała, aby Martyna była świadoma swojej własnej roli. Bo właśnie to daje prawdziwą siłę.

Oczywiście rozumiała jej wdzięczność, bo sama żywiła taką wobec Baranowskiej i kobiet z Jagodna. Świadomość, że są osoby, którym zależy, na które można liczyć, jest ważna; to coś w rodzaju trampoliny, od której można się odbić, ale skok do głębokiej wody trzeba jednak wykonać samemu — i samemu wypłynąć na powierzchnię.

Niedługo i to dziewczyna zrozumie — doszła do wniosku.

Po zupie oczywiście zjedli pączki.

— Kiedy planujesz zakończenie prac? — Martyna spojrzała pytająco na Tobiasza.

— Myślę, że pod wieczór wszystko będzie gotowe.

— Doskonale, bo po drodze musimy jeszcze zrobić zakupy. Jak cię znam, w lodówce pewnie niewiele jest.

— Czy mam rozumieć, że zamierzasz wrócić dziś do domu?

— A po co miałabym dłużej siedzieć Dianie na głowie? I tak długo mnie znosiła.

— Tylko trzy dni — wtrąciła ogrodniczka.

— Ale za to intensywne. Masz swoją pracę, potrzebujesz spokoju. Ja też teraz muszę się zająć konkretnymi. — Martyna poklepała Tobiasza po ramieniu. — No to leć do stodoły, bo im szybciej skończysz, tym szybciej wyjedziemy.

Kiedy Diana sprzątała po obiedzie, dziennikarka zapakowała do płóciennej torby ubrania, które pożyczyła od ogrodniczki.

— Upiorę i oddam.

— Zwariowałaś! Wrzuć je po prostu do pralki — zaprotestowała gospodyni.

— Kurczę, a chciałam mieć pretekst, żeby tu znowu przyjechać. — Mrugnęła filuternie.

— Nie potrzebujesz pretekstów, drzwi są dla was zawsze otwarte.

— No tak, w końcu będę przecież nagrywać program o tobie.

— Wtedy będziesz służbowo — zazartowała Diana. — A ja mówię o prywatnych odwiedzinach. Pamiętaj, że zawsze możesz wpaść na herbatę.

— Lepiej na ten czarodziejski napar. Mam nadzieję, że jego działanie potrwa jeszcze długo, bo naprawdę czuję się doskonale.

Popołudnie spędziły na ławce przed domem, wystawiając twarze do słońca. Ptaki ćwierkały zawzięcie, powietrze pachniało lasem. W takich okolicznościach umysł odpoczywał, myśli biegły spokojnie, a w sercu czuło się nadzieję na dobre jutro.

— Gotowe! — oznajmił Tobiasz, podchodząc do kobiet. — Zapraszam na prezentację i odbiór prac.

Poszły za nim do stodoły.

— Uwaga! Proszę wstrzymać oddech! — krzyknął, udając cyrkowego konferansjera. — Otwieramy salę warsztatową pani Diany!

Wrota zaskrzypiały i drewniane skrzydła odchyliły się na boki.

— Niesamowite! — Lisowska nie potrafiła powstrzymać emocji.

Rzeczywiście, wewnątrz przeszło spektakularną metamorfozę.

Wszystkie zbędne rzeczy zostały wyniesione, klepisko pozamiatane. Stare maszyny Tobiasz ustawił pod ścianami, a miejsce na środku zajmowało jego dzieło: duże drewniane blaty na solidnych nogach

z okorowanych pni, stojące w dwóch rzędach, a obok nich, po każdej stronie, długie ławki.

— Pomyślałem, że przydadzą się jeszcze półki. — Tobiasz wskazał głową na dwa proste regały, które ustawił nieco z boku. — Wyczyściłem też stare skrzynki, które tu znalazłem. Jeśli je pomalujesz, mogą służyć za pudełka albo przenośne siedziska.

Diana chodziła wzdłuż stołów i gładziła ich blaty.

— Nawet sobie nie wyobrażałam, że tak wspaniale to będzie wyglądało — powiedziała cicho, bo w gardle zaschło jej z emocji.

— No, spisałeś się! — przyznała Martyna. — Nie podejrzewałam, że jesteś aż tak zdolny.

— Mam rozumieć, że praca jest zaakceptowana? Nastąpi odbiór? Bo po wyjeździe reklamacji nie uwzględnia się — zażartował, ale widać było, że i on jest zadowolony z tego, co zrobił.

— Reklamacje? Jakie reklamacje?! — zawołała szczęśliwa i wzruszona projektantka.

— Skoro wszystko w porządku, to możemy jechać — zarządził mężczyzna.

Diana odprowadziła ich do samochodu. Uścisnęła mocno Martynę i życzyła jej powodzenia. Tobiaszowi po raz kolejny serdecznie podziękowała za pomoc. Kiedy wyjechali z podwórka, wyszła jeszcze na drogę i pomachała im na pożegnanie, tłumiąc wzruszenie. Gdy samochód zniknął za zakrętem, zamknęła bramę i wróciła do domu, gdzie czekał na nią kocur.

— No, Kociu, znowu jesteśmy tylko we dwoje — powiedziała. — Ale trzeba przyznać, że to była bardzo inspirująca wizyta.





**D**iana piła swoją poranną herbatę nie przy kuchennym stole, ale w miejscu, o którym od poprzedniego wieczora nie mogła przestać myśleć. Jej sala warsztatowa, jak to określił Tobiasz, była symbolem kolejnej zmiany w życiu, której nie przewidywała. Kilka miesięcy wcześniej nawet nie przyszłoby jej do głowy, że będzie prowadziła warsztaty, i to w takim nietypowym miejscu.

Nie mogła się napatrzeć na stoły i ławy. Popijając herbatę, przyglądała się maszynom, których przeznaczenia nie знаła, ale wyobrażała sobie, jak je pomaluje i stworzą nieco industrialny, ale i kojarzący się z wsią wystrój. Wreszcie otrząsnęła się z marzeń i uznała, że pora zająć się rzeczywistością.

Kiedy zamykała wrota stodoły, usłyszała za plecami męski głos.

— Pani Lisowska?

Przy płocie zobaczyła mężczyznę, który opierał rower o ogrodzenie i z ciekawością się jej przyglądał. Podeszła bliżej.

— Tak, to ja. Słucham?

— Przywiozłem pani paczki. — Ruchem głowy wskazał na bagażnik.

Diana dopiero teraz dostrzegła, że nieznajomy ma przewieszoną przez ramię ogromną czarną torbę.

— Ach, pan jest listonoszem!

— Owszem, jestem. — Zsiadł z roweru i zaczął podawać jej pakunki ponad ogrodzeniem. — Normalnie to nie rozwożę takich przesyłek, tylko

zostawiam awizo — poinformował służbowym tonem. — Ale że to pierwszy raz, więc jakoś się zabrałem.

Zapewne chciał mnie obejrzyć — domyśliła się Diana — i stąd to wyrzeczenie.

— Bardzo dziękuję, będę o tym pamiętała. — Uśmiechnęła się.

Na pewno podzieli się wrażeniami z innymi, więc lepiej, żeby uznał mnie za miłą — stwierdziła przewidująco.

Chyba osiągnęła cel, bo listonosz zmienił ton na bardziej przyjazny.

— Lepiej kuriera wybierać. Oni jeżdżą samochodami i zawsze pod dom przywiozą — poradził.

— Tak będę robiła. — Pokiwała głową.

— Mniejsze przesyłki to przyniosę i do skrzynki wrzucę — dodał, jakby dla kogoś mogło to nie być oczywiste. — Chyba że polecony, to też awizo będzie. Bo nigdy nie wiadomo, czy adresata w domu zastanę, a nie mam zamiaru na darmo wozić.

Diana podpisała odbiór paczek i listonosz odjechał.

Wiedziała, co zawierają — cebulki kwiatowe do ogrodu Wolińskiego. A dokładnie mówiąc, ich część. Diana, wbrew przekonaniom listonosza, znała instytucję kuriera i zawsze wybierała ten sposób dostarczenia przesyłki. Niestety, jedna ze szkółek ogrodniczych, w której kupiła szczególnie piękną odmianę żonkili i kłącza różowych konwalii, oferowała wyłącznie paczki pocztowe.

Od razu pójdę je posadzić — zdecydowała.

Żeby nie nosić pudełek, podprowadziła do ogrodzenia swój zielony rower i załadowała do koszyka i na bagażnik paczki z roślinami.

Praca w ogrodzie biznesmena nie zajęła jej dużo czasu. Wszystko miała zaplanowane, a przygotowana już wcześniej ziemia nie stawiała oporu i z łatwością przyjęła nowe sadzonki.

Przy bramie spotkała właściciela willi. Na jej widok zatrzymał auto i opuścił szybę.

— I jak, pani Diano? Zdecydowała pani, czy przyjąć moją propozycję?

O, rany! Zupełnie o tym zapomniałam! — pomyślała w panice.



Wizyta Martyny okazała się bardziej absorbująca, niż sądziła, skoro przez nią wylatywały jej z głowy tak ważne sprawy.

— Tak, myślałam o tym — skłamała.

— Mam nadzieję, że pani Wrońskiej udało się złamać pani opór. — Woliński się uśmiechnął.

Właściwie dlaczego nie skorzystać z oferty? — przeszło Dianie przez głowę. — Może Martyna miała rację, wypominając mi, że jestem zbyt skromna i nie doceniam swoich możliwości? A ta propozycja wydaje się uczciwa. Coś za coś, niczego nie biorę za darmo.

— Bardzo chętnie skorzystam z tego rozwiązania — odparła po chwili. — Dziękuję.

— No, miałem nadzieję, że podejmie pani taką decyzję — ucieszył się mężczyzna. — W takim razie zaczynam działać. Będę panią informował.

Pomachała mu i odjechała.

W tej sytuacji muszę szybko skończyć bieżące zlecenia — rozmyślała, pedałując zawzięcie.

Powzięła stanowczą decyzję, że to popołudnie bezwzględnie poświęci na pracę i nie pozwoli, żeby cokolwiek ją od niej oderwało.

Po zjedzeniu obiadu zamierzała wprowadzić to postanowienie w życie, ale gdy siadała do komputera, zerknęła przez okno na podwórze i zobaczyła przy ogrodzeniu Julkę.

Dzisiaj nie mam ochoty na żadne odwiedziny. — Zamierzała zlekceważyć obecność dziewczynki. — Poza tym jej matka się nie pojawiła, więc można założyć, że nie zmieniła zdania w kwestii zakazu.

Cokolwiek Diana sądziła o słuszności takiej decyzji, musiała liczyć się ze zdaniem matki. Nie chciała mieć żadnych nieprzyjemności mimo wielkiej sympatii dla małej znajomej.

Lepiej będzie, jeżeli ograniczę z nią kontakt — podjęła decyzję, kierując się rozsądkiem, choć serce podpowiadało jej coś innego. — Może sama się znudzi i przestanie przychodzić.

Włączyła komputer i otworzyła program, w którym tworzyła projekty. Los jednak, jak wiadomo, często nie liczy się z planami ludzi. Nie zdążyła

jeszcze nacisnąć ani jednego klawisza, gdy usłyszała przez uchylone okno płacz Julki.

— To boli! — krzyknęło dziecko.

Projektantka podniosła się natychmiast zza biurka i pobiegła do drzwi. Otworzyła je szeroko, gotowa nieść pomoc dziecku. Na drodze zobaczyła Annę, która trzymała dziewczynkę za ramię. Julka płakała i próbowała się wyrwać.

— Wynoś się stąd! — podniesionym głosem mówiła kobieta. — Wiesz, że masz się tu nie plątać! Wracaj do swojej matki! Tam twoje miejsce!

Tego było dla Diany za wiele. Podbiegła do płotu i z wściekłością popatrzyła na nauczycielkę.

— Co pani wyprawia?! Proszę natychmiast puścić dziecko!

Zaskoczona jej widokiem Anna rozluźniła chwyt, a Julka natychmiast skorzystała z okazji i pobiegła szybko w stronę centrum miejscowości.

— Jak pani może się tak zachowywać?! I pani jest nauczycielką?! — krzyczała dalej Diana. — Ta dziewczynka jest moim gościem, będzie mnie odwiedzała tak często, jak zechce! I nie życzę sobie, żeby pani się wtrącała! A jeżeli jeszcze raz zobaczę, że używa pani przemocy wobec dziecka, zgłoszę to na policję i poinformuję dyrekcję szkoły!

Kobieta nie wyglądała na przejętą jej słowami. Popatrzyła na Dianę z nienawiścią i skrzywiła się, jakby zobaczyła coś obrzydliwego.

— Wygląda na to, że kolejna czarownica się tu wprowadziła — powiedziała ze złością. — Można się było tego spodziewać, skoro w tym przeklętym domu zamieszkała. Ale to się kiedyś skończy! Tak, ja tego dopilnuję, żeby więcej ludzkiej krzywdy nie było.

Splunęła pod nogi i odeszła w swoją stronę.





**M**artyna znowu chodziła po pokoju, jednak tym razem powód był zupełnie inny niż przed kilkoma dniami.

— Myślę, że doszłaś już na kopiec Kościuszki. — Tobiasz zrobił żartobliwą aluzję do znanej lektury. — Może odpoczniesz trochę?

Dziennikarka przystanęła, ale zaraz znowu zaczęła swoją wędrówkę.

— Wiesz, że tak najlepiej mi się myśli. Zresztą pół nocy przesiedziałam przed komputerem, więc przyda mi się odrobina ruchu.

— Skoro masz zamiar zacząć aktywny tryb życia, to nie uważasz, że lepiej byłoby to robić na świeżym powietrzu? — zasugerował mężczyzna.

— O, odezwał się autorytet! — odcięła się Martyna. — Trzy razy w tygodniu chodzisz na siłownię i może zaraz mi powiesz, że ma to coś wspólnego ze świeżym powietrzem?

— Jeżdżę też na rowerze. I sporo biegam z kamerą, często nawet w deszczu i śniegu. To hartuje.

— Dobra, dosyć tego gadania o niczym. — Wrońska usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę.

— No, teraz będzie wykład — mruknął z uśmiechem Tobiasz. — Kiedy tak siadasz, zawsze masz jakiś monolog do wygłoszenia. Poczekaj momencik, pójdę po popcorn.

— Nie musisz być złośliwy, chociaż masz rację. Chciałam ci powiedzieć, co już wymyśliłam.

— Chętnie posłucham, ale może najpierw pozwolisz mi się ubrać?

Rzeczywiście, nawet nie zauważyła, że stał w samym ręczniku owiniętym wokół bioder.

— Dobra, tylko szybko!

Zanim wrócił, jeszcze raz ułożyła sobie w głowie to, co chciała mu przekazać.

— Przede wszystkim musimy skalkulować dokładnie koszty — zaczęła, gdy tylko usiadł w fotelu. — I tu musisz mi pomóc. Nie znam się na stronie technicznej, więc liczę na to, że to ogarniesz. Wiesz, chodzi mi o montaż, produkcję czołówki i takie tam. No i dźwięk.

Nie przerywał jej, pokiwał głową.

— Do tego jeszcze chciałabym, żebyś zajmował się stworzeniem kanału i wrzucaniem tam materiałów. Dowiedz się, o co dokładnie chodzi z tymi obserwatorami, jak to można promować i ile to kosztuje.

— Widzę, że mam całą listę zadań. Czy to znaczy, że pensja też będzie wyższa? — zażartował.

— Zyski dzielimy po połowie. Kiedy oczywiście będą.

— Sprawiedliwie — uznał.

— Nie musisz się ze mnie naśmiewać. — Zrobiła urażoną minę.

— Martyna, chyba trochę przesadnie reagujesz — odparł. — Nie naśmiewam się. Naprawdę miło cię widzieć w takiej formie. Ostatni raz taki zapał miałaś chyba na studiach, gdy robiłaś materiały na zaliczenie.

— Oby tylko przełożył się na efekty lepiej niż wtedy — roześmiała się. — Dostałam tróję i mocno to przeżyłam.

— Nie zapomnij, że większość twojego roku miała wtedy poprawki.

Rzeczywiście, musiała się z nim zgodzić. Wymagający wykładowca był postrachem wśród studentów.

— Dobrze, wróćmy do tego, co mamy zrobić teraz. Żeby nie było: biorę na siebie nie tylko wyszukiwanie tematów, ale przede wszystkim znalezienie finansowania na początek, zanim zaczniemy zarabiać na reklamach. I przygotowałam listę potencjalnych sponsorów.

Tobiasz słuchał z zadowoleniem. Martyna z zapalem przedstawiała swój plan, a on ciepło pomyślał o ogrodnicy ze Świętej Katarzyny, która swoją bezpośredniością i otwartym sercem pomogła wyjść dziennikarce z kryzysu.





S cena, która rozegrała się przed jej domem, zupełnie wytrąciła Dianę z równowagi. Przez całe popołudnie kobieta co rusz wyglądała przez okno w nadziei, że dostrzeże gdzieś Julkę, ale dziewczynka już się nie pojawiła.

Diana była zbulwersowana okropnym zachowaniem Anny i zupełnie szczerze mówiła o zamiarze zawiadomienia o nim odpowiednich organów. Brzydziła się przemocą, szczególnie wobec dzieci.

Julka i tak ma ciężko, bo jej matka wydaje się dość oschła i despotyczna. A tu jeszcze takie prześladowania! I to ze strony pedagoga. Aż trudno w to uwierzyć — myślami wciąż wracała do tej niezwykle przykrej sytuacji.

Druga sprawa, która nie dawała jej spokoju, związana była ze słowami Anny, dotyczącymi jej domu. Nazwała go przeklętym. Dlaczego? Diana może nie zwróciłaby na to uwagi, uznając, że to kolejny dziwny wymysł Anny, spowodowany nerwami, ale przecież były i inne zdarzenia, które teraz łączyły się w całość. Matka Julki, która nie chciała, żeby córka wchodziła do domu Diany, nieco dziwna reakcja pana Stacha, kiedy powiedziała, gdzie mieszka. I sprzedawca jajek też był zmieszany, kiedy się o tym dowiedział.

O co chodzi? Czy ludzie coś przede mną ukrywają? Jaką historię naprawdę ma ten dom?



Męczyło ją to tak bardzo, że w nocy miała koszmary. Śniła o starym człowieku, który siedział przy stole i obierał gruszki, śmiejąc się przy tym upiornie, a po kuchni biegła rozczochrana Anna, krzycząc coś o czarownicy. Obudziła się w środku nocy, spocona i wystraszona. Długo trwało, zanim się uspokoiła i zasnęła ponownie.

Rano ciężko jej było zabrać się do czegokolwiek. Wiedziała, że powinna, bo poprzedniego dnia nie udało jej się zrealizować założonych planów, a czas naglił.

Jak tak dalej pójdzie, stracę klientów i sporą sumę. — Starła się zmotywować do pracy. — Nie mogę aż tak dać się ponieść emocjom. Dom to dom, bez względu na to, kto tu wcześniej mieszkał. Teraz jestem tu ja i przecież nic złego do tej pory się nie działo.

Powlokła się do kuchni, żeby zaparzyć herbatę.

Nie mogę się przejmować ludzkim gadaniem. To jakieś bzdury, wymysły rodem z legend i bajek — rozważała, czekając, aż woda się zagotuje. — Mam swoje sprawy i nimi będę się zajmowała. Koniec kropka.

Niechętnie, z rozsądku zjadła kawałek chleba z żółtym serem, ubrała się i usiadła przy biurku. Na uszy założyła słuchawki.

Teraz już nic nie odciągnie mnie od pracy — pomyślała, zadowolona z tego rozwiązania. — Włączę ulubioną playlistę i zabieram się do kończenia projektów.

Rzeczywiście, dźwięki muzyki przegoniły złe myśli, pozwoliły zapomnieć o koszmarach i zachęciły Dianę do kreatywnych działań. W ciągu godziny Lisowska skończyła jedno zadanie i z radością wysłała maila do zleceniodawcy. Pozostało wykończenie drugiego ogrodu, ale szacowała, że z tym upora się do obiadu.

Właśnie otwierała plik, gdy nieoczekiwanie prawie tuż przed sobą zobaczyła męską twarz. Skoczyła na równe nogi, słuchawki wypadły z gniazdka w komputerze i muzyka umilkła. Diana krzyknęła, wystraszona. Serce biło jej jak oszalałe i chwilę zajęło, nim się opanowała i rozpoznała, kto stoi za oknem.

— Czy pan zwariował?! — Z impetem otworzyła szklane skrzydło. — O mało zawału nie dostałam!

— Pukałem, ale nikt nie otwierał. — Listonosz wcale nie przejął się jej zdenerwowaniem. — Już miałem iść, ale zobaczyłem panią w środku, to zastukałem w szybę.

Pomachał grubą bąbelkową kopertą.

— Miał pan wrzucać do skrzynki — przypomniała.

— To za grube. Gdyby była koperta, to owszem. Ale to jakieś pudełeczko czy kartonik... Nie chciałem ścisnąć, bo jeszcze zgmiotłoby się coś w środku.

— Dobrze, dziękuję — westchnęła. — Ale naprawdę mnie pan wystraszył.

— Chyba nerwy ma pani zszargane, skoro byle co panią wyprowadza z równowagi — stwierdził tonem znawcy. — Tutaj na wsi jest spokojnie, dojdzie pani do siebie. Do widzenia!

Tak, rzeczywiście, bardzo tu spokojnie — pomyślała ironicznie, odprowadzając listonosza spojrzeniem.

Kiedy wyszedł za bramę, zamknęła okno i otworzyła kopertę. W środku był zamówiony online wisiołek z czarnym turmalinem. Przez chwilę obracała go w dłoniach, a potem wsunęła rzemyk w srebrne oczko i zapięła go sobie na szyi. Poszła do łazienki i przejrzała się w lustrze. Wisiołek był ładny, dobrze leżał.

I niby ma pomagać? — pomyślała. — Sama nie wiem... Ale ostatecznie noszenie go nie zaszkodzi. Napar Grety wywołał dobry skutek u Martyny, więc może i turmalin...

Wtedy przypomniała sobie, że przecież Greta wypowiedziała się w sprawie domu. Nie bezpośrednio, ale nalegała na okadzenie białą szalwią. I mówiła o wyganianiu złej energii.

Ona na pewno wie, o co w tym chodzi. Pójdę do niej i zapytam — zdecydowała Diana.

Wyszła od razu, ale musiała wrócić, bo zaczął padać dość intensywny, choć drobny deszcz. Spojrzała w niebo i zobaczyła, że zasnuwane jest

chmurami, co nie zapowiadało szybkiej poprawy pogody. Nie zamierzała jednak zrezygnować z wizyty u czarownicy. Odnalazła w szafie kurtkę z kapturem i tak uzbrojona na niepogodę ruszyła do lasu. Szła szybko, bo krople nieprzyjemnie uderzały w policzki, wiatr się wzmógł. Lisowska zasunęła suwak kurtki pod samą brodę i zaciągnęła sznurek kaptura. Podbiegała co chwila, omijając kałuże tworzące się na polnej drodze, od czasu do czasu ponosząc głowę, żeby sprawdzić, jak daleko jeszcze musi iść. Wreszcie znalazła się przy drewnianym płocie, gdzie zmoknięte kwiaty pochyliły nisko głowy pod ciężarem kropli.

Przy furtce nie było dzwonka, więc musiała wejść na podwórze. Zastukała kilka razy do drzwi. Miała nadzieję, że Greta jest w środku i otworzy, bo wiatr z każdą chwilą stawał się coraz mocniejszy.

Ponowiła pukanie. Coś zaszeleściło i usłyszała głos gospodyni:

— Kto tam mnie niepokoi?

Nie zabrzmiało to przyjaźnie i zachęcająco.

— To ja, Diana Lisowska — odpowiedziała nieco niepewnie.

Zazgrzytał zamek i drewniane skrzydło się uchyliło.

— Wejdz.

Za progiem zdjęła przemoczoną kurtkę i buty. Miała zupełnie mokre skarpetki i zostawiała na deskach podłogi wilgotne odciski stóp.

— Usiądź przy piecu — poleciła Greta, posuwając w jej kierunku taboret.

— I buty o niego oprzyj, to wyschną. — Sama siedziała przy stole i ugniatała coś w moździerz. — Robię maść na bolące stawy — wyjaśniła.

— Zima idzie, więc będzie jak znalazł. Wielu ludzi po nią przychodzi.

— To pani ją sprzedaje? — zdziwiła się Diana.

— Daję za darmo, ale ludzie i tak pieniądze zostawiają. — Uśmiechnęła się. — To cała ludzka natura: plują za czarownicą, ale po maści i syropy przychodzą. Darmo nic ode mnie nie chcą, ale jak zapłacą, to myślą, że nie są mi nic więcej winni i dziękować nie trzeba. Bo jak to tak czarownicy dziękować! I głośno mówią, że w zabobony nie wierzą, ale jak coś nie idzie, to do mnie po zioła przychodzą.

Diana się zamyśliła. Właściwie sama zachowywała się podobnie. Niby nie wierzyła w takie rzeczy, a mimo to okadziła dom.

— Człowiek czasami jest niepewny, lecz gdy szuka pomocy, to łapie się różnych możliwości — powiedziała. — I gotów jest na wiele, żeby poczuć ulgę i spokój.

— W tym nie ma nic złego — odparła Greta. — Ja mówię o hipokryzji.

Diana wyciągnęła nogi bliżej pieca. Stopy zaczynały się już rozgrzewać i miała nadzieję, że uda jej się uniknąć przeziębienia.

— Widzę, że nosisz turmalin — stwierdziła po chwili kobieta.

— Tak, dzisiaj go odebrałam. Tylko właśnie nie bardzo wiem, przed czym ma mnie chronić.

— Ależ doskonale wiesz — odparła Greta. — I dlatego go nałożyłaś. Dobrze, o to właśnie chodzi. I nie daj się zepchnąć z raz obranej drogi. — Odłożyła moździerz, sięgnęła po miskę i zaczęła w niej coś ucierać, mówiąc przy tym: — Prawdziwa miłość nie zawsze przyjeżdża karocą i wybucha fajerwerkami. Często ta najprawdziwsza jest cicha, pojawia się bez krzyku, nie ogłasza swojego nadejścia, a jednak kiedy ją poczujesz, będziesz wiedziała, że to ona. I wtedy niepotrzebne są słowa. Bo miłość jest w sercu, a nie na języku.

Diana po raz kolejny pomyślała, że chciałaby, aby Greta miała rację.

— Przyjdzie i do ciebie, nie martw się — usłyszała.

Już się nie zdziwiła. Przyzwyczyła się do tego, że czarownica wie, o czym ona właśnie myśli.

— A jak ci poszło ze znajomą? Napar z dziurawca pomógł?

— Jeszcze jak! Właśnie miałam podziękować. Martyna wypła i wstała jak nowo narodzona. Już wyjechała i wygląda na to, że wie, co chce robić dalej w życiu.

— Powiedziałaś jej, skąd ten napar i jak działa?

— Powiedziałam. A nie powinnam?

— Uważasz, że ja mam prawo decydować o tym, co robisz? Chciałaś, to powiedziałaś. A dziurawiec to mocne zioło, nigdy mnie nie zawiodło.

Diana zastanawiała się, jak ma zapytać o historię swojego domu. Nie miała odwagi tak wprost.

— Pani Greto, pani na pewno tutaj wszystkich zna — zaczęła ostrożnie.

— Owszem, znam — przytaknęła.

— Ja tu wciąż spotykam się z jakimiś dziwnymi zachowaniami i nie bardzo wiem, co o nich myśleć...

— I znowu chcesz, żebym ja ci to powiedziała?

— Nie, tylko może dowiem się od pani, z czego one wynikają. Na przykład nauczycielka, Anna, ostatnio szarpała małą dziewczynkę, Julkę, nazwała ją też diabelskim pomiotem...

Greta znieruchomiała na moment, ale zaraz wróciła do swojego zajęcia.

— Do pani też żywi silną niechęć — kontynuowała młoda kobieta. — Z kolei matka tej dziewczynki nie pozwala jej wchodzić do mojego domu. Zupełnie nie wiem dlaczego. — Spojrzała pytająco na kobietę.

— Każdy ma swoje powody i przeżycia. Z nich biorą się zachowania. Różne, często dla innych niezrozumiałe. I nie trzeba oceniać, jeśli samemu nie chce się być ocenianym — zakończyła surowo czarownica.

Diana chciała coś odpowiedzieć, ale Greta spojrzała na nią i wskazała ręką okno.

— Przestało padać, możesz już wracać do domu.

Lisowska zrozumiała, że czarownica nie chce dłużej rozmawiać i że nic więcej z niej nie wyciągnie.

— Dziękuję za gościnę — powiedziała.

Wstała i zabrała buty, które już były suche. Gdy wyszła z domu czarownicy, zobaczyła, że nad lasem pojawiła się piękna, wyraźna tęcza. O deszczu świadczyły już tylko kałuże i krople spadające z drzew.





Z yjąc w spokojnym tempie, Diana straciła rachubę dni. Kiedy trwały wakacje, poznawała weekendy po zwiększonej liczbie turystów. Pewnie nadal tak było, ale ostatnio nie bywała w centrum miejscowości.

Dlatego telefon instruktora jazdy trochę ją zaskoczył.

— Pani Diano, tu Rafał.

— Zapomniałam o jeździe? — zdziwiła się.

— Nie, skąd, przecież dzisiaj niedziela — roześmiał się. — Dzisiaj jeżdżę prywatnie.

— Oj, zupełnie się pogubiłam. Miałam sporo różnych spraw w ostatnim czasie.

— To może pani odpoczywa i ja nie w porę...

— Ależ nie! O co chodzi?

— Powiem wprost. Jestem właśnie z żoną i synem w Świętej Katarzynie. Byliśmy już na Łysicy, ale przypomniałem sobie o pani. Mówiłem żonie o czarownicy i tej... szalwii, bardzo ją to zaintrygowało. Może wpadlibyśmy na chwilkę, jeżeli oczywiście nie będziemy pani przeszkadzać? Opowiedziałaby jej pani sama o tych czarach, bo ja nie wszystko pamiętam.

— Nie ma problemu, chętnie opowiem, chociaż w zasadzie niewiele wiem — stwierdziła ze śmiechem Diana. — Proszę jechać w stronę

Bodzentyna i skręcić w drugą uliczkę w prawo. A potem w trzecią w lewo — poinstruowała. — Wyjdę na drogę i będę na was czekała.

Po dziesięciu minutach przy ogrodzeniu zaparkowało granatowe audi. Oprócz Rafała wysiadła z niego korpulentna blondynka i mniej więcej dziesięcioletni chłopiec o włosach równie jasnych jak u jego matki.

— Jak tu pięknie! — Żona instruktora klasnęła w ręce.

— Dziękuję i zapraszam dalej — zawołała Lisowska.

— Może najpierw się poznamy — zaproponowała kobieta. — Mam na imię Monika, a to jest nasz syn, Staś.

— Miło mi, jestem Diana. — Gospodyni wprowadziła gości na werandę i zapytała: — Kawa? Herbata? A dla Stasia woda?

— Nie chcemy robić kłopotu — zaprotestował Rafał.

— Żaden kłopot. Sama miałam właśnie napić się kawy, a w towarzystwie zdecydowanie lepiej smakuje.

— W takim razie też poprosimy. — Monika się uśmiechnęła.

Żona instruktora okazała się energiczną i gadatliwą osobą, równie wesołą jak mąż.

— Podobno chciała pani dowiedzieć się czegoś o białej szalwii — przypomniała Diana, gdy popijali już kawę.

— Hmm, to nie do końca prawda. — Blondynka zrobiła minę jak dziecko, które przyznaje się do psoty. — Chciałam po prostu zobaczyć pani domek. Rafał opowiadał, że przeprowadziła się pani na wieś i zostawiła miasto, a widzi pani, ja marzę o tym od dawna.

— Tłumaczę jej, że Staszek jest jeszcze za mały. Byłyby problemy z dojazdami do szkoły i na zajęcia — wtrącił Rafał. — Ale tak mi suszy głowę, że chyba trzeba będzie się za czymś rozejrzeć...

— Cóż, jeśli chcecie znać moje zdanie, to nie wróciłabym już do miasta — podzieliła się swoją opinią Diana. — Ale ja jestem sama, więc kieruję się innymi kryteriami. Poza tym mnie wystarczy taki mały dom, a dla rodziny zapewne trzeba by czegoś większego i o wyższym standardzie. Tu nie ma wielkich wygód.



— Pani Diano, ja nie marzę o luksusach, tylko o spokoju — westchnęła Monika. — Ale rzeczywiście, miejsca tu chyba byłoby za mało dla naszej trójki. — Rozejrzała się po wnętrzu, zaciekawiona.

— Jeśli pani chce, mogę pokazać cały dom — zaproponowała Diana.

— Bardzo chętnie zobaczę. Nie chciałabym tylko, żeby pani pomyślała, że jestem wścibska czy niegrzeczna...

Obejrzały wszystko. Monika zachwycała się każdym drobiazgiem, widokiem z okien, meblami, deskami na podłodze, a najbardziej spodobała się jej pracownia.

— Nie mówiłeś, że pani jest garncarką! — krzyknęła w stronę werandy.

— Pani jest moją kursantką! — odkrzyknął Rafał. — O nic więcej nie wypytuję!

— Ja tam od razu bym zagadnęła. — Monika mrugnęła do Diany. — Mężczyźni jednak są zupełnie inni.

Nie sposób było jej nie polubić.

— Jeśli podoba się pani zabawa z gliną, to mogę pokazać coś jeszcze. — Diana postanowiła, że pochwali się swoją salą warsztatową.

Na widok wnętrza stodoły Monika pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Co za wspaniały pomysł! Taki kreatywny i niepospolity!

— Muszę przyznać, że dosyć też spontaniczny. Ale okazuje się, że ma sens. Będę tu prowadzić warsztaty dla dzieci. Takie połączenie zajęć kreatywnych z własnoręcznym stworzeniem pamiątki z wycieczki — wyjaśniła Diana.

— Brzmi świetnie i jestem pewna, że się spodoba.

— Już się spodobało. Co prawda na razie jednej grupie, ale liczę, że z czasem będzie ich więcej.

Monika zerknęła na Dianę.

— I z tego pani zamierza żyć?

— Raczej dorabiać. Zawodowo projektuję ogrody.

Wróciły na werandę, gdzie Rafał z synem zajmowali się oglądaniem jakiegoś filmiku w internecie.

— Już zrobiłaś pani przesłuchanie? — zażartował Rafał. — Moja żona nie spocznie, dopóki wszystkiego z ludzi nie wyciągnie — zwrócił się do Diany.

— Bardzo miło nam się rozmawiało — odparła zgodnie z prawdą gospodyni.

— Ty wiesz, co pani tutaj ma? — zapytała męża Monika.

— Sądząc po twoim entuzjazmie, na pewno coś spektakularnego.

— Owszem. I musicie to zobaczyć!

Złapała syna ze rękę i pociągnęła za sobą. Rafał poszedł za nimi. Wrócili do stodoły i Monika z zapalem wyręczyła gospodynię w prezentacji.

— A może Staś chciałby coś ulepić? — zaproponowała Diana, widząc nieco znudzoną minę chłopca.

— Ja bym chciała.

Wszyscy jednocześnie odwrócili głowy.

W drzwiach stodoły stała dziewczynka z warkoczykami i patrzyła na nich nieśmiało.

— Cześć! — powiedziała wesoło Diana. Podeszła do małej, ciesząc się, że widzi ją całą i zdrową. — To jest moja znajoma, Julka — przedstawiła nowo przybyłą. — A to pani Monika, jej mąż pan Rafał i ich syn Staś. Chyba jesteście rówieśnikami — stwierdziła. — Może polepicie razem?

— Z dziewczyną? — mruknął niechętnie chłopiec.

— A co? Boisz się? Dziewczyny potrafią lepić lepiej od chłopaków — zareagowała od razu Julka.

— Na pewno nie — obruszył się chłopiec.

— To ja przyniosę glinę — zawołała Diana i ruszyła do domu.

Małżonkowie zostawili dzieci w stodole, a sami wyszli na podwórze.

— Rezolutna ta mała — stwierdziła uśmiechnięta Monika.

— Coś mi się wydaje, że Staszek dostanie dobrą szkołę życia. — Rafał mrugnął porozumiewawczo.

— Przynajmniej zrobi coś własnoręcznie, zamiast wciąż grać na konsoli — odparła żona. — Ciekawe, jak szybko mu się znudzi.

Przez chwilę w milczeniu obserwowali las na horyzoncie i niebo pokryte niewielkimi chmurami. Po chwili dołączyła do nich gospodyni, która wyjaśniła dzieciom, na czym polega lepienie z gliny.

— I co? Zadowolona? — Mężczyzna spojrział na żonę.

— Bardzo. Teraz już jestem pewna, że chcę się przenieść gdzieś, gdzie będzie tak pięknie i spokojnie jak tutaj.

— Dobrze, kiedy tylko będzie nas na to stać. Na razie czeka nas remont pokoju Stasia.

— Ech, życie! — westchnęła Monika. — Człowiek sobie idzie z głową w chmurach, a własny mąż podzuca kłody pod nogi!

Posiedzieli jeszcze na werandzie, dopili kawę.

— Chyba już czas do domu — powiedział w końcu Rafał. — Zasiedzieliśmy się trochę... — Zerknął na zegarek. — Wiesz, że jesteśmy tu już cztery godziny?

— Lepiej powiedz, gdzie jest nasze dziecko. Wciąż lepi?

Okazało się, że tak — w najlepszej komitywie z nową koleżanką. Wyglądało na to, że ustalili równość płci, bo oboje śmiali się i wyglądali jak starzy znajomi.

— Glina łączy ludzi — skomentowała z uśmiechem Diana.

Rodzice musieli jednak przerwać tę dobrą zabawę.

— Stasiu, jedziemy! — zawołał Rafał. — Pożegnaj się z Julką.

Gospodyni odprowadziła ich do samochodu.

— A co z tą białą szałwią? — zapytał Rafał, gdy już siedzieli w aucie. — Kupować?

— Z taką dobrą energią, jaką ma pani Monika, żadna szałwia nie jest wam potrzebna.

Pasują do siebie idealnie — pomyślała, patrząc na odjeżdżający samochód. — I wyglądają na szczęśliwych. Dobrze widzieć kochającą się rodzinę.

Wróciła, żeby posprzątać i zamknąć stodołę. Julki już tam nie było. Na stole została tylko mała miska z kwiatuszkiem z gliny na dnie. Diana

zabrała ją do pracowni i położyła obok innych przedmiotów czekających na wypalenie.





**M**artyna nie traciła czasu.

— Wstawaj! — Szarpnęła Tobiasza za ramię. — Jedziemy kręcić.

— Ale o co chodzi? — Mężczyzna spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem. — W środku nocy?

— Jest szósta — poinformowała. — Kawa stoi w kuchni na stole, masz pół godziny na zebranie się.

— Powiesz chociaż, dokąd ruszamy? — Usiadł na łóżku i próbował zebrać myśli. — To będzie plener czy wnętrza?

— I plener, i wnętrza, i rozmowy, i panoramy. Wszystko. Najlepiej, jak się da — streściła swoje plany dziennikarka. — Całą noc przygotowywałam konspekt, wiem już, co, gdzie, z kim. Ty wykonuj polecenia i będzie dobrze.

Tobiasz postanowił nie dyskutować z tym wulkanem energii, jakim była w tym momencie Martyna. Po prostu wstał i poszedł pod prysznic.

Kiedy już ubrany wszedł do kuchni, zobaczył, że stojąca przy oknie Wrońska nerwowo bębni palcami po parapecie.

— Wypiję duszkiem i możemy jechać — zapewnił, chociaż w głębi duszy bardzo chciał wrócić do łóżka.

Poprzedniego wieczora czytał do późna, bo liczył na dłuższy poranny sen. Nie przewidział jednak, że przy Martynie wszystko może się zmienić dosłownie w jednej chwili. Szybko i bez przyjemności opróżnił filiżankę

z kawą, która była już zimna. Zabrał torbę ze sprzętem i popędzany przez kobietę opuścił mieszkanie.

Ktoś mógłby pomyśleć, że trudno wytrzymać te wszystkie zwroty akcji i zmiany, jakie fundowała mu Martyna, ale Tobiasz lubił, gdy coś się działo. To stagnacja i rutyna go zniechęcały i w tym byli podobni: nie potrafili usiedzieć w jednym miejscu, pragnęli, żeby w ich życiu coś się działo. Tyle że u Martyny polegało to na podejmowaniu kolejnych działań, a u niego raczej na odczuwaniu różnorodnych emocji.

Dlatego przez wiele lat podróżował, poznawał świat. Podobnie jak dziennikarka szukał swojej drogi, tyle że nie zawodowej, lecz tej prowadzącej do wnętrza. Wiedział już, na czym mu zależy, w czym jest mocny, znał też swoje słabości. Potrafił spokojnie przyjmować to, co przynosił los, nie tracąc przy tym wewnętrznej pasji i chęci podejmowania nowych wyzwań. Ze spokojem przyjmował wszystko, co wymyśliła Martyna, nie brał jej zmiennych nastrojów do siebie i dzięki temu stanowili świetny duet.

— Zdradzisz mi wreszcie, dokąd jedziemy? Bo chyba dłużej nie możesz ukrywać, skoro ja siedzę za kierownicą — zapytał, gdy obydwójce wsiedli do auta.

— Jeszcze się nie domyśliłeś? Oczywiście, że do Diany. Przecież to o niej mamy zrobić pierwszy program.

— Ale to już? — Udało się jej go zaskoczyć.

— Na co mamy czekać? Im szybciej, tym lepiej.

— Czy to znaczy, że znalazłaś sponsora na ten materiał? Jeśli tak, to szacun. — Skłonił głowę. — Idziesz jak burza.

— Niestety, sponsora na razie nie ma — mruknęła. — Ale i nie będzie, dopóki czegoś nie pokażemy. Nikt nie da kasy w ciemno. Muszą zobaczyć, jaka jest koncepcja i czy im się podoba, sam wiesz.

Nie mógł odmówić jej racji.

— No, Tobiasz, odpalaj. — Szturchnęła go. — Mamy tyle pracy, że każda minuta się liczy.

— A Diana wie, że przyjedziemy? — zapytał, chociaż czuł, że zna odpowiedź.

— Nie wie. To niespodzianka — odparła wesoło Martyna. — Za to reszta jest ustalona — dodała tajemniczo.

Tobiasz wolał już nie dopytywać. Po prostu włączył silnik i ruszył.







Lisowska otworzyła im jeszcze w szlafroku, z Kociem na rękach. Na jej zaskoczone spojrzenie Martyna odparła ze śmiechem:

— Przyjechaliśmy zrobić z ciebie telewizyjną gwiazdę.

— Bez żartów — poprosiła Diana, cofając się, żeby wpuścić ich do środka. — Siedziałam pół nocy, bo skasował mi się projekt i musiałam go robić na nowo, więc nie jestem gotowa na gwiazdorzenie ani fizycznie, ani duchowo.

— Tobiasz też narzekał, że nie chce wstawać, a popatrz, jaki już rześki. — Dziennikarka nie dawała za wygraną. — Wypijesz kawkę, założysz coś ładnego, zrobisz oko i będzie dobrze.

— Z tego wszystkiego na razie przemawia do mnie tylko kawa. — Diana ziewnęła.

Tobiasz uśmiechnął się lekko, a Martyna już kręciła się po kuchni.

— Cały czas taka nakręcona? — szepnęła gospodyni do mężczyzny.

— Jak widzisz — odparł równie cicho.

Lisowska znowu ziewnęła i zastrzegła:

— Ale ja nie mam zamiaru się stroić ani robić wieczorowego makijażu.

— Jeśli masz dość sił, żeby z nią walczyć, to próbuj. Ale ostrzegam, że do tej pory nikomu się to jeszcze nie udało.

Diana ani myślała toczyć walkę. Spokojnie wypila kawę, a potem poszła do łazienki, skąd wyszła w zgniłozielonym szerokim swetrze i brązowych

sztruksach.

— Ty tak serio? — Martyna otworzyła szeroko oczy. — Weź się przebierz w jakąś kiecę, co?

Diana stanęła przed dziewczyną.

— Posłuchaj, bardzo się cieszę, że masz tyle zapału i z takim zaangażowaniem podchodzisz do swojego projektu — powiedziała powoli i spokojnie. — Zgodziłam się, żebyś zrobiła o mnie program, chociaż wiesz, że nie byłam do tego zupełnie przekonana. Uszanowałam jednak to, że bardzo tego chciałaś. Rozumiesz?

Martyna, zaskoczona zachowaniem Diany, tylko skinęła głową.

— To dobrze. — Ogrodniczka się uśmiechnęła. — Teraz jeszcze powinnaś zrozumieć, że jeśli to ma być program o mnie, to musi być o mnie. Wiesz, co chcę powiedzieć?

Tobiasz z zainteresowaniem przyglądał się rozgrywającej przed nim scenie.

— A ja nie jestem laską w obcisłej kiecce i z wymalowanymi rzęsami. Noszę szerokie swetry, tenisówki, a do prac ogrodowych wkładam kalosze. Często mam brudne ręce od gliny lub ziemi. Bywam zmęczona, czasami smutna, ale nigdy sztuczna. I tego nie udało się we mnie zabić nikomu. Rozumiesz? NIKOMU! — Odetchnęła głęboko. — Dlatego jeżeli mamy to zrobić, będziesz musiała zaakceptować moje warunki. W innym razie rezygnuję — skończyła i usiadła na swoim miejscu przy stole, czekając na odpowiedź Martyny.

Dziennikarka przechyliła głowę i przyjrzała się Lisowskiej.

— Wow! To było imponujące — powiedziała w końcu. — Aż szkoda, że tego nie nagraliśmy.

Tobiasz posłał jej karcące spojrzenie.

— Dobra, żartowałam — od razu zmieniła ton. — Chyba po to, żeby jakoś ukryć moje zawstydzenie. Oczywiście, masz rację i akceptuję wszystko, co powiedziałaś. Mało tego: uświadomiłaś mi, że znowu się zapomniałam. Chciałam zrobić materiał taki, jak sobie wymyśliłam. A przecież mam pokazywać prawdę, nie wykreowany obraz.

Tobiasz uniósł kciuk, ale tak, żeby zobaczyła go tylko Diana. Ta uśmiechnęła się lekko i zapytała dziennikarkę:

— W takim razie co mam robić? Bo nigdy nie byłam bohaterką reportażu...

Kilka godzin później przyznała, że Martyna i Tobiasz byli prawdziwymi profesjonalistami. Nie musiała się niczym martwić, po prostu robiła to, co zwykle: usiadła przy komputerze, potem przy kole garncarskim. Przejechała się drogą na rowerze, pokazała stodołę. Rozmawiała z Martyną o swoich planach, o tym, z czego jest zadowolona, a czego się obawia. Pytania były nienachalne, więc Lisowska odpowiadała szczerze i bez stresu. Tobiasz krążył wokół nich z kamerą, ale robił to bardzo dyskretnie. Ekipa pracowała sprawnie, widać było, że obydwójce rozumieją się bez słów. A kiedy już coś mówili, to Diana i tak nic z tego nie rozumiała. Ich telewizyjne terminy i skrótory brzmiały jak zupełnie obcy język.

— Koniec — oświadczyła w pewnej chwili Martyna. — Możemy napić się kawy.

— Już? — zdziwiła się Diana. — Szybko poszło.

— Już dla ciebie. — Tobiasz się uśmiechnął. — My mamy pewnie jeszcze plenery? — Zerknął na dziennikarkę.

— Tak, jak najbardziej. I jeszcze coś. Która godzina?

— Po jedenastej — odpowiedziała Diana.

— No to akurat na kawkę, a później jedziemy.

— Dokąd? — zainteresowała się gospodyni.

— Nie pytaj, i tak nie powie. — Operator pokręcił głową.

Rzeczywiście, nie pisnęła ani słowa. Dopiero gdy skręcili w znajomą uliczkę, Diana odgadła cel ich przyjazdu.

— Umówiłaś się z Wolińskim!

— Jesteś zaskoczona? Przecież muszę pokazać efekty twojej pracy, a ogród jest piękny. Poza tym właściciel zgodził się powiedzieć kilka słów o tobie.

Woliński przyjął ich serdecznie i z uśmiechem.

— Kawy? — zaproponował.

— Ja dziękuję, bo mi serce wysiadzie — odmówił Tobiasz. — Przed chwilą wypilem poprzednią.

Diana również podziękowała.

— A ja poproszę — odparła Martyna.

— Panie Krzysztofie, ja nic nie wiedziałam o tym całym zamieszaniu. — Lisowska spojrzała przepraszająco na mężczyznę. — Sama dowiedziałam się dopiero przed chwilą. Martyna niepotrzebnie zawracała panu głowę...

— Pani Diano, ależ ja z wielką przyjemnością opowiem o tym, co pani stworzyła — zapewnił Woliński. — Proszę sobie z tego powodu nie robić żadnych wyrzutów. Poza tym sama pani doskonale wie, że pani redaktor nie da się odmówić.

Tym razem Martyna nie poprawiła go. Najwyraźniej znowu poczuła się dziennikarką. I udowodniła to natychmiast, wykorzystując nadarżającą się okazję.

— Naprawdę uważa pan, że nie da się mi odmówić? — Uśmiechnęła się zalotnie i podeszła bliżej biznesmena.

— A komuś się to udało? Jeśli tak, to proszę mu pogratulować. Ja nie potrafię. — Bezzadnie rozłożył ręce.

— Skoro tak, to może zechce pan być sponsorem tego reportażu? — Martyna nie przestawała się uśmiechać. — W zamian za reklamę pańskiej firmy. No i oczywiście, pan w nim wystąpi, więc to też dodatkowy PR...

— No to mnie pani podeszła — roześmiał się serdecznie Woliński. — Teraz nie mam wyjścia, muszę się zgodzić. Ale gdyby pani chciała zmienić zawód, zatrudnię panią bez wahania. Chciałbym mieć takich skutecznych handlowców!

Nagrali Wolińskiego, który na tle astrów opowiedział o pracy Diany. Gdy się z nim pożegnali, odwieźli projektantkę do jej domu i ledwie udało im się wymówić od obiadu.

— Plenery, kochana, plenery czekają. — Martyna była nieustępliwa. — Musimy mieć piękną czołówkę i przebitki. Ale zajrzę do ciebie niedługo, obiecuję.

Ruszyli. Tobiasz popatrzył w lusterko, w którym widać było machającą im kobietę.

— Ty to zaplanowałaś?

— Co?

— Tę akcję z Wolińskim.

— Wyobraź sobie, że nie. Ale wykorzystałam moment. To źle?

— Nie, bardzo dobrze. Zastanawiałem się, czy jesteś taka przebiegła, czy po prostu masz szczęście.

— Diana powiedziała, że trzeba robić to, co się lubi, a wtedy wszystko się układa. Trochę nie wierzyłam, ale okazuje się, że to prawda.





— Pani Diano, mówi Rafał. Czy pani jeszcze pamięta, kim jestem?

Gdyby stał naprzeciw niej, nie wiedziałaby, gdzie podziąć oczy. Telefon od instruktora uświadomił jej, że poprzedniego dnia miała wyznaczoną kolejną jazdę. Zupełnie o tym zapomniała!

Problem z komputerem mocno ją zdenerwował. Rano powinna była wysłać projekt. Pewna, że skończy go w godzinę, góra dwie, włączyła urządzenie i zorientowała się, że plik ze zleceniem zniknął. Sprawdziła kosz, na wypadek gdyby przypadkiem go usunęła, przeszukała inne foldery. Bezskutecznie.

Zastanawiała się, czy nie poinformować zleceniodawcy o opóźnieniu, ale tę robotę załatwiła jej Baranowska dla zupełnie nowego dewelopera, więc niedotrzymanie terminu byłoby zawodem dla tej, która bardzo jej pomagała, ale i wpadką, mogącą zaważyć na dalszej współpracy z nowym klientem. Lisowska zdecydowała, że się nie podda tak łatwo. W efekcie zarwała noc, ale kiedy wraz ze wschodem słońca wysłała gotowe dzieło, poczuła satysfakcję.

Planowała, że wyśpi się i spokojnie zdąży na jazdę, która wypadła tym razem o siedemnastej. Tymczasem pojawiła się Martyna i tak zaabsorbowała ją nagrywaniem reportażu, że Diana zupełnie oderwała się od bieżących spraw.



— Bardzo przepraszam, panie Rafale! Wypadło mi coś nieoczekiwanego. Wiem, powinnam uprzedzić o nieobecności, ale proszę wierzyć, nie miałam do tego głowy.

— Mam nadzieję, że nic złego się nie stało — zaniepokoił się Rafał.

— Och, nie! — uspokoiła go szybko. — Ale naprawdę mi przykro, że czekał pan na mnie.

— Cóż, różne rzeczy się zdarzają, takie jest życie. Mam nadzieję, że nie zrezygnowała pani zupełnie z jeżdżenia ze mną?

— Oczywiście, że nie. Proszę podać termin. Obiecuję, że na pewno tym razem będę.

— O tym za chwilę. Bo tak naprawdę to dzwonię do pani też w innej sprawie. — Po chwili dodał: — Monika kazała mi się z panią skontaktować. Jest nadal pod wielkim wrażeniem tej pani stodoły.

— Miło mi.

— Tak, szczególnie że praca z gliną zajęła Stasia na tak długo, a może mi pani wierzyć, że to ogromny sukces.

Diana poczuła, że robi jej się ciepło wokół serca.

— Żona pracuje w ośrodku metodycznym — kontynuował Rafał — i w związku z tym prosi, żeby przywiozła pani swoją ofertę na naszą kolejną lekcję jazdy. Chciałaby polecić ją w podległych ośrodkowi szkołach i może rozesłać do innych metodyków w kraju.

— Naprawdę?!

— Do spraw zawodowych Monika zawsze podchodzi bardzo serio — zapewnił Rafał. — Oczywiście zastrzega, że niczego nie może obiecać, ale ma nadzieję, że uda jej się spopularyzować pani pomysł.

— Bardzo się cieszę i oczywiście przywiozę ofertę — zapewniła Diana z radością.

— No to teraz przynajmniej będę miał pewność, że stawi się pani na nasze spotkanie — roześmiał się Rafał.

Umówili termin, a po zakończeniu rozmowy Lisowska od razu zapisała przypominajkę w swoim telefonie. Uznała też, że musi wprowadzić w swoje życie nieco dyscypliny.

Bardzo miłe jest takie beztroskie życie, ale nie może to odbywać się kosztem priorytetów — doszła do wniosku. — Nigdy nie zdarzało mi się zapominać o zobowiązaniach, spóźniać się czy nie dotrzymać terminu. A teraz?

Usiadła więc z kartką i zaczęła zapisywać, czym powinna się z całą pewnością zająć. Oczywiście na pierwszym miejscu znalazła się praca, potem jazdy z Rafałem. Dodała do spisu ogród Wolińskiego i warsztaty dla dzieci.

I tę listę będę codziennie kontrolowała — postanowiła, wieszając kartkę między kuchennymi szafkami, w miejscu, na które zawsze rano patrzyła, wstawiając wodę na herbatę. — Dopiero kiedy stwierdzę, że w najważniejszych sprawach nie mam zaległości, będę pozwalala sobie na przyjemności — postanowiła. — Cóż, proza życia musiała mnie w końcu dopaść.

Zasmucilo ją to trochę, bo poczuła, jakby żegnała coś miłego, co dodawało jej życiu kolorów, a zmuszona była przyjąć na powrót szarą codzienność.

Ale dziś ze wszystkich obowiązków się już wywiązałam. — Starala się znaleźć coś pozytywnego w tej nowej sytuacji, którą właśnie sobie narzuciła.

Zastanawiała się, co zrobić z resztą dnia. I przypomniała sobie, że przecież powinna odwiedzić pana Stacha. Kiedy była u niego ostatnim razem, przestraszona widokiem samochodu Mateo nawet nie zagadnęła o kubki. A była ciekawa, czy choć jeden się sprzedał. Nie zastanawiając się dłużej, dopiła herbatę, nałożyła Kociowi śniadanie do jego niebieskiej miski i udała się na spotkanie z rzeźbiarzem.

Pan Stach, oczywiście, siedział tam, gdzie zawsze.

Można powiedzieć, że jest stałym punktem tego miejsca — pomyślała Lisowska. — Mam wrażenie, jakby był tak samo nieśmiertelny jak tutejsze klasztor czy kapliczka. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby go tu nie być.

Przywitała się i usiadła obok na trawie.

— Następnym razem warto sobie krzeselko przynieść — zauważył mężczyzna. — Ziemia już coraz zimniejsza, wilka można złapać.

— Będę o tym pamiętać.

Rozmowy z panem Stachem nie trzeba było prowadzić na siłę. Mówiło się wtedy, gdy było coś do powiedzenia, a cisza, nawet trwająca dość długo, nie stawała się ciężarem.

— Niech mi pan powie, jak się panu udaje robić tylko to, co pan chce? — zapytała. — Bo mnie dogoniła konieczność wypełniania obowiązków.

— Jak się zachce wykonywać obowiązki, to przestają być obowiązkami — odparł starzec.

— Niby tak, ale nie do końca. Bo ja lubię swoją pracę, a ostatnio ją zaniedbywałam.

— Widać taki był czas. — Mężczyzna bez pośpiechu pyknął swoją fajkę. — Może trzeba pani było tego zaniedbania, żeby odpocząć.

— Może... Tylko wolności i beztroski mi żal. Tak fajnie mi się żyło, kiedy wciąż nie musiałam myśleć o tym, co mam do zrobienia. Ale bez planu wszystko się rozłazi — przyznała Lisowska.

— Rozłazi albo i nie. — Stach wzruszył ramionami. — Ja tam robię wszystko po kolei i nie muszę mieć żadnych planów. Jak trzeba rzeźbić, to rzeźbię, jak warzywa wyplewić, to plewię. Wszystko ma swój czas i samo daje znak, że pora się tym zająć.

— A jeśli się zapomni?

— Czasem i to się zdarza. Nikt nie jest idealny.

Jakie to proste podejście — pomyślała. — Właściwie to pan Stach ma rację: nikt nie jest idealny. Dlaczego więc ja tak przeżywam każde, nawet najmniejsze niedopatrzenie? Dlaczego tak wyolbrzymiam? Do siebie mam pretensje, i to większe niż inni. Muszę się nad tym zastanowić.

— A jak tam kubki i miseczki? — odważyła się zapytać.

Odkąd przyszła, zerknęła na stolik, ale nie zauważyła na nim żadnej swojej pracy. Zastanawiała się, czy pan Stach je sprzedał, czy może po prostu schował, bo nie budziły zainteresowania.

— Tak właśnie się zastanawiałem, czy pani w końcu zapyta. Cóż tu powiedzieć... — Zawiesił głos i sięgnął do kieszeni kurtki. — Przyszła pora rozliczenia.

— A więc ktoś coś kupił!

— Owszem. I wygląda na to, że będzie pani musiała ulepić więcej. — Odliczył kilka banknotów z wyjątego pliku i podał Dianie. — To pani zarobek — powiedział.

Popatrzyła na pieniądze i nie mogła uwierzyć.

— Tu jest ponad trzysta złotych.

— A co? Za mało? — Mężczyzna popatrzył na nią, udając zdziwienie.

— Nie, przeciwnie, nie spodziewałam się... — Naprawdę była zaskoczona. — I wszystkie się sprzedały? — Nie dowierzała.

— Co do sztuki. A teraz może sprzedać się jeszcze więcej, bo zaczyna się sezon wycieczek. Do końca października będzie dobry czas, więc niech pani nie siedzi po próżnicy na trawie, tylko idzie lepić — mruknął, lecz uśmiechnął się przy tym lekko.

Diana schowała pieniądze.

— Ale pan swoją część też sobie wziął? — upewniła się.

— Była umowa, a ja umów dotrzymuję — odparł poważnie.

— W takim razie lecę do pracowni. Już dzisiaj przygotuję pierwszą porcję, akurat mam wolne popołudnie.

— A nie mówiłem, że wszystko ma swój czas i samo przypomni, że jest do zrobienia? — Pan Stach spojrział na nią porozumiewawczo.

— Rzeczywiście, pan zawsze ma rację. Dużo się uczę od pana. Tak jak od pani Grety.

— Rozmawiała pani z nią? — zainteresował się starzec.

— Tak, byłam u niej w domu, nawet dwa razy. I dostałam napor z dziurawca — pochwaliła się.

— Wpuściła cię do domu? Do środka? — zdumiał się rzeźbiarz.

— Tak.

— To musiała coś w tobie zobaczyć — cmoknął kilka razy. — No, no! Greta mało kogo do domu wpuszcza, większość tylko na progu przyjmuje,

w uchylonych drzwiach. No, no! — Pokiwał głową. — A teraz niech pani idzie te kubki robić — przypomniał. — A Grety warto słuchać. To mądra kobieta.





Zdołała zrobić aż dwadzieścia kubków i zauważyła, że nabiera coraz większej wprawy. Oczywiście wymagały jeszcze szkliwienia, ale to odłożyła na kolejne popołudnie. Tylko w kilku sztukach mogła dopatrzeć się niedoskonałości, a i to tylko wtedy, gdy bardzo uważnie się przyjrzała.

Nie ma się czym przejmować, w końcu to ręczna robota, a nie odlewy. Drobne różnice to ich zaleta, nie wada — pomyślała.

Podczas pracy przemyślała słowa pana Stacha i swoje refleksje. Doszła do wniosku, że dotychczas za wszelką cenę chciała mieć wszystko pod kontrolą, jakby najmniejszy błąd miał ją drogo kosztować. Wydawało się jej, że powinna wszystko wiedzieć i robić doskonale, bo w przeciwnym wypadku zostanie źle oceniona. A tego nie chciała, wiedziała, jakie to bolesne.

Ile razy słyszałam od Mateo, że czegoś nie potrafię, albo że liczył na więcej — przypomniawszy sobie ze smutkiem. — Do obiadu była tylko jedna surówka, mogłam zdobyć lepsze zlecenie, nie potrafiłam myśleć logicznie, nie przewidziałam, że będzie chciał założyć niebieską koszulę...

Niby drobnostki, a jednak za każdym razem tworzyły kolejny wyłom w jej pewności siebie i poczuciu własnej wartości. W końcu zaczęła wręcz obsesyjnie zastanawiać się, co powinna zrobić i czego nie wolno jej zaniedbać, żeby nie okazać się „głupiutką” lub „nieogarniętą”. Nawet nie zauważyła, kiedy potrzeba kontrolowania wszystkiego i chęć bycia

doskonałą przeniosła się na wszystkie sfery jej życia. Zrosła się z nią i stała jej częścią.

Dopiero tutaj, w nowym domu, jakimś cudem skruszyła tę twardą, grubą skorupę i pozwoliła sobie na spontaniczność. I dobrze się z tym czuła, odpowiadało jej to.

Mało brakowało, a z powodu drobnych potknięć znowu dobrowolnie przywdziałabym ten pancerz — pomyślała z przerażeniem. — Co za szczęście, że porozmawiałam z panem Stachem! On potrafi kilkoma słowami wszystko człowiekowi wyprostować.

Następnego ranka zerwała kartkę, którą powiesiła w kuchni — listę obowiązków. Zmiała ją i wyrzuciła.

— „Samo przypomni, że jest do zrobienia” — powtórzyła cicho słowa rzeźbiarza. — Wszystko jest w mojej głowie — dodała od siebie. — Wiem, czym powinnam się zająć.

I właśnie dlatego po wypiciu herbaty sprawdziła, gdzie mieści się firma Wolińskiego, i z zadowoleniem stwierdziła, że to miejscowość niedaleko Bodzentyna. Przeanalizowała mapę w nawigacji, która pokazała, że odległość od jej domu do celu wynosi dziesięć kilometrów.

Niedaleko. Pojadę rowerem, a przy okazji obejrzę sobie ruiny zamku w Bodzentynie, bo nigdy tam nie byłam — zdecydowała.

Wyjrzała przez okno i popatrzyła w niebo. Wyglądało na to, że pogoda powinna się utrzymać, choć daleko na horyzoncie czaiła się jakaś ciemna chmura.

Może przejdzie bokiem — pomyślała z nadzieją, ale na wszelki wypadek zapakowała do podręcznego plecaka kurtkę przeciwdeszczową. Dopakowała jeszcze butelkę wody i kanapkę w papierowej torebce.

Kocio jak zawsze miał w nosie jej plany i spał zwinięty w kłębek na fotelu przed komputerem.

— Wrócę dopiero po południu — poinformowała go na wszelki wypadek Diana.







Udało jej się dojechać do Bodzentyna, choć musiała przyznać, że trochę przeceniła swoje siły. Dla wytrawnego rowerzysty te dziesięć kilometrów zapewne byłoby ledwie rozgrzewką, ale ona przecież jeździła tylko do sklepu i do Wolińskiego, niedaleko. Nie poddawała się jednak, choć czuła, że pot spływa jej strużką po plecach.

Może gdybym miała lepszy rower, byłoby łatwiej? — zastanawiała się. — Ten mój to miejski model z trzema przerzutkami, a nie terenowy czy górski.

Kiedy wreszcie zobaczyła wzniesienie i kościół, a potem minęła tabliczkę z nazwą miejscowości, poczuła ulgę. Gdy dojechała do stóp wzniesienia, na którym znajdowały się ruiny, zsiadła z roweru i wyprostowała plecy.

Spodobało jej się w Bodzentynie. Usiadła na chwilę na skwerku przy rzeczce. Było tu schludnie, ścieżki wyglądały na nowe, a trawę krótko przystrzyżono.

Miło tu przyjść na spacer czy żeby posiedzieć nad wodą — oceniła.

Miała jednak inny cel. Popatrzyła na drogę biegnącą pod górę, chwyciła za kierownicę i rozpoczęła wędrowkę. Wiedziała, że nie uda jej się wjechać, więc musiała wprowadzić swój pojazd. Ten etap podróży też kosztował ją sporo wysiłku, lecz w końcu stanęła przed ogrodzeniem oddzielającym ruiny od ulicy. Na szczęście furka była otwarta.

Lisowska obeszła cały teren i nie mogła zdecydować, co sądzić o tym, co zobaczyła. Pozostałości zamku wyglądały bardzo malowniczo wśród licznych drzew. Patrząc na nie, zdała sobie sprawę, jak potężna to była kiedyś budowla. Gdy jednak podeszła bliżej, zobaczyła pomazane farbą kamienne ściany, zarośnięte chwastami zbocze, a między fragmentami murów butelki, puszki i inne śmieci, być może po nocnej zabawie zakrapianej alkoholem.

Powinni bardziej zadbać o ten zabytek — stwierdziła krytycznie. — Oczywiście, warto go zobaczyć, ale z pewnością dbałość o otoczenie by nie zaszkodziła.

Oparła rower o fragment muru, usiadła obok i zjadła z apetytem kanapkę. Posiedziała jeszcze chwilę, starając się wyczuć atmosferę minionych wieków.

Kiedy poczuła, że nabrała sił, ruszyła dalej. W końcu nie była to wyłącznie turystyczna wycieczka, a wyprawa w konkretnym celu. Pozostałą część drogi pokonała bez problemu, odpoczynek w Bodzentynie okazał się dobrym pomysłem.

Zatrzymała się przed bramą firmy Wolińskiego. Powiodła wzrokiem po ogrodzeniu, starając się ocenić wielkość placu. Nie spodziewała się, że jest aż tak duży. Z przodu, bliżej bramy, znajdował się dwupiętrowy biurowiec z dużym parkingiem. Dalej stały prawdopodobnie hale produkcyjne i magazyny — kilka sporych budynków z wielkimi bramami i oknami usytuowanymi tuż pod dachem.

Diana uświadomiła sobie, że czeka ją nie lada wyzwanie. Pustą przestrzeń w szczerym polu trzeba było zaaranżować tak, żeby nie tylko cieszyła oko, ale i pasowała do charakteru budynków. Nie przeraziło jej to jednak. Lubiła wyzwania.

Wprowadziła rower przez bramę i umieściła w stojaku przed wejściem do biurowca. Minęła szklane drzwi i podeszła do recepcjonistki.

— Dzień dobry, czy zastałam pana Wolińskiego?

— Była pani umówiona?

— Nie. Proszę powiedzieć, że przyjechała Diana, i zapytać, czy znajdzie dla mnie chwilę.

Recepcjonistka spojrzała podejrzliwie na jej dzinsy i bluzę.

— Proszę tam poczekać. — Wskazała na fotel po drugiej stronie hallu.

Diana poszła we wskazanym kierunku, ale zanim przemierzyła dużą pustą przestrzeń, usłyszała wołanie.

— Pan prezes zaprasza. — Teraz recepcjonistka zdobyła się na uśmiech. — Drugie piętro, korytarzem w lewo i do końca.

— Dziękuję.

Sekretarka Wolińskiego już wiedziała o jej przyjeździe i od razu otworzyła drzwi gabinetu.

— Jak miło panią widzieć! — zawołał biznesmen.

Wstał zza dużego biurka, na którym stał otwarty laptop i leżały teczki z jakimiś dokumentami.

Diana powiodła wzrokiem po wnętrzu. Na ścianach gabinetu wisiało kilka grafik, pod oknem stały stolik i dwa fotele, a za biurkiem regały, w których umieszczono jakieś statuetki.

Zapewne nagrody dla firmy — domyśliła się.

— Rozumiem, że przyjechała pani dokonać wizji lokalnej. — Woliński podszedł do niej z uśmiechem. — I jak wypadła?

— Cóż, rzeczywiście przydałoby się tu trochę zieleni — odparła delikatnie, bo tak naprawdę w całym budynku nie widziała ani jednej rośliny.

— W pokojach jest lepiej, pracownicy przynoszą coś zielonego, lecz korytarze i hall to pustynia — ocenił krytycznie Woliński. — No, ale teraz to się zmieni i będzie pięknie.

— Mam nadzieję. — Uśmiechnęła się.

— A ja jestem pewna.

Diana była zaskoczona, usłyszawszy znajomy głos. Fotel przed biurkiem Wolińskiego obrócił się i zobaczyła siedzącą na nim Martynę.

— Ależ ten świat mały, prawda? — Dziennikarka wstała i uściskała Dianę.

— A co ty tutaj robisz? — zapytała zdumiona projektantka.

— Przyjechałam omówić sprawę wsparcia finansowego. Wolałam nie ryzykować, że pan prezes się rozmyśli.

— Trzeba przyznać, że pani redaktor jest niezwykle skuteczna, gdy jej na czymś zależy — odparł Woliński.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi.

— Czy podać coś do picia? — zapytała sekretarka, zaglądając do gabinetu.

— Nie, dziękujemy. Mam lepszy pomysł — uznał Woliński.

Sekretarka wyszła, a on popatrzył na kobiety i zmrużył oczy jak chłopiec, który szykuje jakąś psotę.

— Co panie powiedziałyby na przeniesienie dalszych rozmów na nieco mniej oficjalny grunt? A konkretnie na grunt mojego ogrodu?

Diana była zaskoczona, za to Martyna od razu podchwyciła pomysł.

— Z przyjemnością — roześmiała się radośnie. — A ma pan grilla?

— Oczywiście, choć jeszcze nie miałem okazji go użyć.

— W takim razie dziś będzie ten pierwszy raz. Prawda, Dianko?

— Właściwie nie mam innych planów...

Woliński poinformował sekretarkę, że wychodzi i dzisiaj już go nie będzie w firmie. Na parkingu załadował rower Diany na bagażnik na dachu i po chwili dwa samochody zmierzały w kierunku Świętej Katarzyny.

Spontaniczna impreza okazała się bardzo udana. Gospodarz wyjął z lodówki mnóstwo wiktuałów, a Martyna ściągnęła Tobiasza, który przyjechał busem, a mimo to przywiózł ze sobą torbę pełną kiełbasy, boczku i karkówki. Woliński wystawił dwie butelki czerwonego wina, a Diana z Martyną przyrządziły pyszną improwizowaną sałatkę. Rozmawiali do późna, śmiali się, jedli i pili — to ostatnie bez Tobiasza, który zadeklarował się jako kierowca.

Diana świetnie się bawiła i czuła, jakby znała tych troje od dawna.

Chyba zyskałam nowych przyjaciół — pomyślała. — A jeszcze niedawno tak bardzo w to wątpiłam. Może jednak to okadzanie i czarny turmalin pomogły?







**K**olejne dni minęły szybko. Diana miała sporo zajęć, Krzysztof Woliński bowiem przysłał jej plany budynku oraz działki i mogła zacząć pracę nad projektem. Zrobiła też kolejne kubki i miseczki dla pana Stacha. Ale zupełnie niespodziewaną radością było to, co zrobiła dla niej Monika, żona instruktora jazdy.

— Panie Rafale, nie wiem, jak się jej odwdzięczę! — powiedziała do niego po ostatniej jeździe. — Mam sześć zgłoszeń na warsztaty. Pytałam zainteresowanych, od kogo się o mnie dowiedzieli, i wszyscy odpowiedzieli, że od pańskiej żony.

— Powiem jej o tym, ucieszy się.

— Chciałabym jej osobiście podziękować. Może odwiedzić mnie państwo w najbliższą niedzielę? — zaproponowała. — Przygotuję coś więcej niż kawę.

— Myślę, że Monika nie będzie miała nic przeciwko temu. Zakochała się w tym pani domku. A będzie też u pani ta dziewczynka? Staś miałby się z kim pobawić.

— Tego nie wiem. Ona przychodzi, kiedy chce.

— Naprawdę ciekawa jest ta Święta Katarzyna: czarownice, dzieci pojawiające się nieoczekiwanie... — Rafał się uśmiechnął.

— I ogrodniczka garncarka, która ostatnio nauczyła się parkować — dopowiedziała Diana. — W takim razie jesteśmy umówieni. Czekam



w niedzielę.

Skinął głową.

— A my kiedy pojeździmy kolejny raz? — zapytała.

— Obawiam się, że to nasze ostatnie spotkanie. — Instruktor zrobił smutną minę.

— Dlaczego?!

— Dlatego że pani już świetnie jeździ i jest gotowa sama usiąść za kierownicą.

— Mówi pan serio? Bo wcale nie czuję się jeszcze pewnie — zaproponowała kobieta.

— To zrozumiałe, ale trzeba zaryzykować. Tu już więcej się pani nie nauczy, pora na samodzielność.

— W takim razie muszę na serio pomyśleć o kupnie samochodu — westchnęła.

— Powiedziała to pani tak, jakby spotkała panią kara — roześmiał się Rafał. — Głowa do góry, w niedzielę o tym pogadamy. Może coś doradzę.





**W**ieczorem Diana przeanalizowała swoje finanse. Okazało się, że ich stan przedstawiał się lepiej, niż sądziła. Wpłynęły już pieniądze za kilka projektów, a w perspektywie kobieta miała jeszcze warsztaty, za które też wpadnie trochę grosza. Wpływy z kubków stanowiły miły, choć niewielki bonus, ale sprawiły jej szczególną radość.

Wychodziło na to, że może kupić niedrogie auto bez naruszania oszczędności. Perspektywa mniejszych dochodów zimą nie była już taka straszna, a niedługo powinna mieć nowy piec.

Tego dnia położyła się spać z lekkim sercem. Zasnęła z poczuciem, że jej życie nareszcie zmierza w dobrym kierunku i przynosi jej coraz więcej satysfakcji.





Ogień trzaskał w kominku, a u stóp siedzącego przy nim mężczyzny leżał nieduży, biszkoptowy kundel z poszarpanym uchem. Słyszając pukanie do drzwi, uniósł czujnie łeb i poruszył nosem. Natychmiast jednak złagodniał i z powrotem położył się na podłodze.

— Otwarte! — krzyknął mężczyzna.

Zaskrzypiały zawiasy i do pomieszczenia weszła kobieta. Zdjęła chustkę, którą okrywała ramiona, i powiesiła ją na wieszaku przy drzwiach.

— Witaj, Stachu! Nie zamykasz się?

— Wiedziałem, że to ty. Kaprys cię wyczuł — odpowiedział mężczyzna.  
— On wie, kto idzie, a złych ludzi wyczuwa z daleka. Kto by tu zresztą chciał zaglądać?

Kobieta podeszła i przysiadła po drugiej stronie drewnianej ławy.

— Wieczory już zimne — powiedziała. — Niedługo jesień, przyroda zacznie zamierać.

— Ale wiosna się odrodzi. Ty to wiesz najlepiej.

— Racja, chociaż co roku przykro patrzeć na te rośliny, które nie przetrwają zimowego czasu.

— Co robić, taka kolej rzeczy. Najsilniejsze zawsze potrafią oprzeć się nawet największym wichurom. — Po tych słowach Stach sięgnął po drewno i dłuto.

— Przyniosłam ci tę maść, o którą prosiłeś. — Kobieta wyjęła z kieszeni spódnicy pękaty słoik. — Ale do lekarza mimo wszystko powinienes się wybrać.

— I to mówi zielarka? — roześmiał się tubalnie. — Co by twoi klienci na to powiedzieli?

— Ja nie mam klientów, wiesz dobrze — odparła. — A ludziom nigdy lekarza nie odradzam. Zioła pomagają, owszem, ale wszystkiego nie wyleczą.

— Za to biała szakwia dom Maciejaka oczyściła? — Zerknął spod oka.

— Rozmawiałeś z nią?

— Nie raz. Ale ty podobno nawet do domu ją wpuściłaś. I rad jej udzielasz. Oj, Greto, miękniesz na stare lata...

— To nie tak. — Zielarka pokręciła głową. — Ona jest inna. Mówiła o Annie, Julka do niej przychodzi. Ludziom pomaga, chociaż ze sobą dopiero zaczęła się układać.

— I całkiem dobrze jej to idzie — dodał Stach. — Coś mi się wydaje, że ona tu może sporo namieszać.

— Może to i dobrze — westchnęła Greta. — Już za dużo tych tajemnic i nienawiści. Pora, żeby coś się zmieniło.

— A jeśli zmieni się na gorsze?

— Jeśli intencje są czyste, to nic złego nie stworzą. — Wstała i przyglądała spódnice. — Idź do tego lekarza, Stachu — poprosiła. — Ja już ci bardziej nie pomogę.





**D**iana obudziła się w doskonałym nastroju. Pogłaskała Kocia śpiącego na poduszce obok.

— Cześć, kocie!

Podeszła do okna, otworzyła je i pchnęła okiennice. Słońce zaświeciło jej prosto w oczy i musiała je gwałtownie przymknąć. Z rozkoszą wystawiła twarz w stronę ciepłych promieni.

Jestem szczęśliwa! — pomyślała.

Niespiesznie poszła do kuchni i zaparzyła herbatę. Delektowała się każdą chwilą swojego porannego rytuału.

Minęło dwa i pół miesiąca, odkąd tu zamieszkałam — zdała sobie sprawę, patrząc na kalendarz. — A czuję, jakby to miejsce było moim zawsze. Tak, poczułam to od pierwszej chwili, a nawet wcześniej: już w dniu, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Wolińskiego. Tyle wydarzyło się od tamtego czasu! — zaśmiała się cicho. — Poznałam nowych ludzi, nauczyłam się prowadzić samochód, na poważnie zajęłam się garncarstwem, odważyłam się robić to, co chcę, gościłam Martynę. To całkiem sporo jak na kogoś, kto przez ostatnie lata koncentrował wszystkie wysiłki na jednej osobie — stwierdziła. — Dobrze, że to się zmieniło.

Pomyślała z wdzięcznością o babci Róży i kobietach z Jagodna. Pokazały jej, jak należy postępować i wiele nauczyły. Dodały odwagi do zmian i życia wedle własnych oczekiwań.



Mam nadzieję, że pomagając Martynie, spłaciłam część długu, który u nich zaciągnęłam. — Uśmiechnęła się do siebie. — Ale jest jeszcze coś, o czym zapomniałam. I pora to nadrobić.

Ubrała się i poszła do lasu. Trochę się obawiała, że nie znajdzie tego, czego szuka, ale udało się. Stała na skraju leśnej polany, która teraz wyglądała dokładnie tak, jak wtedy sobie Diana wyobrażała. Wrzosa już kwitły, a oświetlane słońcem mieniły się wszystkimi odcieniami fioleto. Kobieta stała i patrzyła na to magiczne miejsce; najpiękniejsze, jakie w życiu widziała.

Tutaj zrozumiałam, kim jestem — uzmysłowiła sobie. — I pojęłam, gdzie jest moje miejsce. Tutaj to do mnie przyszło, zagościło w sercu i zostało. Poszłam za tym głosem i nigdy nie będę tego żałowała. Spędziłam tu całe lato i było ono pełne nadziei — na zmianę, na lepsze, na szczęście. Ciekawe, jaka będzie jesień — pomyślała z lekkim uśmiechem.

Otarła łzę wzruszenia i wróciła do domu. Wiedziała, co chce teraz zrobić.

W stodole znalazła deskę, przyniosła z komórki puszkę z farbą. Pewną ręką zaczęła malować kolejne litery. Gdy napis był gotowy, przybiła deskę na płocie przy furtce. Cofnęła się kilka kroków i odczytała: WRZOSOWA POLANA.

— Tak teraz będzie nazywał się ten dom. I będzie szczęśliwy — powiedziała głośno, jakby rzucała jakieś zaklęcie.

A potem weszła do środka i wyjęła z szafki słoiczek, który dostała od babci Róży.

To właśnie moment, o którym mówiła starsza pani z Jagodna — pomyślała, odkręcając pokrywkę. — Miałam zjeść te konfitury z fiołków, gdy znajdę swoje miejsce na ziemi. Ta chwila nastąpiła. Dziękuję, babciu Rózo! Teraz już mam pewność, że sobie poradzę. Tu, we Wrzosowej Polanie.

## SPIS TREŚCI

[Strona przedtytułowa](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\\* \\* \\*](#)